

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) . rs. 10

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Za odosłanie do domu 15 kop. kwart.

Rocznie . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) rs. 6 kop. —

Półrocznie. (za 26 tomów). „ 3 „ —

Kwartalnie (za 13 tomów). „ 1 „ 50

Za zmianę a. resu na prowincyi dopłaca się 20 kcp

Główni współpracownicy:

Dr. Piotr Chmielowski,

Teodor Jeske-Choiński,

Dr. Julian Ochorowicz,

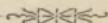
Julian Adolf Świącicki.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 554.
filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

Subl do l 105.304

R

Maurycy Jokay.

Serce kamienne.

POWIEŚĆ.

Z PRZEDMOWĄ.

Tom I.

D. 13. 113

J. J. Chyostowski

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

300885

B. 105304



097611

Дозволено Цензурою.
Варшава, 25 Іюля 1899 года.



276504

PRZEDMOWA.

Nazwisko Maurycego Jokaya, którym chlubią się słusznie Węgry, nazywając go „królem powieściopisarstwa węgierskiego,” nie jest chyba obcem czytelnikom „Biblioteki dzieł wyborowych.” Przez długi szereg lat pisma nasze ubiegały się o przyswojenie językowi polskiemu utworów tego pisarza, pod względem płodności twórczej mogącego być jedynie porównanym z naszym Kraszewskim, bibliografie też i katalogi księgarskie wykazują okazałą cyfrę dzieł, przetłómaczonych i wydanych u nas w osobnych odbitkach.

I nie mogło być inaczej. Pisarz tej miary, tak wszechstronny i z techniką powieściopisarską taką prawdziwie fenomenalna, nie mógł nie oddziaływać żywiej po za granicami własnej ojczyzny. Talent to zawsze świeży, lata zaś sędziwe nie wycisnęły swego piętna nawet na ostatnich pracach tego mocarza w literaturze wszechświatowej. Nie osłabło też zajęcie się powieściami Jokaja, chociaż w ostatnich czasach nowe prądy i kierunki zepchnęły niejako na plan drugi tę postać, której należy się, bądź co bądź,

jedno z dominujących stanowisk w literaturze wszechświatowej.

Urodzony w dniu 19-ym lutego 1825 r. w Komornie, Maurycy Jokay już jako dziecko zdumiewał wszystkich zdolnościami swojemi. Cudowne dzieci zwykle nie dotrzymują tego, co obiecywały, atoli młody, dziewięcioletni Maurycy, zdumiewający talentem poetyckim znajomych, nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Dzięki wielkim zdolnościom wczesnie ukończył szkoły w Preszburgu i Pápic, gdzie wszedł w stosunki serdecznej przyjaźni z Petösim, i wreszcie w Kecskemét, a już w roku 1846 wszedł na szerszą arenę działalności z tytułem adwokackim.

Zawód prawniczy nie nęcił młodzieńca, rwał się przeto młody Jokay do pióra i pendzla. Petösi radził mu kształcić się w malarstwie, gdy znów Jokay pragnął w Petösim widzieć artystę dramatycznego. Na szczęście, upodobanie pociągnęło jednego i drugiego na właściwą drogę, a tym sposobem Węgry pozyskały dwie postacie, które długo zdobić będą karty ich dziejów.

Pierwociny prac literackich Maurycego Jokaya przyjęto bardzo życzliwie, były zaś niemi: napisany w 17 roku życia dramat „A zsidofiü“ („Żydziatko“) i powieść „Het köznapok“ („Dzień roboczy“).

Powodzenie i rozgłos szybko sprawiły, że w roku 1847 ofiarowano mu redakcyę pisma najbardziej podówczas wpływowego, nadającego ton w prasie tygodnika beletrystycznego „Eletképek“ („Obrazy z życia“). Zaledwie jednakże pismo zaczęło się pod kierunkiem Jokaya rozwijać i zaledwie młody twórca zdążył wydać zbiór nowel p. t. „Vadon virágai“

(„Kwiaty na pustyni“), nadszedł pamiętny dla Ma-dziarów rok 1848.

W życiu Jokaya najpoważniejsza to data. Wy-padki bowiem dziejowe wykoleiły wprawdzie młodego pisarza z normalnego toru, ale równocześnie ze-lektryzowały jego energiczną naturę, umysł zaś zao-patrzyły w tyle wrażeń, że późniejszy literat-artysta czerpał z nich tematy do najcenniejszych utworów swoich.

Węgrzy do tej pory widzieli w Jokayu tylko nadchnionego poetę i zdolnego pisarza, rok 1848 do-wiódł, że to także materiał na pierwszorzędnego mę-ża politycznego! Pełen zapału, gorącej miłości kraju i poświęcenia, wysunął się szybko na widownięć i ugruntował nabytą już przedtem popularność.

Kilka lat tułaczki po uśmierzeniu burzy dopeł-niły reszty. Talent Maurycego Jokaya zmężniał i od-tąd powieściom swoim zaczął nadawać charakter ten-dencyjny, czerpiąc obrazy z własnego doświadczenia. Nie ma powieści, nie ma artykułu, pochodzącego z tej doby, w którymby powieściopisarz nie wykazy-wał, jaką potęgą jest poczucie własnej siły i jak nie należy tracić wiary w powodzenie dobrych za-miarów.

Praca, poświęcenie się dla sprawy publicznej i oświata, tworzą główny wątek utworów, napisanych przez Jokaya po roku 1848, a zaliczonych do naj-lepszych jego kreacyj wogóle.

Korzystając z gwałtownych historycznych prze-wrotów owej epoki, utwory swoje malował prze-ważnie na tle dziejów bieżących, obdarzony zaś nie-zwykłym darem obserwacyjnym, nabrał ogromnej

znajomości serca ludzkiego. Ztąd też powieści jego zrozumiałe były dla każdego i przemawiały gorąco do serc i umysłów. Werwa porywająca i wykończona artystycznie obrazy, obok wielkiego uczucia sprawiły, że Jokay stał się najulubieńszym autorem węgierskim.

Wyliczanie wszystkich dzieł poety i powieściopisarza przechodziłoby ramy tej notatki informacyjnej, zaznaczymy więc tylko, że do prac, które trwałą cieszyć się będą wartością, obok „Złotych czasów Siedmiogrodu,“ „Turków na Węgrzech,“ „Romansu z przyszłego stulecia“ i t. p., staje także w pierwszym rzędzie: „Człowiek o sercu kamiennem,“ utwór, który obecnie podajemy prenumeratorom „Biblioteki.“

Działalność publiczna Jokaya, jako posła i wyborczego mówcy, osobną stanowi kartę i więcej zajmować może tylko naród węgierski, pomijamy też ją zupełnie, uzupełniając notatkę tem, że od roku 1858 bez przerwy pisarz ten stał na czele pisma „Nemzet,“ organu urzędowego. Ożeniony z Różą Laborfalvi, najznakomitszą artystką dramatyczną węgierską, Jokay w domu swoim skupiał zawsze cały kwiat inteligencji peszteńskiej.

Krytyka fachowa, podnosząc niewątpliwie zasługi Jokaya, czyni mu zarzut, że czasami, uniesiony fantazyą, wkracza w dziedzinę nieprawdopodobieństwa, zarzut to wprawdzie drobny, gdy się zważy siłę talentu twórczego, fabułę misterną, dar opowiadania i humor zdrowy, przymioty celujące każdą powieścią węgierskiego pisarza.

„Serce kamienne,“ którego tytuł w oryginale

brzmi „A koszirü emberfiai“ („Synowie człowieka o kamiennym sercu,“) napisał Jokay w pełnym rozwoju swego talentu, t. j. w r. 1867, odznacza się też ta powieść wszystkimi zaletami jego pióra, barwnością obrazów, wybornem obrobieniem charakterów i bogatą fantazyą, trzymającą uwagę czytelnika na uwięzi.

ROZDZIAŁ I.

Sześćdziesiąt minut.

Jaśnie wielmożny pan wznosił właśnie toast... Szumiący nektar, przelewając się przez brzegi szampańskiej czarki, oblewał pianą pulchne jego palce... Rozpoczęty frazes szedł w zapasy z siłą płuc i wystawiał sprężystość mięśni na nielada próbę... szlachetny zapach wszystką krew napędzał mu do głowy. W świetnym gronie gości ujął każdy wysmukłą postawę kieliszka i czekał chciwie na pęknięcie nieskończenie długiej rakiety rozpoczętego toastu; hajdacy napelniali pospiesznie aż po brzegi rozkosznym nektarem na wpół wypróznione kielichy... Dyrygujący orkiestrą cygańską, ustawioną w głębi sali, podniósł w górę smyczek, aby, skoro toast dobiegnie kresu, dać hasło do zagłuszenia przerażającym wivatem brzęku szkła — gdy wtem lekarz domowy cichym krokiem wszedł do sali i zajmującej przy stole honorowe miejsce jaśnie pani szepnął coś do ucha, poczem też powstała i niemym gestem przepraszając najbliższych siedzących gości, spiesznie wydała się z sali.

Toast jednak, jak wyrzucony granat, nie dał się tem zajściem z wytkniętego zbić toru, ale dążył szumiącym potokiem do celu.

— Męża owego, który jako Atlas drugi dźwiga na swych barkach ciężar kraju, w którym najpóźniejsza potomność czcić będzie pierwowzór prawdziwego patrioty, głowę i przewodcę, wiodącego stronnictwo nasze do chwały i zwycięstwa, nasz filar i podporę, naszą wśród ciemni morza jaśniejącą latarnię — jakkolwiek niema go, niestety, między nami—oby niebo zachowało nam jeszcze w długie, nieskończone lata!

Ostatnie słowa zagłuszył istny orkan zmieszanych brzęków szkła, fanfar orkiestry i chóralnych okrzyków „eljen“ (niech żyje!) Głośny hałas odsuwanych krzesel, brzęk rozbijanych o ściany na znak zachwyty kieliszków—stanowiły błyskawice i grzmoty przy tej ulewie łez i wina.

— Niech żyje, niech żyje jeszcze tysiąc lat!
Komuż to życzą tak długiego życia?

To jaśnie wielmożnemu, szlachetnie urodzonemu, szcokowładnemu Kazimierzowi Baradlayowi, dziedzicznemu i rzeczywistemu szambelanowi i kawalerowi złotej ostrogi, panu rozległych włości, miast i miasteczek, serc i przekonań, przywódcy związku najpotężniejszych... istnemu Dalaj-Lamie.

Wielebni i przewielebni, wielmożni i jaśnie wielmożni, którzy w wielkiej herbowej komnacie obsiedli stół w podkowę — to wszystko motyle, co w blasku jego promieni złocą swe skrzydła; dziś przybyli tu z odległych komitatów, aby mądrą swą uchwałą poprzeć złoty ów program, którego spisana litera trościć się miała przez całe stulecia o losy państw i narodów i wytykać zadanie potomności.

Epilogiem szczęśliwie przeprowadzonej narady jest bankiet obecny, jakim ugaszcza p. Baradley w paradnej sali swego zamku liczną drużynę przybyłych na tę konferencję przyjaciół i stronników. Uczta wspaniała. Szkoda, że król uroczystości nie może w niej uczestniczyć.

Miasto niego przewodniczy u stołu godowego

jego małżonka. Na konferencyi zaś zastępował go administrator.

Administrator, to znaczy w węgierskim słowniku mytyczne widmo, zesłane czasowo tylko na tę grzeszną ziemię z misją wycinania lasów, burzenia skał i rozpościerania swego wszechpotężnego ramienia tam, gdzie nie brak słuźalców, pozwalających łapać sobie po niewolniczych karkach...

Takim administratorem był Benedykt Ridegváry.

W chwili, gdy miano spełnić wzniesiony toast, dostrzeżono nieobecność gospodyni.

Stojący za opróżnionem krzesłem wygalowany kamerdyner oznajmił gościom, że jaśnie pani wyszła, wezwana przez lekarza, i niezawodnie przebywa w tej chwili przy łożu jaśnie pana. Kilku wrażliwych rzuciło pytanie: co się stało panu? — na co administrator pośpieszył uspokoić towarzystwo zapewnieniem, że Baradlay cierpi tylko „zwyczajne bóle“, które od czasu do czasu go nawiedzają.

Kilku świadomszych rzeczy gości pouczyło swoich sąsiadów, co zresztą nie było tajemnicą, że Kazimierz Baradlay od dość dawna już, przynajmniej od lat dziesięciu, choruje na otwardnienie arteryi i z tego powodu wystawianym bywa często na silne ataki sercowe, wszakże zachowując ścisłą dyetę, może mimo tej choroby długo żyć jeszcze.

Ów biesiadnik, co przed chwilą wznosił toast, przypomniał sobie nawet, że słyszał o jakimś angielskim lekarzu, który, chory na podobną słabość, na lat kilka naprzód oznaczył godzinę swej śmierci.

Zwykle to tylko cierpienia jaśnie pana, którego oby Bóg darzył życiem w jak najdłuższe lata.

Nikt jednakże z obecnych ani się domyślił, że lekarz, odwołując gospodynię z gwarne go salonu, szepnął jej do ucha:

— Jeszcze tylko sześćdziesiąt minut!

Skoro przestąpiła próg godowej komnaty, pochwyciła gorączkowo rękę doktora.

— Jestże to prawda?... — wyszeptała drżącym głosem.

Lekarz skinął uroczyście głową.

Gdy zaś drzwi jeszcze jednego opustoszałego salonu zamknęły się za nimi, oddzielając ich od głównego gwaru gości, odezwał się raz jeszcze lekarz:

— Pozostaje mu tylko sześćdziesiąt minut życia. Żąda widzieć się z panią. Wszystkich od siebie oddalił. Zechciej pani wejść do jego sypialni. Ja tam już niepotrzebny.

Lekarz zatrzymał się u trzecich drzwi; kobieta sama weszła do przyległej komnaty.

Wisiały tu obok siebie w wielkich złoczonych ramach naturalnej wielkości portrety dostojnej pary w ślubnych strojach. Pani o bladej, marmurowej twarzy nie mogła, przechodząc obok tych konterfektów, powstrzymać potoku łez; w obie dłonie ukryła smutne oblicze, łkanie wyrywało się z jej piersi — ale jej płakać nie było wolno, musiała stłumić swą boleść. Ta walka zabrała jej pół minuty z owych sześćdziesięciu i za te pół minuty zdać będzie musiała rachunek przed Bogiem! Minęła jeszcze jedną salę, pustą, cichą, której wszystkie ściany zastawione były księgami, i ztąd wstąpiła do alkowy, gdzie umierający jej małżonek oczekiwał wybicia ostatniej dla niego minuty.

Na staroświeckim łożu spoczywał ów człowiek, którego serce zwolna zamieniało się w kamień. W kamień w znaczeniu patologicznym, lecz niemniej także zgodnie z biblijną przenośnią. Głowa, wzniesiona na wysokim stosie poduszek, uderzała spokojem każdego rysu, rzekłbyś — pozuje wielkiemu artyście: śmierci, co rzeźbi każdemu inną twarz, niż tę, którą nosił za życia.

Kobieta podbiegła ku niemu.

— Czekałem na ciebie! — powitał ją mąż. Był to wyrzut.—Dla uronienia łez zatrzymałaś się, a wiesz przecie, jak mało mi czasu pozostaje.

Kobieta ścisnęła kurczowo dłonie i wargi.

— Tylko nie bądź słabą, Maryo! — mówił mąż z głosem coraz bardziej lodowatym — to prawo natury. Za godzinę będę tylko nieczułą bryłą ziemi. Tak zdecydował lekarz. Czy goście dobrze się bawią?

Kobieta skinęła głową w milczeniu.

— Niech im nikt nie przerywa i nie pozwala się rozjeżdżać. Jak się zjechali na konferencję, tak niechaj pozostaną i na stypie. O obchodzie pogrzebowym oddawna już pomyślałem i poczyniłem do niego przygotowania. Ciało moje złożycie w trumnę czarną, marmurową. Na trumnie niechaj spocznie szabla z platynową rękojeścią. Cztery końce całunu niechaj niosą czterej żupani. Chór debreczyńskich śpiewaków niech zastąpi pogrzebową muzykę. Tylko broń Boże! nie nucić mi melodi na temat oper, jeno psalmy ze starych chorałów. Mowę pogrzebową w kościele powie superintendent, w domu senior. Nad otwartym grobem odmówi „Ojcze nasz“ pastor miejscowy. „Ojcze nasz“, nic więcej. Czy zrozumiałaś wszystko, com powiedział?

Kobieta, zapatrzona w próżnię, zdała się być skamieniałą statua.

— Maryo! tego, com ci powiedział przed chwilą, nie powtórzę już po raz drugi. Zechciej, proszę, usiąść przy łożu, tu przy stoliku; znajdziesz tam wszystkie przybory do pisania. Zapisz co do słowa, com powiedział i co powiem jeszcze.

Kobieta, spełniając rozkaz, usiadła przy stoliku i skreśliła dosłownie wolę umierającego.

Szkoło skończyła, mąż mówił dalej:

— Byłaś mi wierną, posłuszną żoną przez całe życie. Świętym był dla ciebie każdy mój rozkaz. Blisko godzinę jeszcze będę twym panem. Co jednak powiem ci w tej godzinie, będzie treścią całego twego żywota. I po śmierci nawet zostanę twym panem, twym władcą i tyranem z sercem z kamienia.

Ach! jak mi się oddech zapiera. Podaj mi kilka kropli dygitaliny.

Kobieta podała mu na złotej łyżeczce kilka kropli lekarstwa. Chory uczuł się pokrzepionym.

— Spisuj ostatnie moje słowa. Nikt prócz ciebie nie powinien ich słyszeć i nikomu też nie powinien wpaść w ręce. Jam twórca wielkiego dzieła, które nie może przepaść razem ze mną. Ziemia nie powinna się obracać, ona stać musi. A choćby nawet ziemia cała nie powstrzymała się w swym odwiecznym biegu, nasz kawał ziemi musi przystanąć. Wielu jest takich, co mnie pojmują, mało jednakże, coby umieli działać według wytkniętych przezemnie prawideł, a jeszcze mniej takich, którzyby dość na to mieli odwagi. Maryo, pisz każde moje słowo.

Kobieta pisała w milczeniu.

— Zbliża się chwila skonu—ciągnął dalej umierający — i słyszę już głuchy odgłos ziemi, sypanej na wieko mej trumny. Ale ja o tem wiedzieć nie chcę. Mam trzech synów, którzy mnie zastąpią, skoro śmierć wyrzuci mnie z szeregów żyjących. Maryo, pisz, jakie wkładam na synów moich obowiązki. Pierwej jednak podaj mi jedną z piżmowych pigulek. Usiądź i pisz dalej.

Maryja była posłuszną.

— Synowie moi jeszcze są za młodzi, aby już mogli zająć godnie miejsce swego rodzica. Najpierw muszą przejść szkołę życia; dopóki jej nie przejdą, nie wolno ci ich widzieć. Nie wzdychaj, Maryo! To już nie owe dzieci, którym przystoją matki kolana. Syn mój najstarszy, Oedön, pozostanie nadal na dworze petersburskim. Tam dobra dla niego szkoła. Dzięki naturze i przewrotnym skłonnościom, głowa jego pełna marzycielstwa, a to nie przyniosłoby szczęścia naszemu domowi. Tam go wyleczą z podobnych słabostek. Towarzystwo rosyjskie dobrą jest szkołą. Dłuższy nad Newą pobyt nauczy go, jaka jest różnica pomiędzy ludźmi, którym urodzenie nadaje przy-

wileje, a takimi, co bez nich na świat przychodzą. Tam nauczy się, jak można stać na wysokości i nie bać się zawrotu głowy. Tam zbada rozumem, jaką wartość ma kobieta dla mężczyzny, tam pozbędzie się marzycielstwa, a skoro powróci, pewną ręką pochwyci ster, który z mojej wypada dłoni. Nie żałuj dla niego pieniędzy, aby mógł rywalizować z młodzieżą rosyjskiego towarzystwa. Pozwól mu spełnić aż do dna kielich rozkoszy. Niech używa i puszcza dowolnie wodze najszałeńszym wybrykom; nic tak nie czyni człowieka obojętnym i trzeźwym jak nadużycie przyjemności.

Umierający spojrział na zegarek, wskazówki nagliły do pośpiechu. Ach, tak mało pozostaje mu czasu, a tyle ma jeszcze do powiedzenia!

— Dziewczyne — mówił chory — z której powodu musiał opuścić ojczyznę, staraj się wydać za mąż. Nie szcędź kosztów. Partyj dla niej stosownych nie brak przecie. Nie zapominaj o posagu. Gdybyś uporu jej inaczej złamać nie mogła, postaraj się, aby jej ojca przeniesiono do Siedmiogrodu. Mamy tam przecież dużo stosunków. Dopóty Oedön pozostanie za granicą, dopóki albo ona nie opuści tych stron lub on się tam nie ożeni, bądź dobrej myśli.

Gdy domawiał tych słów, twarz chorego zapłonęła dwiema ognistemi plamami, które po kilku sekundach ustąpiły miejsca trupiej bledości.

Kobieta spisywała wiernie dawane jej polecenia.

— Drugi mój syn Ryszard pozostanie rok jeszcze w przybocznej gwardyi. Nie jest to wprawdzie karyera, ale na początek i tem gardzić nie należy. Następnie przejdzie do kawaleryi; po roku zaś służby niechaj się stara pomieścić w sztabie generalnym. Zręczność, waleczność i wierność, to trzy wielkie stopnie, po których idzie się w górę. Służbą można je osiąść. Ileż tu pola do zdobyczy! Dość posta-

wiść na niem stopę, a będzie naszym. Nierozsądna duma odwodzi nas od tego. Syn mój powinien brać z braciom swym torować drogę. Europie straszna grozi wojna. Uśpione dziś sprężyny zadrgają i popchną mocarstwa wzajem na siebie. Dla takiego Ryszarda Baradlaya roztworzą się wtedy na oścież wrota do czynów godnych naszego nazwiska. Pod cieniem jego sławy spoczniemy wszyscy! Ryszard pozostanie bezżennym. Kobieta byłaby mu tylko przeszkodą w jego pochodzie; zadaniem jego niechaj będzie torowanie kariery swym braciom. Cóż to za nieocenione szczęście być bratem oficera, który legł w bitwie! Maryo, wstrzymałaś pióro? Miałażbyś płakać? Proszę cię, nie bądź słabą. Zapisz, com już powiedział.

Kobieta ukryła boleść, stłumiła łzy.

— Mój trzeci najmłodszy syn Eugeniusz był mi ulubieńcem. Nie przeczę, że ze wszystkich trzech kochałem go najwięcej. Niechaj to będzie tajemnicą; sam nie domyślił się tego. Wszak obchodziłem się z nim, jak gdybym mu był ojczymem. Rozkazuję ci, byś i ty podobnie z nim postępowała. Niech pozostanie w Wiedniu, poświęci się zawodowi urzędniczemu i dobija się powoli znaczenia. Walka ta uczyni go giętkim, roztropnym i zaradnym. Niech przy pomocy nabytego rozsądku, uprzejmości i dowcipu uczy się zdobywać sobie grunt, mający być podstawą jego wielkości. Niechaj, mając bezustannie na myśli własne wywyższenie się, nie zapomina czynić dobrze tym, których w danym razie będzie mógł użyć za szczeble do własnego wzniesienia się. Nie należy rozpieszczać go w domu, aby uczył się stosować do obcych ludzi i oceniać każdego wedle wartości. Trzeba w nim podsycać ambycję, wyszukiwać dla niego i utrzymywać stosunki z ludźmi wielkich imion i wpływów, które nie pozwalając rozrastać się poetycznym mrzonkom, mogłyby z czasem doprowadzić do związków rodzinnych.

Chwilowa zmiana, zaszła w rysach chorego

okazywała, jak straszne męczarnie przechodził ten człowiek, chociaż mówił tak spokojnie. Trwało to jednak tylko chwilę. Wola przemogła pierwiastek materyi.

— Trzy tak potężne filary — dyktował dalej umierający — zdołają silnem ramieniem podtrzymać moje dzieło. Dyplomata, żołnierz, wysoki urzędnik. Czemuż nie mogę budować dalej! Budować aż do chwili, w której dojrzali już synowie zajęliby moje miejsce! Maryo, żono moja! proszę cię, zaklinam, spełnij wszystko, co ci spełnić polecam. Każdy nerw mego ciała walczy ze śmiercią, ale w tej ostatniej walce nie myślę bynajmniej o tem, że za minut kilka w proch rozsypie się to, co we mnie z prochu powstało. Ten zimny pot na mojem czole, to nie pot walki śmiertelnej, lecz trwogi, obawy strasznej, aby praca moja nie poszła na marne, aby dzieło ćwierćwieku nie zstąpiło razem ze mną do grobu. Marzyciele kładą dyament w tygiel alchemika; nie wiedzą, że tam ulegnie on zniszczeniu i nigdy do dawnej nie powróci krystalizacyi. Tym naszym ośmiowiekowym dyamentem jest szlachta nasza. Ona jest tajemniczym talizmanem naszego bytu, w niej spowite życie narodu, ona wiecznie ożywia go na nowo! I ten talizman chcą oni poświęcić, zniweczyć. I dlaczego? Dla mar, dla gorączkowych rojeń, które wciągnęły w piersi razem z miazmami zarazy. Ach, Maryo, gdybyś wiedziała, co cierpi skamieniałe me serce! Nie, nie, nie podawaj mi lekarstw, one mi już nie pomogą. Podaj mi na chwilę portrety moich synów, to mi ulży.

Żona podała mu trzy miniatury. Człowiek ze skamieniałem sercem spoglądał na nie kolejno i cierpienia jego łagodniały. Zdawał się zapominać o zapasach ze śmiercią. Suchym, kościstym palcem wskazując na portret najstarszego, szepnął:

— Ten, gdyby chciał, mógłby stać się najpodobniejszym do mnie.

A odsuwając miniatury, tak dalej mówił zimno:

— Precz z sentymentalnością! Czas nagli. Niezadługo powrócę do ojców i pozostawię mym synom spuściznę, przekazaną mi przez przodków. Ale dom mój stanie się przybytkiem idei. Nemesdomb nie zniknie z kart historii. Będzie on ogniskiem, pozostanie słońcem moich zasad. Wszak i ty tu zostajesz po mnie.

Pisząca zatrzymała się i wzrok zdziwiony podniosła na męża.

Dostrzegł zdziwienie żony.

— Patrzysz na mnie, jakbyś wątpila o tem, co mówię. Kobieta, wdowa, cóż może uczynić dla dzieła, pod którego ciężarem ugięły się barki męża? Słuchaj, co ci powiem. W sześć tygodni po mojej śmierci wyjdiesz powtórnie za mąż.

Piszącej wypadło pióro z ręki.

— Tak chcę! — mówił surowym głosem człowiek skamieniałego serca. — Wyznaczyłem już tego, którego masz wziąć za męża. Rękę twą oddasz Benedyktowi Ridegváry.

Tu już nie mogła zapanować nad sobą biedna kobieta; powstawszy od stolika, rzuciła się ku łożu męża, upadła przed nim na kolana i pochwycawszy jego rękę, gorącemi zlewała ją łzami.

Człowiek kamiennego serca przymrużył powieki i zdawał się szukać rady w ciemnościach. Znalazł ją.

— Maryo, daj temu pokój. Teraz nie czas płakać. Spieszno mi: przedemną daleka droga. Jak powiedziałem, stać się musi. Młodą jeszcze jesteś, nie masz lat czterdziestu. Przed dwudziestu czterema laty, gdym cię brał za żonę, nie wydałaś mi się piękniejszą niż dziś. Miałaś krucze włosy i oczy pełne blasku! taką jesteś jeszcze dotychczas. Byłaś skromną, łagodną i dziś nią jesteś. Kochałem cię bardzo. Wszakże wiesz o tem. W pierwszym roku

246504



małżeństwa przyszedł na świat syn mój najstarszy Oedön, w następnym drugi syn Ryszard, a w trzecim najmłodszy Eugeniusz. Wtedy to nawiedził mnie Pan ciężką chorobą, z której już nie wyszedłem. Lekarze orzekli z góry, że dzieckiem śmierci, że jeden pocałunek twych pięknych ustek może mnie zabić. I tak umierałem obok ciebie od lat dwudziestu, jak skazaniec, od którego miłosierdzie odwróciło swe oblicze. Przed twemi oczyma wędnał kwiat mego życia, od lat dwudziestu byłaś mi tylko siostrą miłosierdzia, przykutą do łoża konającego. A jednak we mnie kołatało życie, rwałem się całą piersią do niego i żyłem, bom pokochał wielką ideę, która zapanowała nad wszystkimi moimi uczuciami, zmuszała mnie wlec to życie wśród tyłu męczarni. Cóż to za życie! Życie, któremu pozadzroszczono rozkoszy, które wyrzec się musiało choćby najdrobniejszej przyjemności. A jam je podjął. Zrzekłem się wszystkiego, do czego uderzać zwykło serce ludzkie. Stałem się nieczułym, wyrachowanym, niedostępnym. Żyłem przyszłością tylko. Przyszłością, która winna być wyłącznie uwiecznieniem przeszłości. Dla tej przyszłości wychowałem trzech moich synów, w niej uwieczniłem moje imię. Na imieniu tem cięży przekleństwo dnia dzisiejszego, lecz ono zabłyśnie błogosławieństwem jutra. Dla imienia tego, Maryo, jam cierpiał tak wiele, tak nieskończenie wiele. Tobie musi jeszcze zabłysnąć szczęście w tem życiu!

Łkanie kobiety było protestem przeciw tym słowom...

— Tak chcę — zawołał mąż i wyrwał swą rękę z jej dłoni. — Wróc do stolika i pisz. To moja ostatnia wola. W sześć tygodni po mojej śmierci żona moja ma oddać swą rękę Benedyktowi Ridegväry, którego uważam za najgodniejszego do zajęcia po mnie osieroconego miejsca. Ziemia będzie mi wtedy lekka, a niebo prawdziwym rajem. Czyś napisała, Maryo, com powiedział?

Kobieta opuściła pióro, podniosła obie ręce do czoła i milczała.

— Godzina ubiega — wyszeptał konający, staczając bój zawzięty z dopominającym się praw swych robactwem. Lecz *non omnis moriar*, rze wszystko umiera! Poczęte przezemnie dzieło przetrwa mnie. Maryo, połóż swoją rękę na mojej i nie puszczaj jej dopóty, dopóki moja kostnieć nie zacznie. Bez łez! bez sentymentalizmu! chcę, rozkazuję, byś nie płakała. My się nie żegnamy. Duch mój pozostaje z tobą i nigdy cię nie odstąpi; zażąda od ciebie rachunku każdego ranka, każdego wieczora z tego, jak spełniłaś dane ci w ostatniej mego konania godzinie polecenia. Ja będę przy tobie, zawsze przy tobie.

Kobieta drżała całym ciałem.

Konający skrzyżował spokojnie ręce na piersiach i szeptał urywanym głosem:

— Godzina ubiega, lekarz nie omylił się. Już nie czuję bóleści... naokół mnie ciemno... tylko obraz mych synów przyświeca mi jeszcze... Kto to zbliża się ku mnie? Kto to wynurza się z otaczającej mnie ciemni? Kto jesteś, zatrzymaj się! Nie zbliżaj się... ponury cieniu... Mam tu jeszcze coś do powiedzenia!

Ale pełna majestatycznej zgrozy postać, która wypłynęła z pomroku, była nieubłaganą; nie czekała, aż człowiek o skamienialem sercu wypowie, co ma jeszcze na tym świecie, na którym przywykł rozkazywać, do powiedzenia, lecz dotknęła niewidzialną swą dłoń: jego oblicza.

Skoro przemożny ten człowiek poczul, że ugiąć się musi przed potężniejszą siłą, zamknął powieki, zacisnął blade wargi i nie czekając na pomoc ludzi, dobrowolnie oddał wielką, nieugiętą duszę potężnemu grabarzowi bez trwogi, dumnie, jak na szlachcica przystało.

Kobieta zaś gdy spostrzegła, że mąż jej stanął

uż u kresu, upadła na kolana i kładąc złożone na krzyż ręce na zapisanych kartach, wyjękła:

— Wysłuchaj mnie, Panie Boże mój i zechciej jak jego duszę przed swe święte dopuścić oblicze i tak mu być na tamtym świecie miłościwym, jak ja tu ślubuję i zaprzysięgam przed Tobą, że wszystko to złe, co on mi, o Panie, polecił wykonać, spełnię wręcz przeciwnie! Tak mi, Panie, dopomóż w swej nieskończonej wszechmocy!

Nadludzki, nie do określenia złowieszczy krzyk odbił się potężnem echem w tej grobowej ciszy.

Przełęczniona kobieta rzuciła strwożony wzrok na rozciągniętego na łożu trupa.

Trup ten rozwarł zaciśnięte przed chwilą wargi, oczy jego były otwarte szeroko, a prawa ręka spoczywająca na piersiach, zrywała się jakby do groźby.

Może rozstająca się z ciałem dusza zetknęła się u wrót niebieskich z posłańcem, niosącym do tronu Przedwiecznego śluby wdowy i matki i raz jeszcze z gwieździstej powróciła drogi w swą ziemską osłonę, aby tym strasznym pośmiertnym krzykiem ostatnim zakazem zaprotestować przeciw łamaniu żelaznej jego woli.

ROZDZIAŁ II.

Modlitwa nad grobem.

W tydzień dopiero odbył się pogrzeb człowieka ze skamieniałem sercem. Poprzednio zabalsamowano ciało i wystawiono na widok publiczny. Z pogrzebem zwlekano, boć trzeba było licznym a dostojnym znajomym zmarłego pozostawić czas potrzebny na zebranie się do oddania nieboszczykowi ostatniej przysługi, wielebnym i przewielebnym do wypraco-

wania mów stosownych, tapicerom i malarzom do wykończenia herbów i pogrzebowych ornamentów, dyrektorowi zaś chóru debreczyńskiego do wyćwiczenia śpiewaków.

Wiele w życiu widziałem pogrzebów. Jako uczeń szkolny jeszcze miałem piękny głos tenorowy, a obowiązkiem uczniów klas wyższych było odśpiewywać nad grobem zmarłych współwyznawców, bez różnicy, czy byli biednymi, czy bogatymi, żałobne chorały. Dlatego na wielu patrzyłem nieboszczyków, widziałem wiele pogrzebów i z szumnemi mowami i z cichą tylko nad roztwartym grobem modlitwą, ale nie byłbym w stanie żadnego z nich opisać, bo przy żadnym nie widziałem nic więcej, prócz postępujących z płaczem za trumną postaci; widok to wiecznie jednaki. Boleść bogacza kroczy tak samo z czołem schylnem ku ziemi, jak boleść nędzarza—oto wszystko, co mi zostało w pamięci.

To wiem tylko, że mowa, wygłoszona przez jego przewielebność, była bardzo długa; znajduje się niezawodnie po dziś dzień jeszcze w jakim archiwum, i że podczas długiej tej mowy jaśnie pani zalewała się łzami, jakich pozazdrościłoby jej mogła pierwsza lepsza uboga wieśniacza wdowa.

— Biedna baronowa raz wreszcie może się do syta wypłakać — szepnął jeden ze znakomitych dostojników, zajmujących pierwsze ławki, do swego sąsiada—za jego życia nie wolno jej było płakać.

— W samej rzeczy nieboszczyk twardego był serca—odparł zagadnięty. — Nie pozwalał żonie, aby choć jedną łzą ulżyła swej boleści.

— A niejedna boleść uginać musiała biedną baronową w ćwierćwiekowym prawie pożyciu z nieczułym małżonkiem.

— Nikt o tem lepiej wiedzieć nie może ode mnie.

— Pan byleś, panie administratorze, najbliższym przyjacielem rodziny zmarłego.

— Jedno ciało i jedna dusza — odparł zagadnięty.

Dostojna wdowa tymczasem, mimo, że łyzy gwałtownie dopominały się praw swoich, starała się maskować spokój przed obecnymi.

— Jakaż to piękna jeszcze kobieta — szepnął jeden z dygnitarzy zcicha do drugiego.

— Przez lat dwadzieścia przecież spoczywała wśród lodowców.

— Założyłbym się, że dłużej nad rok żałoby nie pozostanie wdową.

Na drażliwe to zapytanie odpowiedział tylko administrator pokręcając węża:

— Postuchajmy co mówi przewielebny. Mówi tak pięknie:

I w samej rzeczy mówił pięknie; znakomitą drużynę jednakże zajmowało więcej, jakie ordery umieszczono pod herbową tarczą nieboszczyka, aniżeli słowa kaznodziei. Pan administrator musiał siedzących wkoło objaśniać dokładnie, jakie ordery zdobyły pierś zmarłego, kiedy i za jakie otrzymał je zasługi.

Skończył wreszcie mówca, pozostawiając w słuchaczach przekonanie, że dawno już nie słyszeli tak mistrzowskiej mowy pogrzebowej. Po nim odezwał się chór śpiewaków. Chór ten wywiązał się po mistrzowsku ze swego zadania, wykonawszy z precyzją jedną z najpiękniejszych melodyj pogrzebowych z opery „Nabuchodonozor” z tekstem naturalnie zastosowanym do okoliczności.

— No, gdyby tak nieboszczyk mógł usłyszeć, jaką mu tu nad grobem nucą melodyę — zauważył pan Ridégvary, zwracając się do swego sąsiada.

— Miałżeby być nieprzyjacielem aryj z oper?

— Gniewał się straszliwie na profanujących poważne śpiewy kościelne teatralnymi dodatkami. Co więcej, wyraźnie żądał w swoim testamencie, aby

na jego pogrzebie nie śpiewano czasem melodyj teatralnych.

— Panu nie jest zapewne obcym testamet zmarłego?

Pan administrator spuszczeniem powiek i nastąpieniem węża dał tajemniczo do poznania, że był to sekret, który łatwo przecież dałby się zbadać.

Po odśpiewaniu całego chorału wszedł na katedrę drugi mówca.

— Czyżby i ten trzeci, co siedzi tam w ławie, także miał prawić? — zapytał się ktoś w pierwszych ławkach, znieczcierpliwiony długimi ceremoniami.

— To pastor miejscowy, ten zmówił krótką tylko nad zmarłym modlitwę.

— Ah, więc to on?

I obaj rozmawiający pochylili ku sobie tajemniczo głowy.

— A gdzież ona? — szepnął jeden z panów do drugiego.

— Ot, stoi tam w kącie oparta o ścianę, w ręku trzyma chustkę. Czy widzisz ją pan?

— Ah, widzę, widzę! w sukience, o której niepodobna powiedzieć, czy jest koloru szarego, czy brunatnego.

— Tak, to ona!

— Śliczne dziecko, doprawdy. Nie dziwię się, że... — i wielcy panowie szepnęli znów sobie coś na ucho.

Prawdziwie źlebyśmy zrobili, gdybyśmy nie posłuchali prześlicznej pożegnalnej mowy, którą w tej chwili wygłasza kaznodzieja; jeśli pierwsza była arcydziełem dyalektyki i prozody, druga była godnym uwieńczenia wzorem poetycznego polotu, pełnego porównań i porównań, do łez wzruszających przenośni, a nawet cytat ze starożytnych klasyków i nowoczesnych pisarzy.

Po wstępie nastąpiło pożegnanie oświeconego

pochoďniami woskowemi nieboszczyka ze wszystkimi zosobna oplakujacyimi tak drogą stratę. Mówca kazał kolejno żegnać się nieboszczykowi z ich ekscełencyami, jaśnie oświeconymi i jaśnie wielmożnymi, wielmożnymi i szlachetnie urodzonymi, przewielebnymi i wielebnymi, wielce uczonymi i arcymądrymi i szanownymi panami, tychże małżonkami i latoroślami tak męskiej, jak żeńskiej linii, słowem, nie zapomniał o nikim, zachowując należny porządek społeczny. A gdy wielebny mówca doszedł między innymi do następnego ustępu:

— Ty, który teraz błąkasz się daleko na lodowych polach północy i o sta mil od ojczyzny zdała przy świetle północnej zorzy wspominasz kochającego cię ojca, co dziś już z niebios na ciebie spogląda...

Wówczas zauważyli obaj dostojni panowie, że dziewczę w ciemnej sukience podniosło do oczu białą swą chustkę.

— Biedne dziecko—szepnął jeden do drugiego.

Wreszcie skończyły się śpiewy i mowy pożegnalne i inne ceremonie. Dwunastu hajduków w galowej liberyi poniosło na barkach wspaniałą trumnę; administrator podał ramię zboląlej wdowie i orszak pogrzebowy wyruszył z kościoła ku grobom familijnym.

Tu pozostało dopełnić jeszcze ostatniej ceremonii.

Zwyczaj każe, że nim spuszcza trumnę na miejsce wiecznego spoczynku, miejscowy duchowny odmawia za duszę zmarłego ostatnią modlitwę.

Wielu bardzo było ciekawych poznać starego pastora, Bartłomieja Lángi, którego prawy charakter i wymowa znane były powszechnie. Mówiono o nim, że się zapala tak łatwo, jak proch, a zwano go ogólnie starym *kuruczem* ¹⁾.

¹⁾ Nazwa powstańców z czasów Rakoczego.

Po odśpiewaniu ostatniego chorału wysunął się starzec o wysokiem czole, siwym włosie i gęstych brwiach ponad ciemnymi bystremi oczyma, nadających jego łagodnej twarzy wyraz stanowczości, złożył ręce i rozpoczął modlitwę:

— Wielki Boże, sędzio żywych i umarłych, wysłuchaj błagania naszego w tej godzinie...

— Patrz, oto w pełnym blasku ziemskiej okazałości zbliżają się popioły jednego ze sług twoich do marmurowego grobowca, który ma je zamknąć, podczas gdy w tej samej godzinie dusza jego naga i drżąca stoi przed gwiazdzistymi niebios wrotami i pragnie wejść do Twych przybytków ..

— Czemże jesteśmy my, co z takim przepychem rozstajemy się z tym światem? My, którym robactwo bracią, a pył ziemi—matką...

— Wspomnienie jedyne go dobrego czynu świeci nam jaśniej, niż blask tysięcy pochodni, a nieme błogosławieństwo współbraci piękniej ozdabia wieko naszej trumny niż herby i ordery całego świata.

— O Panie, bądź miłościwym dla tych, którzy w życiu całym nie znali dla innych miłosierdzia!

— Nie badaj zbyt surowo drżącej przed Twem obliczem duszy, nie pytaj jej: „Czem byłaś? Jakimi uczynkami zapisałaś swój pobyt na ziemi?”

— Nie dopuszczaj do siebie ziemskich głosów, bez względu, czy głosy te niosą na swych skrzydłach uwielbienie czy przekleństwo. Ty, o Panie, stoisz wysoko ponad niemi. Bo i cóż mogłoby obronić możnego tej ziemi, gdyby go nie broniło Twe nieskończone miłosierdzie wtedy, gdy odarty ze swego blasku stanie przed Tobą i musi na straszliwe Twe odpowiedzieć pytania:

— Czyś wspomagał nędzarzy?

— Nie.

— Czyś podnosił upadłych?

— Nie.

- Czyś był opiekunem prześladowanych?
- Nie.
- Czyś wysłuchiwał błagań zrozpaczonych?
- Nie.
- Czyś ocierał łzy cierpiącym?
- Nie.
- Czyś znał litość dla zwyciężonych?
- Nie.
- Czyś miłość odplacał miłością?
- Nie, nie i po wszystkie wieki nie.

— A gdy zapytasz potężnego tej ziemi, który bezbronny u Twego stoi majestatu: Na co używałeś potęgi złożonej przezemnie w twoje ręce? Czyś uszczęśliwił powierzone ci miliony ludzi? Czyś budował dla potomności, która oczekuje od ciebie swego jutra? Czyś służył uczciwie swej ojczyźnie, czy też pętał w prochu przed obcemi bożyszczami? Czyś żył dla twego narodu lub zdradzał jego ołtarze, na których Imieniowi Memu składają ofiary? Cóż on wtedy odpowie? Do kogóż się zwróci? Jakimże nerbem, orderem jakim, zasłoni pierś swoją? Kogóż wezwie na obrońcę i orędownika? Jakież mocarz ziemi zdoła go zasłonić tam, gdzie wszystkie mitry i korony, gdzie wszystko złoto tego świata jest nędznym prochem tylko...

Twarz duchownego pałała, postać cała rosła, rzadkich włosów pukle otoczyły srebrzystyr wiankiem wypogodzone jego czoło; dreszcz zimny zelektryzował całe zgromadzenie.

— ...O Panie—kończył kapłan modlitwę—bądź miłosiernym, miasto być sprawiedliwym! Nie patrz na to, czem był tu śmiertelnik, ale zechej uwzględnić, że tu kroczył w ciemnościach i że nie dojrzał świętego Twego oblicza.

— Nie rzucaj na szalę sprawiedliwości błędów jego i obłąkań, lecz policz mu za zasługę to, że błędząc, mniemał, iż dobrze czyni.

— Przebacz mu, Ty, Panie w niebiosach, jak

mu przebaczą ci, względem których zawinił na ziemi.

— Zagaś pamięć jego czynów, aby nikomu go nie przypominały.

— A jeśli grzesznik musi pokutować, jeśli Ty, Panie, nieubłagany dla nieprawnych czynów ukończonego już życia, nie możesz przed tron Swoj dopuścić ciężko grzesznej duszy, bez poprzedniego jej oczyszczenia, każ jej w ten sposób pokutować, iżby dusza, która dziś widzi wszystko jasno i w prawdziwym świetle, a nie przez pryzmat swego sobkostwa, powróciła raz jeszcze na ten padół i wstąpiła w synów, aby to, co ojciec zawinił, zmieniło się w jego dzieciach w cnotę i sławę i aby ta biedna ziemia ojczysta, która, dopóki żył, była mu trumną, stała się, gdy kości jego w niej spoczną, kolebką zmarłych wstania.

— Wysłuchaj, Panie, modlitwy Swego sługi!
Amen.

.

Obchód zakończył się zatrzaśnięciem żelaznych podwoi grobowca.

Orszak pogrzebowy powrócił do zamku, gdzie dla dostojnych gości, studentów i służby, długie zastawiono stoły; kto żył, dążył po dopełnieniu obowiązku uczynić zadość wymaganiom natury.

Stary pastor pozostał najdłużej przy grobowcu nieboszczyka, a gdy wszystko pospieszało do zamku, ujął ciemno ubraną dziewczę pod rękę i boczną oddalił się drogą.

Jedno honorowe nakrycie zbywać będzie w wielkiej herbowej sali wspaniałego zamku.

ROZDZIAŁ III.

Zebulon Taliérossy.

Stypa u nas tem tylko różni się od innych bankietów, że biesiadnicy nie spełniają na niej toastów.

Pani domu, wdowa, cofnęła się do najodleglejszych komnat; zgromadzeni na pogrzeb goście zajęli długie stoły w sali herbowej; było ich około stu pięćdziesięciu. Kucharz, jak zawsze, tak i teraz, włął w kunszt kulinarny całą swą duszę; piwniczny w ciągłym był ruchu, a goście jedli i pili nie lepiej, ani nie gorzej, jak gdyby ich tu sproszono nie na stypę, lecz na instalację nowego nadzupana.

Ku końcowi obiadu, gdy służba zabierała się do podania biesiadnikom czarek porcelanowych z czarną kawą, wpadł do sali, jak bomba, jeszcze jeden gość.

Gość spóźniony, na widok którego całe zgromadzenie głośnym odezwało się „haho!” a nawet służba powitała nietajonym chichotem. A przecież gość ten nie ma nic w sobie, coby do pustego pobudzało śmiechu, przeciwnie nawet, na twarzy tej maluje się strapienie. „Niai! Zebulon! Zebulon!” wołano ze wszęch stron.

Tak, Zebulon to w całej swej okazałości, lecz Zebulon pełen gniewu i niemej rozpaczki. Przemokły, zziębnięty, z włosiem spadającym na czoło, oblane potem i sfałdowane w trudne do odczytania hieroglify, stanął Zebulon, gdyby gromowładny Jowisz, pośród rozochoconych gości.

Ale nadaremnie silisz się, Zebulonie, na udanie srogiego gniewu; zmarszczone twe czoło nietylko nie przejmie dreszczem obecnych, ale wprost przeciwną odda ci usługę.

Jakże tu bać się tego, kogo się lubi.

— Nie mogłem dostać koni na ostatniej stacyi.

Temi słowy zwiastował prześladowające go fatum.

Młodszy powstał ze swych krzesel i rzucił się ku niemu; starsi i poważniejsi przesyłali mu zdaleka łaskawe pozdrowienia; kilku hajduków poskoczyło, aby uwolnić go z kapelusza i zimowych rękawiczek, chciano nawet zdjąć z niego obramowaną barankami bekieszę, lecz przypomniano sobie w sam czas, że jest ona dla Zebulona strojem powszednim domowym i galowym zarazem. Gdy zapnie ją pod szyję, ma z niej najwygodniejszy ubiór do domowego użytku, gdy znów ta sama bekieszka wyczyszczona jest i wyszczotkowana starannie, spełnia sumiennie obowiązki sukni galowej.

— Proszę cię, proszę, Zebulonie, na moje miejsce! — odezwali się ze wszech stron nasyceni goście; wszystkie te nawoływania jednakże były grochem na ścianę; Zebulon bowiem ujrzał zdala administratora i spostrzegł, jak go tenże niemym zaprasza gestem, aby usiadł na opróżnionem przy nim krześle. Skinienie to było rozkazem dla Zebulona, który dumny, że wolno mu będzie zająć miejsce obok pierwszego w tem szlachetnem gronie dygnitarza, torował sobie ku niemu drogę rękami i łokciami.

I teraz dopiero zdała się Zebulonowi najstosowniejsza chwila do wynurzenia swych ubolewań; westchnął głęboko i ściskając ręce administratora, odezwał się głosem pogrobowym:

— I w takiej to chwili przychodzi nam się spotykać. Któżby się był tego spodziewał!

Być może, że przed trzema godzinami podobne żale padłyby na grunt żyzny, teraz jednakże, gdy strumienie wina zajęły miejsce łez i żałoby, nie odbiły się najłżejszem nawet echem.

— Siadajno pierw, ot tu na opróżnionem krześle.

— A czyż to miejsce?—zapytał się zafrasowany Zebulon.

— Nie troszcz się o to — uspokajał go administrator—siadaj i nie pytaj o resztę. Miejsce to było przeznaczone dla księdza.

— Na krześle popiem!—zawołał Zebulon, opierając się obiema potężnymi dłońmi na płycie stołowej w zamiarze podniesienia się, w którym to przedsięwzięciu mizernie tylko popierały go skostniałe od zimna nogi—na krześle popiem nie spocznę. Nie siadam na krześle poświęconem. Niech mnie Bóg strzeże, ażebym miał zajmować miejsce osób duchownych.

Zmuszono go, aby pozostał.

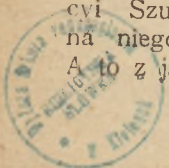
Ktoś z sąsiadów szepnął mu na ucho, kto zacz jest ów ksiądz.

— Aha! To co innego—mruknął jakby do siebie, poczem rozsiadł się wygodnie na wskazanem miejscu i wprawną ręką związał pod brodę podaną serwetę.

Służba wiedziała, co w tym razie czynić jej należy; zbiegła się ze wszystkich stron z półmiskami, na których nęciły podniebienie Zebulona resztki potraw; jeden podawał mu pasztet, drugi fogasza, inny bażanta, inny sos, ten znów pudding, a gość nasz zmiatał to wszystko razem bez ceremonii, zapijając smaczne kąski to węgrynym, to maderą, reńskim winem i szampanem.

Czemu się tu dziwić? Wszakże to wszystko do jednego dostaje się żołądka. W czasie jedzenia nie omieszkał rozpowiadać wszem wobec i każdemu z osobna swych przygód, tonem nieszczęśliwej ofiary.

— Trzy dni już temu jak wyjechałem z domu. Przybyłem zdrowo i szczęśliwie aż do ostatniej stacyi Szunyoglak. Zawolałem wójta i krzyknąłem na niego: dawaj, bratku, konie. Nie ma koni. A to z jakiego powodu? Bo wszystkie konie zabra-



no do Nemesdomb na pogrzeb. Porwały mnie ostatnie pasy—narobiłem hałasu i zapytałem trzęsącego się niby liść osikowy wójta: A wiesz, trutniu, z kim mówisz? Nie pomogło. Obiecałem kiesę temu, kto mnie zawiezie do Nemesdomb; białe cwancygiery to rzecz łakoma i wiecie, jak sobie pomógł w tym kłopotcie ów łotr: oto zaprzął do kolasy cztery woły i takim ekwipażem dowieziono mnie tu. Lecz cóż mi z tego—dodał po chwili w tonie smętnym—skoro spóźniłem się. Nie byłem ani na nabożeństwie żałobnym, nie słyszałem mowy pogrzebowej, nie mogłem nawet odmówić za pastorem modlitwy za spokój nieboszczyka, a wszystkiemu winien ten wójt niecnota i przekłete jego woły.

Komicznym był kontrast tych ubolewań z niezrównanym apetytem.

— O, co do ostatniej, nie masz czego żałować.

Uwagę tę dorzucił administrator.

Słyszając to, Zebulon zadumał się.

Stypa bez miejscowego pastora, modlitwa nie podobała się, administrator rozdrażniony, ot pewnie księżyna — pokombinował Zebulon — palnął jakieś glupstwo.

Gość nasz, trawiony ciekawością, a zarazem niepokojem, zrezygnował z ostatnich kąsków, a zbliżywszy się do administratora, zaczął go badać i dowiedział się historii osieroconego krzesła, jaką to modlitwę wygościł pastor nad otwartym grobem p. Paradlay.

Zgroza i zgorzenie miotaly duszą Zebulona.

Potarł ręką czuprynę i zdziwił się, że włosy jej nie wzbily się do góry, aby zaapelować do pomsty niebios.

— Toć to straszna zbrodnia, zbrodnia stanu, *perduello!* — powtarzał bezustannie, sapiąc przytem nielitościwie. Popijając czarną kawę, zapadł wreszcie w głuche, złowrogie milczenie. W skupieniu ducha

naradzał się sam z sobą, coby począł, gdyby mu oddano na pastwę bezbożnego klechę; za każdym łykiem inne rodziły się myśli w głowie sprawiedliwego. Wyprosiłbym go za drzwi... Zapozwałbym niecnotę przed konsystorz. Oćwoczyłbym go kazał hajdukom.

Ferując wyroki, nie zapominał Zebulon Tallérossy, że godzi się z każdym z nich odwołać do kompetentnego forum: z pierwszym odniósł się oczyma do dyrektora dóbr, z drugim do superintendenta, z trzecim do kasztelana, a z oblicza każdego z nich zdawał się czytać, że się w swych wyrokach nie przegalopował.

— Gdyby go tylko coś gorszego nie spotkało— zauważył pan administrator. Zebulon, który w tej chwili dobierał się łyżeczką do osiadłego na dnie filiżanki cukru, słysząc to, podniósł wzrok swój zdziwiony ku obliczu wszechwładnego administratora, jak gdyby pragnął z niego wyczytać, co rozumieć należy pod wyrazami „coś gorszego.”

Ridegvary odmruknął jakby od niechcenia:

— Kto wie, czy nie przyjdzie mu przejechać się do Wiednia *ad audiendum verbum*.

— O to, to właśnie!—krzyknął Zebulon—o tem właśnie myślałem. To nie żarty. Podburzanie ludu! Obraza majestatu! Toć to pachnie Kufsztainem. Najmniej lat dziesięć i w ciężkich żelazach do tego. Fiskus królewski powinien domagać się głowy jego. Niech wie, że to nie żarty.

Skoro administrator obaczył, że posiedzenie przeciąga się nieco za długo, uznał za stosowne odebrać głos rozprawiającemu Zebulonowi i powstaniem z miejsca zamknąć biesiadę pogrzebową.

Względy przyzwoitości nakazywały złożyć pani domu wizytę kondolencyjną, ku czemu wybrano deputację dziesięćciu, do której przyłączył się także Zebullon Tallérossy.

Pani Baradlay oczekiwała gości w komnacie,

przybranej w żałobne draperye; oparta o stół, podobną była raczej do posągu; ani jeden muskuł na alabastrowem obliczu nie zdawał się świadczyć, że oblicze to należy do żyjącej istoty.

Pierwszy przystąpił do niej superintendent. Kilku nader pięknemi i odpowiedniemi do okoliczności cytatami z Pisma św. starał się wlać balsam w zranione jej serce.

Drugi dostojnik kościoła obdarzył ją kiku cytatami, poczerpniętymi znów ze świeckich autorów.

Po nim zbliżył się administrator, a biorąc poufale rękę wdowy, prosił ją głosem wzruszonym, aby w razie, gdyby boleść jej wezbrała do rozmiarów, którym poddać nadaremno kusilyby się barki samotnej niewiasty, zechciała przypomnieć sobie, że rodzina jej posiada przyjaciela, gotowego podzielić jej smutek i utrapienia.

Wypowiedziawszy to, deputacya zabierała się do odwrotu.

W skład jej przecież wchodził Zebulon, a z tym trudniejsza była sprawa; nie miał on bynajmniej ochoty oddalić się z pokoju wdowy, nie wypowiedziawszy, co mu leżało na sercu, a czego powiedzieć zapomnieli poprzedni mówcy.

— Łaskawa pani, wierz mi, że boleję nad tem niezmiernie, iż ominęło mnie szczęście towarzyszenia jej małżonkowi na miejsce wiecznego spoczynku.

— Toć to nie jest szczęściem, Zebulonie!—szepnęła przewielebny mówcy do ucha.

Zebulon atoli, nie zważając na przewielebnego, tak mówił dalej z wzrastającym zapalem:

— Ugrzążłem w błocie. Serce mi się ścisza, iż nie mogłem złożyć należnego z łez moich haraczku na oltarzu tak wielkiego męża. A gdybym był na pogrzebie, kto wie, czybym nie udusił tego niegodziwego księdza, który ośmielił się żegnać naszego dobrodzieja tak bezbożną modlitwą. O! ten niecnota!

Lecz nie obawiaj się, łaskawa pani! Co się odwlecze, nie uciecze. Spotka go zasłużona kara. Wypędzimy klechę z parafii na cztery wiatry; powołamy go *ad audiendum verbum*, a chyba Boga nie byłoby w niebie, gdyby niegodziwca ominęło dożywotne więzienie, ręczę za to, że tam nauczy się modlić. Licz na mnie i na pana administratora i bądź pewną, że ciężko odpokutuje swe zuchwalstwo. Błagam cię, pani, bądź dobrej myśli!

Piękna blada wdowa podniosła przy ostatnich słowach wielkie swe, pełne wyrazu oczy i utkwivszy je nie w Zebulonie, lecz w Ridegvary'm, zmierzyla go przeciągiem spojrzeniem tak długo, aż administrator, nie mogąc znieść dobierającego się niejako do wnętrza jego duszy wzroku, spuścił jak winowajca siwe swe oczy.

Zebulon, porwany zapalem, chciał kończyć rozpoczętą mowę, pani domu jednakże skłoniła się uprzejmie deputacyi, dając tem samem do zrozumienia, że posłuchanie skończone.

W pół godziny potem wóz za wozem wytaczał się z bramy nemesdombskiego zamku, w którym miejsce chwilowego gwaru dawna zajęła cisza, razem z gęstą mgłą, co spowiła zimowy krajobraz.

ROZDZIAŁ IV.

Dwaj przyjaciele.

Wstępujemy do wielkiej sali, całej z malachitu. Ściany jej, to skamieniały zielony aksamit. Wysmułki zielone filary, wykute z jednej bryły, sprawiają wrażenie olbrzymich pni palmowych dźwigających sufit.

Dokoła słupów we framugach piętrzą się klom-

by zamorskich roślin, a między niemi wspaniała aga-wa roztacza dumnie promienie kwiatów, na które wiek cały czekano; naprzeciw niej królewska jej siostrzyca sagowa palma wyciąga palczaste liście, dochodzące do połowy salonu.

Z sufitu jego zwieszają się w fantastycznych grupach, jakby ze sklepień kryształowej grotty, olbrzymie szklanne pryzmaty, przepuszczające z mnogich lamp tysiącbarwne światła, tworząc efekt rozpryskującej się tęczy. W środku salonu wznosi się wielkie szklanne akwaryum z jednego odlewku. We wnętrzu jego, napelnionem morską wodą, pływają dziwy i potwory morskiego przestworza. Ryby z głowami kształtu żołnierskiej manierki, z nosami wystrzelającymi jak piła, o pletwach kształtu wachlarza; ryby podobne do młota lub węża, podczas gdy na szklanych ścianach akwaryum i koralowych konarach przytulone rozliczne muszelkowate potworki obrazują przepych i bogactwo mórz południowych...

Z pośrodku wodnego łożyska wychyla się alabastrowy Tryton. Z rogu tkwiącego w jego ustach tryska topazowy promień wody; to cenne pachnidło, prawdziwa woda kolońska, która spadając na szklaną pokrywę łożyska, sprawia złudzenie, jakby wszystkie te morskie dziwy kąpały się w wonnej powodzi.

Fala światła, przenikająca akwaryum od spodu, roztacza dokoła blask czarodziejski, a przechadzające się boginie o śnieżnym łonie i alabastrowych ramionach wydają się tajemniczemi nimfami morza, pływającymi na dnie jego w przezroczystych pałacach.

Ależ bo i w salonie nie zbywa na czarodziejskich szepczących i rzucających nieme spojrzenia, zrozumiałe dla tego tylko, którego dusza odgaduje niewymówione, a do niego skierowane słowo.

Do arkady czarownego tego salonu przytykał drugi, trzeci i cała nieskończoność amfilady olśniewającej bajecznym przepychem; marmurowe ściany ka-

zdego z nich innej były barwy; we wszystkich nie brakło złota, srebra, aksamitu i jedwabiów, a wszędzie mnóstwo kobiet lśniących drogiemi kamieniami i cenniejszą nad nie urodą.

Służący pałacowy, ubrany w pąsową liberyę, roznosił na wielkiej srebrnej tacy chłodniki; znajomy nasz wyciągnął właśnie rękę, aby sięgnąć po szklanekę napelnioną orszadą, gdy wtem szepnął mu ktoś do ucha:

— Wstrzymaj się!

Młodzieniec obrócił się i odezwał z mimowolnym uśmiechem, pierwszym tego wieczora:

— Ach, to ty, Leonidzie!

Leonid był to młody oficer gwardyi, w obcym mundurze; silna, jędrna, rwąca się do życia postać o pełnem obliczu, ze starannie wymuskany wąsem i gęstemi blond brwiami, z któremi przedziwnie harmonizowały śmiałe, żywe siwe oczy.

— Sądziłem, żeś mi już zginął w tym tłumie— odezwał się z przyjaznym wyrzutem.

— Tańczyłem z twoją narzeczoną. Miałżebyś nas nie widzieć? Uroczą dziewczyną.

— Nie przeczę. Lecz cóż mi z tego, kiedy nie pierwiej będę mógł poprowadzić ją do ołtarza, aż zostanę pełnoletnim i dostłużę się szlifów, a na to czekać muszę jeszcze dwa lata. Przyznam ci się, że wszystko to zaczyna mnie nudzić. Lecz uciekajmy ztąd.

Cudzoziemiec zawahał się.

— Nie wiem, czy wypada nam oddalić się tak wcześnie.

— Wydalimy się boczną bramą. Tam czekają na mnie moje sanie i futra. Czyś przypadkiem nie zaciągnął jakiego długu wobec tych lalek woskowych?

— Tak, prosiłem księżnę N., której przedstawił mnie marszałek dworu, do kadryła.

— Proszę cię, mój kochany, z księżną bądź jak

najdalej! Ta rozkocha cię do szaleństwa i wyrzuci oknem, jak już wyrzuciła tylu innych. Tu widzisz, wśród tych kobiet, pozwalających nam podziwiać piękne swe ramiona, jeżeliś spojrział dwa razy na młodą dziewczynę, każą ci się zaraz żenić, a jeżeli rzuciłeś okiem na mężatkę, musisz zostać jej niewolnikiem. Chodź raczej ze mną w mniej niebezpieczne miejsce.

— A dokąd?

— Dokąd? Do piekła! Miałżebyś się obawiać, gdyby ci przyszło tam mi towarzyszyć?

— Na honor, nie.

— A do raju?

— I do raju.

— A gdybym cię poprowadził do jednej z owych brudnych, ciemnych i dusznych szynkowni na Ostrów, zamienionej dziś na sale balowe, gdzie głównego zastępu gości dostarczają majtkowie? Czybyś się wahał iść tam ze mną?

— Jestem na twoje rozkazy!

— Ot, kocham cię za to!

Leonid uściśnął i ucałował młodzieńca, wziął go pod rękę i wyprowadził znanymi bocznymi schodami, przeznaczonemi dla służby z pałacu.

W kilka minut unosiły ich po lodowatej skorupie Newy wygodne sanie, ciągnięte przez parę wołyńskich rumaków.

Jednym z podróżnych był arystokrata rosyjski. Leonid Ramirow, drugim pierworodny syn Baradlay'a, Oedön.

Przejeżdżając około szeregu wspaniałych pałaców kąpiących się w półświecie księżycowem, odezwał się Oedön do towarzysza:

— O ile mi się zdaje, Ostrów nie w tej leży stronie.

— Ależbo i my nie tam śpieszymy — odparł Leonid.

— A dlaczegoż mówiłeś mi, że pojedziemy na bal majtków?

— Nie chciałem wyjaśniać ci właściwego celu podróży.

— Gdzież mnie przeto wiesziesz?—Część ta miasta znana mi jest, jako główna przystań przedzalni i cukrowni.

— Zgadłeś. Złożymy wizytę jednemu z właścicieli cukrowni.

— Rób, co chcesz—a otuliwszy się w futro, nie padał więcej Leonida.

Wpół godziny zatrzymały się sanie przed czerwonym gmachem w pośrodku ogromnego parku.

Leonid trącił Oedöna i odezwał się:

— Jesteśmy na miejscu.

Wszystkie okna długiego gmachu gorzały światłem; w przedsionku uderzył naszych znajomych ów niemiły zapach właściwy cukrowniom, który wszystko raczej przypomina, tylko nie cukier.

Pod bramą przedsionka znajdowały się boczne małe drzwi; otworzył je Leonid i pociągnął za sobą przyjaciela. Wyszedł naprzeciw nim modnie ubrany mężczyzna i zapytał po francusku, czego sobie życzą.

— Chcielibyśmy zwiedzić cukrownię—odpowiedział Leonid.

— Rafineryę, czy też samą fabrykę — pytał Francuz.

— Rafineryę—szepnął Leonid i wcisnął mu do ręki zwitek banknotów. Francuz, rozwinąwszy nieznacznie banknoty i zobaczywszy pięćdziesięciorublowki, mruknął *bien*, schował je do kieszeni, a wskazując na Oedöna, odezwał się:

— Czy i ten pan przybył zwiedzić nasz zakład?

— Nie inaczej! — odparł Leonid. — Daj mu, Edmundzie, sto rubli. Zwykła to cena wstępu. Nie pożałujesz.

Oedön podał w milczeniu żadaną kwotę Francuzowi.

Ostatni poprowadził naszych znajomych różnemi gankami i kruzgankami; w końcu po dość nużącej przechadzce, odprawionej pośród dolatującego ich uszu odgłosu warczących kół maszynowych, gwizdu pary i owego chaosu cechującego większe fabryki, stanęli przed żelaznemi drzwiami, które za pociśnięciem ukrytej sprężyny otworzyły się na oścież, zapraszając gości do słabo oświetlonej salki, gdzie pożegnał ich przewodnik, dodając, że młody oficer wie już, jak się pokierować.

Leonid ujął przyjaciela pod ramię i powiódł dobrze znanemi kurytarzami ku drzwiom ukrytym w ścianie tapetowej, a tu zdało się Oedönowi, jak gdyby turkot kół i syczenie pary coraz wyraźniej ustępowały miejsca odzywającej się niby z pod ziemi kapeli złożonej z trąb i dętych instrumentów.

Minawszy kręte schody, znaleźli się w oświetlonym rześścicie przedsionku, gdzie powitała ich stara odświętnie wystrojona kobieta.

Leonid rzucił jej imperyała.

— Łoża moja wolna?—zapytał.

Ukłon, połączony z wdzięcznym uśmiechem, starczył za odpowiedź.

Leonid podążył wprost do drzwi swojej loży, odemknął je i poprosił Oedöna, aby wszedł pierwszy; młody attaché znalazł się w eleganckim saloniku, którego przednią ścianę tworzyła grotta, wpleciona misternie drutem mosiężnym.

Teraz dopiero dolatywały ich wyraźne tony muzyki.

— Teatr to, czy cyrk?—odezwał się po chwili Oedön.

A rzuciwszy okiem do wnętrza, dodał:

— Albo też łaźnia parowa?

Leon uśmiechnął się, a rzuciwszy się na miękkie posłanie, okryte pysznym dywanem, wziął do

reki program na lśniącym drukowany papierze, pociągnął przyjaciela i zaczął wspólnie z nim czytać.

N. 1. „Don Juan au serail.“ Szkoda, żeśmy się spóźnili, warte widzenia i podziwienia. „Tableaux vivants.“ Stare i nudne rzeczy. „Les Bayadères du Kahn Almollah!“ Nie złe, widziałem raz, czy dwa razy. „La lutte des Amazones,“ „La reine d'Ariane.“ Wszystko to przedziwne. Nie wiem tylko, czy Persyda w równie dobrym będzie dziś humorze.

Oedön tymczasem przypatrywał się scenie. Była to grotta, mająca około czterdziestu pięciu metrów średnicy. Łoże otaczały ją w półkrąg, lecz wszystkie były okratowane, tak, że spektaktorowie nie widzieli się wzajemnie. Tylko dobywający się z nich dym cygar, wskazywał, że nie były próżne. Wielki gmach zbudowany był pierwotnie na rafineryę cukru; ale przebiegły jakiś awanturnik francuski urządził tam Elizeum, gdzie dawano przedstawienia, zwabiając całą złotą młodzież, a nawet złotych starców, pobierając po sto rubli za bilet.

Do drzwi łoży zapukał służący.

— Garçon, nakryj stół—zawołał Leonid.

— Na wiele osób?

— Na trzy.

— A gdzie trzecia?—zapytał Oedön.

— Cierpliwości, zobaczysz ją!

Służący spełnił rozkaz, zastawił stół pieczystem, ciastami, nie zapomniał o szampanie i oddalił się. Leon zaryglował za nim drzwi.

— Wiesz co, Leonidzie, że szczególniejsza to rafinerya cukru—zagadnął Oedön, spoglądając ukradkiem przez siatkę drucianą.

— Mniemałeś zapewne, że my zakochani jesteśmy—zaśmiał się Leonid.—Tu tak dobrze, jak na zachodzie.

Leonid zapukał następnie po dwakroć do sąsiedniej łoży, w kilka minut podniosła się tapetowa

ściana, a zdumiony Oedön zobaczył przed sobą postać niewieścią.

Czarująca kobieta z „Tysiąc i jednej nocy“ w długim, perskim, po kostki sięgającym kaftanie, uwydatniającym cudownie pełne jej kształty; smukłą kibić ścisnął w pasie sznur złoty, na piersiach jaśniały perły, dodając jej obliczu coś niewysłowionego. Twarz jej to najczystszej wody typ kaukazki, z noskiem niezrównanego kształtu i oczyma iskrzącymi; jedyną ozdobą jej głowy były dwa pyszne, prawie do stóp spadające warkocze.

Czerkieska, obaczywszy obcego, cofnęła się, jak spłoszona gazela.

— Nie obawiaj się, Jeso — odezwał się do niej Leonid — cudzoziemiec ten jest połową mojej duszy, której drugą połową ty jesteś.

Mówiąc to, posadził ją obok Oedöna, sam zajmawszy naprzeciw niej miejsce.

— Dziewczyna ta, mój Oedönie, to nie jedna z owych lodowatych piękności, których towarzystwo przyprawia nas o rozpacz. Czy tu nie lepiej nam, niż w pysznym pałacu?

Jesa z niemym podziwem spoglądała na Oedöna, zachwyconego w wysokim stopniu wdziękami czerkieski.

— Widziałeś kiedykolwiek podobne oczy? dotykałeś się podobnych ustek, w których zdają się królować wszystkie rozkosze Olimpu?

— Chcesz mnie odprzedać?—zapytała się z lekkim dziewczyna.

— Sprzedam cię, lecz pod warunkiem, że ten, który będzie chciał cię posiadać, podejmie się nowy stworzyć świat. Gdybyś jednakże miała pokochać tego, który dla mnie jest przyjacielem i bratem, gotów jestem wyrzec: bierz ją.

Dziewczyna spojrziała z wyrzutem na młodego oficera. Ten przesłał jej gorący pocałunek.

— A teraz, dziatwa, za kieliszki—zawolał Lco-

nid, strącając nożem szyjkę szampańskiej butelki—napełnimy musującym nektarem trzy szklanki.

Wino spełniło swą powinność; Jesa poczyniała być wesołą, rozkoszną.

— Nie występujesz dziś, Jeso?—zapytał Leon.

— Nie, dziś u mnie dzień odpoczynku.

— Mogłabyś, czarodziejko, dla miłości mego przyjaciela ukazać się dziś na arenie.

Jesa podniosła się.

— Jeśli życzy sobie twój przyjaciel? — odparła, paląc Oedöna wzrokiem, w którym spoczywało zarazem zapytanie i przyrzeczenie.

— Nie rozumiem, o co tu idzie? — zapytał Oedön.

— Ah, nie wspomniałem ci wcale, że Jesa jest mistrzynią w konnej jeździe. Gdybyś ją zobaczył na koniu! Wybierz sobie jedną z jej ról debiutowych.

— Nie znam jej repertuaru

— Barbarzyniec! Mieszkać od pół roku w sercu cywilizowanego kraju i przyznawać się do nieznajomości repertuaru Jesy, to prawdziwie nie do darowania. Zapoznam cię z główniejszemi jej rolami: „La reine Amalasanthe,“ „La diablesse,“ „Etoile qui file,“ „La bayadere,“ „La nimphe triomphante,“ „Mazepa.“ Spuść się na mój gust, Oedönie, i wybierz Mazepę.

— Przystaje!—zawyrokował Oedön.

Czerkieska, oddalając się, pożegnała Oedöna wzrokiem przeciągłym, ognistym, Leonid zauważył to, udał jednakże, że nie widzi.

Oedön zaczął rozglądać się po amfiteatrze, lecz zaledwie pierwsze poczynił spostrzeżenia, zapukał ktoś ponownie do łoży. Leonid pośpieszył otworzyć. Był to służący.

— Po co?—zapytał oficer.

— Kazano mi doręczyć list, zaadresowany do pana, przybyłego tu w pańskim towarzystwie.

— Któż go przyniósł?

— Kuryer, któremu rozkazano odszukać tego pana, gdziekolwiekby był.

— Daj kuryerowi imperyała, a w dodatku kułakiem w kark.

Leonid przypatrywał się pilnie listowi, zapieczętowanemu czarnym lakiem. Adres nakreślony był kobiecą ręką.

— Masz tu bilet-doux — odezwał się, oddając list Oedönowi.—Zapewne księżna N donosi ci, iż zażyła truciznę z rozpaczny, że nie stanęłaś do kadryła.

A zwracając się następnie ku siatce i śledząc pilnie wątek przedstawienia, mówił, zwrócony plecami do przyjaciela:

— Mimo mojej przezorności wysledzono nas... O, kobiety stworzone są na policyantów. Żaden krok nie ujdzie ich baczości.

Rozpoczęła się uwertura. Na odgłos dzwonka zaintonowali ślepi muzykanci galopadę Mazepy, a z po za kurtyny dolatywało równocześnie ujadanie zgrai psów, mających tym razem odgrywać rolę wilków, ścigających skrepowanego Mazepę.

Rozlega się huk kopyt końskich, dzika wrzawa napęlnia powietrze.

— Szatańsko piękna! — zawołał Leonid—patrz Oedönie, patrz i podziwiaj.

Odwrócił głowę, aby zobaczyć, co się dzieje z Oedönem i cóż zobaczył?

Oedön, trzymając list w ręku, gorącemi zalewał się łzami.

— Co ci się stało? — krzyknął Leonid przestraszony.

Oedön podał mu w milczeniu list. Pisany był w języku francuskim i brzmiał:

„Ojciec twój zmarł. Przybywaj bezzwłocznie... Kochająca cię matka, Marya.“

Pierwsze wrażenie, jakiego doznał Leonid, było uczuciem gniewu.

— Łeb rozstrzaskałbym temu posłowi nieszczęścia, który ci list ten aż tu przyniósł. Nie mógłże czekać do rana?

Ale Oedön powstał i w milczeniu opuścił łożę. Leonid pośpieszył za nim.

— Biedny chłopcze! — odezwał się, ściskając dłoń przyjaciela — list ten przyszedł bardzo nie w porę.

— Daruj! — odparł Oedön — Wracam do domu.

— Idę z tobą. Pal dyabli Mazepę. Daliśmy sobie słowo nie rozłączać się ani na chwilę. Spółem wybieraliśmy się do piekieł, raj, wspólnie też pośpieszymy do domu. Chodźmy.

— Ależ ja wracam do ojczyzny, do Węgier.

Leonid popatrzył wielkimi oczyma na Oedöna.

— Co, do Węgier?

— Matka moja żąda, abym przybywał — odparł Oedön lakonicznie, tamując wybuchy głębokiej boleści.

— I kiedy chcesz się wybrać?

— Natychmiast.

Leonid nie mógł ukryć zdziwienia.

— Szaleństwo! nie masz widocznie, mój kochany, wyobrażenia o nieznanych trudnościach, towarzyszących podróży po naszym kraju. Wybierać się w drogę, gdy dwudziestopięciostopniowy mróz zapiera oddech, to czyste niepodobieństwo. Między Moskwą a Smoleńskiem gościńce z powodu ogromnych zasp śnieżnych nie do przebycia. W Rosyi puszczają się zimą w podróż jedynie poczty i kupy.

— Wszystko mi jedno. Jadę.

— Zgoda, ależ zaczekaj, choćby tylko dni kilkanaście; może do tego czasu złagodnieje zima i ustana śnieżyce. Wszak matka nie żąda, abyś narażał zdrowie i życie. Posłuchaj rady przyjaciela, zapukaj do rozsądku i zostań.

— Nie mogę, Leonidzie — odpowiedział Oedön

głosem pełnym boleści—każda godzina, którąbym tu strawił, paliłaby moją duszę ciężkim wyrzutem. Nie pojmujesz mnie.

— Kiedy tak, śpieszmy do twojego mieszkania.

Temi samymi drogami, którymi przyszli, wydobyli się na ulicę.

Skoro przybyli do mieszkania, Oedön polecił zbudzonemu służącemu, aby zabrał się bezzwłocznie do spakowania kufrów. Sam załatwiał pilniejsze sprawy.

Leonid, rozparty w fotelu, przypatrywał się Oedönowi, który z niewytłómaczonym dla młodego oficera pośpiechem czynił przygotowania do drogi.

— Jak widzę, mój Oedönie, zamyślasz na seryo opuścić Petersburg.

— Mógłżeś sądzić inaczej?

— Złe robisz. Pośpiech ten nie wyjdzie ci na zdrowie i może zadać cios fatalny rozpoczętej dopiero karyerze. A początek był dla ciebie jak najpomyślniejszym. Wszyscy cię znają i znakomitą rokują przyszłość.

— Nie dbam dziś o nic.

— Mogę cię zapewnić, że stoisz na liście osób, mających być przedstawionemi w przyszły piątek cesarzowi. Cesarz sam raczył objawić najmiłościwiej swą wolę.

— Ale matka wzywa mnie do siebie.

Słowa te wyrzeczone były tonem tak stanowczym, że Leonid odgadł, iż wszelkie przedstawienia nie zdołają odnieść pożądanego skutku.

— Jeśli koniecznie chcesz nas opuścić, niech cię Bóg prowadzi! Pomogę ci nawet pakować rzeczy.

— Dziękuję ci, lecz jeśli chcesz mi rzeczywistą wyświadczyć przysługę, udaj się do policyi i poproś o zawizowanie mojego pasportu. Tobie, mimo, że godzina niezwyčajna, nie odmówię.

— Spieszę i powracam bezzwłocznie.

Dotrzymał słowa; w półtorej godziny załatwił się z przepisaniem dla podróżnych formalnościami.

— Oto paszport.

Oedön uściśnął sardecznie przyjaciela.

— Nie zdołaż cię tu powstrzymać ani moja przyjaźń, ani względy dworu?

— Cenię wysoko pierwszą, mile mi są drugie, lecz wola matki stoi ponad tem.

— Skoro w ten sposób przemawiasz, pozwolisz mi odsłonić tajemnicę, której panem jestem ja tylko i moja narzeczona, Aleksandra. Księżniczka kocha się w tobie szalenie. Piękne to i dobre dziewczę, lecz nie kocha mnie. Wręcz mi to powiedziała. Gdyby to kto inny, a nie ty, był moim rywalem, zamordowałbym go na miejscu. Tyś mi jednakże więcej niż bratem, więcej niż narzeczoną. Żeń się z nią i pozostań pośród nas.

Oedön wstrząsnął głową.

— Nie mogę, tam matka czeka na mnie.

Młody Rosyanin zadumał się, potarł ręką piękne, wyniosłe czoło, a przystępując do przyjaciela, zagadnął szorstko:

— Postanowienie twoje nieodwołalne?

— Nieodwołalne.

— A więc i ja jadę. Nie puszcze cię samego.

Długi serdeczny uścisk połączył po tych słowach obu przyjaciół i zdało im się, że w piersiach ich jedno uderza serce i jedne i te same wiążą ich myśli i uczucia.

Leonid pożegnał Oedöna, aby poczynić niezbędne do podróży przygotowania. Wysłał kurierów, mających zamawiać na stacyach konie pocztowe.

Wygodne sanki wyładował zapasami żywności: wędliną, suszonymi rybami, sucharami i kawiozem; futra niedźwiedzie, wykładane lisami, berlacze i futrzane czapki miały chronić podróżnych przed mro-

zami; znalazło się również miejsce na kilka sztuk doskonałej broni, pudełka z cygarami i inne przybory tak pożądane w podróży. Do torby ręcznej włożył Oedön między innymi dwie pary łyżew, które mogą przydać się w drodze, choćby tylko po to, aby rozgrzać i wyprostować skostniałe nogi.

Tak obładowanemi saniami zajechał Leonid przed mieszkanie młodego Węgra, przygotowanego już do podróży.

Nim obaj młodzieńcy wsiedli do sanek, zaprzężonych w trójkę dzielnych rumaków, odezwał się jeszcze raz Leonid do Oedöna:

— Nic cię przeto nie zdoła powstrzymać?

— Nic.

— Przyjm przeto odemnie na pożegnanie ten talizman. Dała mi go matka na łożu śmiertelnem, mówiąc, że ochroni mnie on przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

Była to mała, okrągła sylwetka z perłowej masy, oprawna w złoto, z wizerunkiem św. Jerzego, gniotącego smoka.

Oedön wzbraniał się przyjąć tak cenną pamiątkę.

— Dziękuję ci, bracie, nie wierzę w amulety... Ufam jedynie moim gwiazdom, a gwiazdami temi kochające oczy niewieście!

— Wypowiadaj mi się jeszcze, czy na twojem niebie błyszczą dwie, czy cztery gwiazdy?

Oedön namyślał się chwilę, poczem wstrząsnąwszy ręką przyjaciela odrzekł z mocą:

— Cztery.

— To dobrze, teraz jedźmy.

Wsiedli do sanek.

Woznica gwiznął, a rączę konie ruszyły z kopyta zawianemi śniegiem ulicami stolicy.

Zegary wydzwoniły już ósma, Petersburg jednakże spoczywał dotąd w pomroku, który rozpro-

szyć kusily się nadaremnie rozrzucone po ciemnej powłoce firmamentu iskrzące gwiazdy.

Tu późno dzień zaczyna.

Aż do Smoleńska minęła podróż bez żadnego godnego wzmianki wypadku. Powietrze było mroźne, lecz czyste i wypogodzone.

Wieczorem znajdowali znośne schronienie w zajazdach, w których starali się urządzać najwygodniej, jak tylko było można, nie szczędząc pieniędzy.

W Smoleńsku jednakże zwrócono uwagę naszych podróżnych na rychłą zmianę powietrza, której tem pewniej oczekiwać należało, że najniezawodniejsze jej zwiastuny, kruki i wrony, całemi stadami krążyły nad miastem, pokrywając jakby jedną czarną masą dachy domów i wierzyc cerkiewnych.

— A, co tam wrony znają się na meteorologii — zauważyła młoda wiara i puściła się nazajutrz w dalszą drogę.

Leonid polecił swemu woźnicy jechać do Orszy, po Dnieprze doskonale zamarzniętym; lecz woźnica tak wymownie zaczął przekładać swemu panu, iż będzie to znacznie dłuższa droga, na której w dodatku nie znajdą ani jednej porządnej oberży, że Leonid zdecydował się wreszcie zdążyć dalej gościńcem.

Gdy wyruszyli ze Smoleńska, dokoła zawisła tak gęsta mgła, że z trudnością tylko można było rozpoznać najbliższe przedmioty. Podróżni nasi, otuleni w futra, nic więcej nie widzieli tylko końce palących się cygar, ścięte silnym mrozem, przyskały bezustannie, jak gdyby posypane saletrą.

Przytem ziemia zdawała się być rezerwoarem wyziewów, które wydobywając się z jej wnętrza, napelniały powietrze cuchnącemi miazmatami.

Około południa dopiero rozwidniło się na dobre. I teraz szarawa pierwiej mgła zaczęła błyszczeć miliardami przezroczystych igiełek z lodu i przedziergała się w srebrzystą zasłonę, przez którą można

było dojrzyć błądą, białą, bez połysku i ciepła szybę—słońce.

Wtem nagle niewidoma ręka rozdarła mglisty calun na dwoje, a jednocześnie rozjaśniła się cała okolica, piękny śnieżnymi barwami okryty pejzaż, którego obszar srebrzysty, zasiany był isticie cukrowemi figurami. Drzewa przy drodze, wyrastające w dali sosnowe lasy, wszystko to przyprószone zupełnie szronem, każdy włos na koniach zdawał się być zamienionym w błyszczący kryształ.

W kilka minut zaczęło słońce tak mocno palić, że podróżni mogli z łatwością obyć się bez futer.

Wkrótce atoli zmienilo się, niestety, powietrze, a z nią panorama. Od północy podniosły się z niesłychaną szybkością dziwaczne tumany mgły, których kolor, z początku fioletowy, powoli, powoli w ciemno-modłą przedzierzgnął się barwę; tumany mgły wzbily się nagle ku słońcu, a osloniwszy je, sprawiły, że cała okolica przybrała naraz popielatą powłokę.

Leonid, widząc to, odezwał się do towarzysza:

— Ciężką przyjdzie stoczyć nam walkę, bracie, walkę ze śnieżycą.

— A cóż to śnieżycą?

— Wkrótce zobaczysz.

Niebo całe okryło się jednym olbrzymim obłokiem; okolica dokoła w ponurej utonęła ciemni, a między czarnem niebem a otuloną w szary płaszcz ziemią rozpoczęło szalone tany straszne białe widmo: trąba śnieżna, zjawisko pół lodowatych, co stopami dotyka się ziemi, a głową uderza o strop niebieski; ulubienica burz północnych, łącząca niebo i ziemię tumanem śnieżnym, co z niesłychaną wirując szybkością, przebiega doliny i góry, pola i lasy, obalając, druzgocąc, wyrывая, burząc, niszcząc wszystko w swym szalonym pochodzie; nie ma litości ani dla

gęstych lasów, ani dla ludzi, ani dla ich mieszkań, ani dla dzikich zwierząt.

Taką jest śnieżycą północna.

— Jeżeli nas dosięgnie, to już teraz niezawodnie pójdziemy razem do nieba lub do piekła—rzekł Leonid.

Trójka koni ruszyła z kopyta. W dali widniał rąbek lasu, tam skierował się izwoszczyk w nadziei, że nim zerwie się burza, zdołają ukryć się w lesie. Gwiznął, przemówił do ambicyi rumaków, przeżegnał się i lotem strzały popędził do upragnionej przystani.

Naraz zaczęło się błyskać.

Błyskawica i grzmoty w zimie, w czasie 22-stopniowego mrozu!

Nieustanne grzmoty, pioruny i błyskawice napelniały powietrza i w dziką zlewały się pieśń; zdawało się, że trąba śnieżna wyrzuca z siebie swe ogniste żmije, co sycząc i nakreślając w powietrzu węzowe sploty, dodawały piekielnego blasku olbrzymowi, królującemu w strasznym majestacie nad dokonywającym się zniszczeniem.

Burza wyła, szalała, świstała.

Trójka koni stanęła jak wryta. Na nic nie przydały się zaklęcia izwoszczyka, na nic wzywania wszystkich świętych i rozpaczliwe odwoływanie się do batoga, konie nie chciały ruszyć z miejsca.

W kilks minut ciemność nieprzebyta ogarnęła podróżnych. Śnieżycą pochwyliła ich w objęcia.

Szalony wichur zadał z nieopisaną mocą w zbłąkane sanie i siekał, jakby skręconym z mrożonych igiełek biczykiem przelękłych podróżnych; naraz zatrzeszczały sanki i cały ekwipaż wznosił się na śnieżnym tumanie w górę.

Leonid nachylił się ku Oedönowi i złożył na jego ustach braterski pocałunek pożegnania.

— Przyświecają ci, mój druhu, tve gwiazdy?

— Widzę je.

Tu zaprawdę nic nie pozostało naszym bohaterom, jak polecić duszę i ciało miłosierdziu Przedwiecznego. Błyskawice i gromy drgały ponad ich głowami, a nad nimi piętrzyły się ogromne masy śniegu.

Powoli orkan zaczął się uśmierzać.

Leonid szepnął:

— Za chwilę zostaniemy żywcem pogrzebani.

Oedön odparł obojętnie:

— Lepiej to zawsze, niżli gdyby burza miała nas żywcem ponieść w obłoki.

Huk piorunów zamierał powoli.

Trąba śnieżna szalała wprawdzie jeszcze, przepłynęła jednakże ponad podróżnymi, musnąwszy ich tylko lekko swem skrzydłem.

Wkrótce uspokoiła się burza przynajmniej o tyle, że podróżni mogli się zająć wydobyciem samych siebie i koni z pod śnieżnej powłoki. Czarne niebios sklepienie zaczęło się rozwidniać, a z tą samą szybkością, z jaką zawitała, znikła w obłokach dzika śnieżyca.

Cała atoli przez nią nawiedzona okolica przedstawiała okropny obraz zniszczenia.

Ów rąbek lasu, gdzie podróżni spodziewali się znaleźć ratunek, znikł bez śladu.

Zaginał również wszelki ślad gościńca. Nigdzie drogowskazu, ani budki strażniczej, ani drzew rosnących wzdłuż drogi. A wszędzie jeno góry śniegu; przed nimi i za nimi jedna wielka śniegiem pokryta puszca.

— Cóż teraz poczniemy?—zapytał Leonid stangreta.

— Święty Prokop niech nas wspomaga — była jedyna odpowiedź. — Święty ten jest patronem podróżnych.

— Bądź co bądź, musimy w tę lub ową skierować się stronę. Tu zatrzymać się dłużej niepodo.

ona. Może po drodze napotkamy jaką poczciwą duszę, która zastąpi św. Prokopa.

— A co, czy nie lepiej byłoby na Dnieprze?

Woźnica skrobał się w głowę.

— Ach, panoczku, wolałbym dostać dwieście plag własnym moim batem, niż znajdować się tu, gdzie jesteśmy. Gdyby mi kto przynajmniej powiedział, z której strony jest Dniepr, bo inaczej nie trafię ani do Orszy, ani do Smoleńska.

— Nie masz, ba'ku, czego namyślać się, przegnaj konie i dalej w imię Boże! — zawołał Leonid.

Ale i konie nie chciały biedz, jak dawniej zwa wo. Widocznie spostrzegły, że ich kierownik nie wie, jaką obrać drogę. Nieraz zdawało się, że już są na równym gościńcu, lecz za chwilę następowało przykre rozczarowanie i tak coraz dalej zapuszczali się w bezgraniczną puszcę. A nigdzie żywej duszy, ani śladu ludzkiego mieszkania.

Po dłuższem błędzeniu zawołał naraz woźnica:

— Ot, tam kozak na nas najeżdża!

Leonid wychylił się z sanek i spostrzegł rzeczywiście w oddali jakąś postać. Zdawało mu się jeno, że ta postać nie posuwa się naprzód, ale stoi, jakby przykuta do miejsca.

— Śpieszmy ku niemu!

Był to rzeczywiście kozak na koniu.

Uderzyło Leonida, że koń, ugrzązłszy po kolana w śniegu, stał, jakby oparty o ścianę śnieżnej barykady z łbem zwieszonym ku ziemi.

Kozak siedział na koniu, trzymając oburącz długą swą pikę i otwartymi oczyma spoglądał na zbliżających się ku niemu podróżnych.

Stangret pozdrowił kozaka.

Kozak nie odpowiedział.

— Witaj, zuchu, z kąd przybywasz i dokąd śpieszysz? — zapytał Leonid?

I znów żadnej odpowiedzi.

Zniecierpliwiony oficer wyskoczył z sani, a podbiegłszy ku kozakowi, ґochwycił go za rękę. Teraz dopiero zrozumiał uporne jego milczenie.

Kozak razem z koniem zamarł w tym ґłuchym stepie.

— Cóż teraz pocniemy, kędyż się zwrócimy? Ten może nam tylko wskazać drogę do tamtego świata. Niedługo zacznie się ściemniać. Niebo się zachmurzyło, źle będzie z nami, jeśli nie schronimy się przed nocą pod jaki dach.

— Co począć?

— Co począć? — powtarzali podróżni.

Oedön przemawiał zatem, żeby obrać kierunek przeciwny łbowi konia kozackiego, według bowiem wszelkiego prawdopodobieństwa, kozak przybywa ze stron zamieszkałych.

Gdy tak się naradzano, w którą stronę się udać, dowiedzieli się przynajmniej, w którą stronę nie jechać, bo od pobliskich lasów odezwało się ґluche, przeciągłe wycie, a równocześnie konie, strzygąc uszami i najeżając grzywy, zaczęły objawiać ogromne zaniepokojenie.

Było to wycie wilków, piekielny chór, który raz słyszany nie przestaje dręczyć swem echem do grobowej deski.

Woźnica skoczył na kozioł i schwycił lejce.

— Uciekajmy! — krzyknął na pół umarły ze strachu i zaczął, co mu sił starczyło, okładać batogiem grzbiety parszającej trójki.

Konie jednakże nie potrzebowały w tej chwili bynajmniej zachęty, zwietrywszy bowiem niebezpieczeństwo, puściły się lotem strzały w przeciwnym kierunku.

Śnieg pryskał z pod ich kopyt i zdawało się, że jakaś nadziemski siła przypięła im skrzydła i przysparza chyżości w tej szalonej gonitwie.

Obaj młodzieńcy gotowali się na spotkanie nieprzyjaciela. Oedön zdawał się w pierwszej chwili

nie pojmować całej grozy niebezpieczeństwa i mniemał, że kilku strzałami spędzi z pola krwiożerczego przeciwnika. Nie tak Leonid, którego oblicze przybrało wyraz ponurej rezygnacji; myślał, jak przed rozpoczęciem stanowczej, ciężkiej walki. Nabił jednak strzelbę i przygotował pistolety, zdecydowany na wszystko.

Od niejakiego czasu sanie mknęły po gładkiej równinie.

Leonid, wychyliwszy się, aby lepiej widzieć, rzekł do Oedöna:

— Spójrzj po za nas.

Oedön wychylił się z kolei.

Teraz dopiero przejął go dreszcz mimowolny.

W niejakiej oddali spostrzegł całe stado wilków, zbite w jedną szarą masę, pędzące cwałem za podróżnymi. A nie było ich tam dziesięć lub dwadzieścia, ale setki całe, nieprzeliczona gromada, oprócz tych, które las krył w odwodzie. Oedön zadrzał. Była to śmierć pewna.

Trójka pędziła całą siłą rączych nóg, ale krwiożerce stado jeszcze chyżej goniło upatrzoną zdobycz.

I coraz bardziej malała odległość pomiędzy prześladowcami i prześladowanymi; kilku harcowników zbliżyło się do sanek już na odległość strzału, Leonid jednakże nie pozwolił strzelać Oedönowi i radził użyć broni dopiero wtenczas, gdy odstęp będzie nieznaczny.

A na to ścigani nie potrzebowali zbyt długo czekać, owszem, prędzej niż pragnęli, spotkali się oko w oko z nieprzyjacielem.

Jeden strzelał na prawo, drugi na lewo; czterema strzałami odparto pierwsze natarcie i zyskano tyle czasu, że zdołano nabić broń, przez chwilę, przez którą powstrzymały się wilki, nie ze strachu, lecz aby pożreć poległych towarzyszy. Wilki to ludożercy w świecie zwierząt.

— Gdybyśmy tylko mogli wydostać się z tych zarośli! — szepnął Leonid.

W szalonym swym na oślep biegu konie wpadły w zarośla, co znacznie utrudniało ucieczkę.

Konie zrozumiały westchnienie pana. Oczy ich pałały, nozdrza ziały ogniem. Instynkt ich, podniecony trwogą, równał się prawie ludzkiej inteligencji. Na jedną linię nie zboczyły z drogi, pędząc ku równinie, zda się nie widząc ścigających ich z boku wilków. Szło o wspólne ocalenie. Wistocie lasek przerzadzał się coraz więcej, a w dali wystrzeliła cerkiewna wieżyca i rozsiane koło niej zarysowały się chaty. W podróży naszych wstąpiła nadzieja; odwagi i zimnej krwi, a zostaną uratowani.

Skoro sanie zbliżyły się do krawędzi lasu, podniósł się nagle woźnica ze swego siedzenia, a rzucając wzrokiem struchlałym przed siebie, wyskoczył z krzykiem przerażenia z sanek, polecając młodzieńców opiece wszystkich świętych. Na brzegu lasu wspinała się sosna, ku niej to dał susa i jak wiewiórka, wdrapał się na drzewo. Wszystko to było dziełem jednej chwili, a nim podróżni zdołali zdać sobie sprawę z tego, co zaszło, nastąpiła scena, która rozwiązała straszną zagadkę.

Rżenie rozpaczliwe, następnie łomot i trzask, huk, a potem szalone staczanie się w jakąś przepaść i świat cały zniknął im z oczu.

Gdy po jakimś czasie przyszli do siebie, ogarniała ich ciemność, nie pozwalająca rozpatrzeć się w położeniu.

— Żyjesz ty? — zapytał Zeonid swego towarzysza.

— Żyję. A ty nie masz nic złamanego?

— Nic. Lecz starajmy się dowiedzieć, gdzie jesteśmy.

Macając w lewo i prawo, przekonali się, że leżą pod sankami. Widocznie stoczyli się w jakąś rozpadlinę, zawianą śniegiem. Brakło jeno przedniej

części sanek, a z niemi koni. Po mozolnej pracy wydobyli się szczęśliwie z przymusowej kryjówki i wygrzebali się ze śniegu przynajmniej o tyle, że mogli, jak przynależy, ocenić obecne położenie. Otóż zobaczyli, że trójka, gnana strachem, rzuciła się z kilku sążni wysokiego brzegu Dnieprowego, i że podróżni cudowne swe ocalenie tej jedynie zawdzięczając okoliczności, iż razem z sankami wpadli w miękie posłanie śniegu, nagromadzonego tu obficie.

W czasie owego niemilego salto-mortale sanki rozpadły się na dwie części: tylna uwięzła w śniegu, z przodem pobiegły konie i dostały się na drugi brzeg Dniepru.

A stado wilków?

Stado, stanąwszy nad krawędzią spadzistego brzegu, wstrzymało się niepewne, co czynić; pójść za przykładem koni nie miało widocznie ochoty, skok to bowiem, który i zgłodniałemu zwierzowi zdawał się nieco za ryzykowny. Uganiając jednakże wzdłuż brzegu, dopadła zgłodniała zgraja mniej pochylego miejsca, po którym zaczęła się spuszczać, a dostawszy się na lód, ponowila swe harce za splezionemi końmi.

— Tych trudno im będzie dopaść — zauważył Leonid. — Możemy się przeto na to przygotować, że po jakiej godzinie powrócą wilki i do nas się dobią. Los nie do pozazdrosczenia i dlatego musimy ratować się póki czas potemu. Pod naszymi stopami Dniepr zmrożony, w torbie naszej doskonałe łyżwy. Dnieprem dostaniemy się niezawodnie do pierwszej lepszej budy strażniczej, a kilka godzin jazdy na łyżwach, to dla nas bagatela.

— Przedziwnie — zawołał Oedön i uściskał przyjaciela. — Bądź co bądź, życie jest piękne.

Silny wiatr wymuskał, niby przezroczystą szybę, lód na Dnieprze.

Młodzieńcy przypięli łyżwy, zabrali pistolety,

jątagany i manierki z wódką i z radosnem „hura“ puścili się w niezwykłą podróż.

Okrzyk radosny był jednakże przedwczesny.

Główne siły dzikiej armii pogoniły wprawdzie za końmi, na brzegu jednakże pozostała na czatach pikiet, złożona z czterech wilków.

Drużyna ta rozłożyła się obozem pod drzewem, na którem dzwonił zębami nieszczęśliwy woźnica. Powiedziały sobie, że nakoniec ten człowiek zmarźnie, a spadłszy z drzewa, doskonałym będzie przysmakiem. Najstarszy z tej zgrai, niezawodnie weteran zaprawiony i doświadczony w rozbójniczem rzemiośle, oddalił się ze stanowiska, aby przypatrzeć się rozpaczliwym wysiłkom swych towarzyszy, którym koniecznie zachciało się na wieczerzę smacznych kęsków koniny. Stary wyjadacz oblizywał się i pomrukiwał, głód widocznie dokuczał mu gwałtownie.

Wtem zoczył szybujących po gładkiej powierzchni Dniepru łyżwiarzy. Zawył straszliwie na alarm, na odgłos którego trójka, patrolująca pod drzewem, przybiegła do swego wodza, a zobaczywszy uciekających, puściła się za nimi najprzód wzdłuż brzegu, a później, gdy z brzegu tego łącno można było przemieścić się na lód, szklistym gościńcem w pogoń.

Stary wilk jednakże zatrzymał się i wytrwał na stanowisku aż stało ścigające konie, posłyszawszy sygnał, o tyle zmieniło swą strategię, iż miasto harcować za niepewną zdobyczą, z podwójną energią rzuciło się za upatrzonemi ofiarami.

Herszt ten świadom, że gonitwa po lodzie połączone jest z pewnemi niedogodnościami, dowodził wyprawą wzdłuż brzegu.

Znajomi nasi z niesłychaną szybkością pędzili po skręptym grzbiecie Dniepru, śmiejąc się z rozpaczliwych wysiłków trzech wilczków, ślizgających się bezustannie po gładkim lodzie i wywracających koziolki, skutkiem czego przedział między nimi a łyżwiarzami coraz się zwiększał. Ale powodzenie to

było tylko chwilowe i zależne od kierunku rzeki. W miejscach gdzie Dniepr płynął w załamach, niebezpieczeństwo wzmagalo się, stary wilk bowiem był o tyle dobrym geometrą, że wiedział, co jest przekątnią. Podczas gdy ścigani zniewoleni byli trzymać się ściśle kierunku rzeki, przeprowadzał swych mniej doświadczonych towarzyszy w prostej linii tak, że kilkakrotnie łyżwiarze zmuszeni byli całej użyć sztuki i zręczności, aby wydobyć się z fatalnej matni. Pot kroplisty splywał im z czoła, oddech stawał się coraz trudniejszy.

— Sił i odwagi jeszcze na pół godziny — odezwał się Leon — dostrzegam bowiem w dali dym, a ten zwiastuje, że zbliżamy się do miejsca zamieszkałego przez ludzi.

Obaj młodzieńcy płynęli prawie z wiatrem w zawody; ogrom niebezpieczeństwa potęgował sprężystość ich mięśni; pot oblewał czoła, a nozdrza gorącą buchały parą. Postawili na kartę życie lub śmierć.

Zwyciężyli jednakże.

Przedział między nimi a dziką hordą nie zmniejszył się na chwilę. Czterej jeno ochotnicy nie ustawali w biegu i z niezmierną wytrwałością prześladowali swe ofiary.

Leonid pędził przodem. Oedön za nim.

Nagle pierwszy przystanął.

— Zgubionym! — krzyknął, bledniejąc!

Oedön zbliżył się ku niemu i zapytał:

— Co ci się stało?

— Wszystko przepadło. Pękł mi rzemyk u sprzęczki. Pozostaw mnie i ratuj się sam.

— Ah, jakże możesz tracić tak odrazu głowę — odezwał się Oedön. — Wydobądź z kieszeni nóż i wywierć dziurkę w rzemyku. Tymczasem zmierzę się z tymi bestyami.

— Chciałbyś? — zawołał Leonid, w którego na

pół martwe rysy wstąpiło życie nanowo — w takim razie weź i moje pistolety.

Oedön włożył broń przyjaciela za pas i posunął się ku nacierającym wilkom, podczas, gdy Leonid ukląkszy na jedno kolano, przymocowywał przerwaną rzemyk.

Oedön wziął pistolety w obydwie ręce i zarywszy łyżwy głęboko w lodzie, starał się utrzymać w nieruchomej postawie, miał walczyć za siebie i przyjaciela i walczyć na zabój. Jedno drgnięcie ręki, mniej celny wystrzał — a obaj zgubieni. Miał tylko cztery naboje.

Do pierwszej bestyi strzelił o jakie dziesięć kroków, kula przeszła jej piersi; raniony śmiertelnie zwierz rozciągnął się jak długi i buchał posoką, która strugami rozlewała się po lodzie.

Drugiemu wilkowi, cwałującemu bezpośrednio za pierwszym, strzaskała kula przednią łapę; padł na lód, wyjąc przeraźliwie i trzępiąc zranioną łapą.

Trzeciego ugodził zręczny strzelec w samą czaszkę; zatoczył się i skonał u nóg Oedöna.

Pozostał jeszcze jeden i to najniebezpieczniejszy przeciwnik; ogromne wilczyisko, z ogonem kudłatym, jarzącymi ślepiami i kłami zaprawnemi w krwawych wyprawach. Ten, skoro zbliżył się ku Oedönowi, skurczył się i w tej spokojnej postawie oczekiwał wystrzału.

W chwili jednakże, gdy Węgier wystrzelił, stary grzesznik dał susa w powietrze, tak, że wymierzona w sam łeb kula chybiła celu i zamiast w czasie, wilczej uwięzła w lodzie.

Oedön rzucił wypalone pistolety i pochwycił za jatagan.

Chytra jednakże bestya nie czekała natarcia, ale zwiesiwszy ogon, wpadła w pobliskie zarośla, gdzie znikła z oczu Oedöna!

-- Czyś gotów? — zapytał Oedön.

Zamiast odpowiedzi krzyknął Leonid.

— Spiesz na ratunek.

Oedon obejrzał się i spostrzegł w tej chwili, że wilk, który, jak mniemał, znikł już bezpowrotnie w gęstwinach, obaczywszy bezbronego, wysunął się z ukrycia i sposobił się właśnie do pochwylenia swej ofiary.

Oedön zwrócił się ku Leonidowi.

Obaj, Oedön i dziki zwierz, niemal równocześnie przypadli do Leonida.

Ten oczekiwał obu spokojnie, przymocowując łyżwę.

Jeśli Oedön przybiegnie mu w sam czas na ratunek, może wyjść cało; w przeciwnym razie niepodobna będzie bezbronnemu podjąć walkę z rozwścieklonym zwierzem. Dla niego kwestya żywności spoczywała w przypięciu łyżwy. Reszta należała do Oedöna.

Ten, widząc tak okropne niebezpieczeństwo, spotęgował wszystkie siły, aby odciąć drogę wilkowi. Ale wilk jednym skokiem był już przy upatrzonej zdobyczy.

Jedno uderzenie serca, jeden okrzyk zgrozy z piersi Leonida, a już po lodzie tarzała się zbita masa: tu noga, tam kudłaty ogon wilka, ówdzie ręka i krwiożercza paszcza. W strasznych tych zapasach, o życie i śmierć, walczone nożem, zębami, szponami, kłując, szarpiąc, kłując, przyczem raz ten, drugi raz ów przeciwnik był na wierzchu.

W końcu zwyciężył Oedön, ugodziwszy żelazem w samą pierś dzikiego nieprzyjaciela. Zwierz potoczył się i zgrzytając kłami, wydał ostatnie tchnienie.

— Jużem gotów! — zawołał Oedön, prostując się.

— I ja także! — odrzekł Leonid. — Dziękuję ci, przyjacielu. A teraz w drogę. Ratunek coraz pewniejszy nam się uśmiecha. Widzę wyraźnie słup dymu.

Oedön obejrzał się.

— Patrzno Leonidzie, reszta wilków, przestraszona widocznie tragicznym końcem przedniej straży zaprzestała pogoni.

Rzeczywiście całe stado zdawało się zabierać do odwrotu.

— Nie czujeszże — odparł zagadnięty — przenikającego powietrze zapachu? Tam, z kąd widzisz wydobywający się słup dymu, praży się na wolnym ogniu świeżo zdjęta skóra wilcza. Wyziewy, jakie ztąd powstają, działają nieprzyjemnie na nerwy tych bestyj i im to zawdzięczamy, że możemy odetchnąć spokojniej i szukać dachu bez obawy narażenia się na ponowne z dziką tą hordą spotkanie.

Po krótkiej przejażdżce spostrzegli kozacką budę strażniczą; buda drewniana, służyła za przystań dla sani pocztowych. Dalej nieco sterczało kilka chat, zamieszkałych przez rybaków, zajmujących się o tej porze na szeroką skalę rybołówstwem.

Na brzegu rozłożono wielki ogień, przy którym grzało się kilkanaście osób.

Oedön wyprzedził o jakie dziesięć sążni Leonida i pędził całą siłą ku buchającemu szerokim płomieniem ognisku.

Wtem od strony tej odezwaly się głosy:

— Stój, stój!

Leonid przeczuł zagrażające przyjacielowi niebezpieczeństwo i ile mu sił starczyło krzyknął:

— Wstrzymaj się!

Zapóźno.

W tej chwili zniknął Oedön z jego oczu.

Wpadł w przerębęł wyrąbany przez rybaków.

Z piersi obecnych nad brzegiem wyrwał się okrzyk przerażenia.

Jeden Leonid tylko nie stracił przytomności, lecz zdjawszy obuwie razem z łyżwami i zrzucawszy futro — skoczył za przyjacielem w otchłań otwartą.

Leonid dzielny i śmiały był pływakiem.

Z otwartymi oczyma nurkował pod wodą, dociekając jej tajemniczych głębin... Dokoła przesuwały się i pluskały wielkie jakieś ciała; to łuszczaści mieszkańcy świata podwodnego, z kolczastymi grzbietami, nieruchomymi oczyma i szerokimi skrzelami.

O tej porze zbierały się dla zachwycenia świeżego powietrza całą gromada pod przerębiami; mniejsze ryby zbite w jedne ciężkie masy szybowwały tam i napowrót, ścigane przez stuzębne, żarłoczne potwory, wilki wodne.

Leonid nie dostrzegł nigdzie przyjaciela. Zagłębił się jeszcze bardziej. I tu go nie było. Spuścił się na dno rzeki i posunął się za jej biegiem. W głowie szumiało mu bezustannie: Oedönie, Oedönie! gdzie jesteś! Wtem nagle potknął się o jakiś przedmiot. To on.

Leonid pochwycił bezzwłocznie przyjaciela za włosy i rzucił się, wyczerpany wszystkie swe siły, w górę.

Lecz nad nim jedno wielkie straszne sklepienie, a w sklepieniu tem jeden tylko mały otwór, którym dostać się można na światło Boże.

Przypomniawszy to sobie Leonid dopiero wtedy, gdy uderzył głową o ciężki pomost, który, wykuty z lodu, piętrzył się od brzegu do brzegu.

Jak przebić ów rozpięty od końca do końca zielonkowaty, przezroczysty namiot, istne sklepienie śmierci?

Naraz natchnęła go myśl zbawienna; odbił się od lodu i zanurzył napowrót w głębinach.

Tu wypuścił dech z piersi. Bąbelki powietrza — myślał — wydobywające się na zewnątrz najlepszym będą przewodnikiem.

Jeden z tych bąbelków wystrzelił, zakreślając luk, niby biała gwiazda przewodnia, i zniknął w górze z ócz Leonida.

Wówczas zebrał wszystkie siły i podążył śladem owej gwiazdy.

Nie omyliła go.

Stojący nad przerebłą rybacy i kozacy spostrzegli naraz wynurzającą się głowę nurka. Nurek nie sam powracał, ciągnął bowiem za sobą martwe napozór ciało topielca. Wydobyto obudwóch.

Oedön skostniał cały, oczy jego były przymknięte, usta trupiej białości.

Rybacy rzucili się na jego ratunek.

— Dziesięć tysięcy rubli temu, kto przyprowadzi doktora!—zawołał Leonid.

Zbliżył się stary rybak.

— Nie potrzeba mi dziesięciu tysięcy—rzekł—aby go przywrócić do życia. Należy go tylko rozebrać i położyć w śniegu. Ale za to mogę ręczyć, że nigdy jeszcze nikt nie uczynił nic podobnego dla swego przyjaciela.

Leonid, wzięwszy na ręce Oedöna, wyniósł go na brzeg, a położywszy w śniegu, silnem naciera-
niem starał się przywrócić mu życie. Poczciwi ludzie dopomagali mu jak mogli najlepiej, błagając, aby przedewszystkiem sam zmienił ubranie przy ognisku.

— Nie pierwej aż on oczy otworzy—odpowiedział Leonid.

A jednak ubranie zmarzło na nim zupełnie.

.

Tego samego wieczora jeszcze wszyscy aktorowie straszego dramatu znaleźli się w bezpiecznym schronieniu; wszyscy wistocie, gdyż zaledwo Oedön wrócił do przytomności, Leonid nie zapomniał o nie-
szczęśliwym woźnicy. Z pośpiechem wysłał ludzi na ratunek biedaka.

Cudownym wypadkiem wilki nie powróciły

pod drzewo, na które się schronił, i wysłana pomoc przybyła jeszcze na czas, aby go wyrwać ze śmiertelnego odrętwienia, w które go już zimno zaczęło pogrązać.

ROZDZIAŁ V.

D w a j i n n i.

W epoce, w którą wprowadzamy nasze opowiadanie, hotel „pod królem węgierskim“ w Wiedniu był jednym z pierwszych, zaszczycanym przeważnie względami bogatych gości, przybywających z Węgier oficerów węgierskich.

Młody oficer od huzarów wchodzi właśnie na pierwsze piętro rzezonego hotelu. Przystojny to w całem słowa znaczeniu młodzieniec, z obliczem rumianem, pełnem życia i z junacko zakręconym wąsikiem... Czapka nasunięta hardo na oczy, a głowa tak dumnie wzniesiona, jak gdyby obok niego nie było na tym Bożym świecie drugiego huzara i rotmistrza.

Gdy przechodził korytarzem pierwszego piętra, zwróciła uwagę jego niezwykła scena.

Stary jakiś jegomość, starannie wygolony i przyodziany w płaszcz z pośledniego sukna, spierał się, gestykulując żywo z trzema kelnerami i pokojówką.

Im bardziej jednakże starowina gniewał się, wywijał rękoma i deklamował po łacinie i po węgiersku, tem uniżeńsze ukłony biła służba hotelowa, wskazując mu drzwi jednego z najwspanialszych apartamentów.

Zobaczywszy oficera od huzarów—i nie przypuszczając, aby huzar mógł nie być Węgrem—podbiegł ku niemu i przemówił po węgiersku:

— Życzny panie oficerze, bądź tak dobrym i pomóż mi porozumieć się z tymi trutniami, z którymi niepodobna rozmówić się uczciwym językiem.

Oficer zbliżył się do zafrasowanego nieznanego i z pierwszego rzutu oka poznał, że to duchowny.

— Jestem na wasze rozkazy, czcigodny ojcze.

— Władza moja wypisała na mym paszporcie, naturalnie po łacinie, że jestem „*verbi divini minister*”, co znaczy „sługa słowa Bożego”; skoro pokazałem mą legitymację na rogatkach, zaczęli zatrudnieni tam urzędnicy tytułować mnie „panem ministrem” i jako takiego, polecili posługaczom, ci dorożkarzowi, dorożkarz kelnerom i tym sposobem wy kierowano mnie biednego sługę Bożego na jakąś ekscelencyę

Na co mi to wszystko; jestem tylko ubogim duszpasterzem... i przybywam tu nie dla rozrywki, ale z konieczności. Zechciej pan, dobry oficerze, powtórzyć to wszystko zrozumiałe tym ludziom; nie umiem po niemiecku, a oni tu żadnego innego języka nie rozumieją.

Oficer uśmiechnął się.

— A jakież jeszcze znasz pan języki?

— Łaciński, grecki, hebrajski a nawet arabski.

— No, te nie na wiele przydadzą się tu panu. Poczem szepnął coś półgłosem do kelnera, który mrugnął doń tajemniczo, wskazując oczyma na drugie piętro.

— Odpocznij, wielbny ojcze, chwilę w swym pokoju, powrócę za kwadrans i uporządkuję, jak należy, twe sprawy, teraz nie mam czasu, oczekują mnie.

— Ależ proszę cię, mój rotmistrzu, i dla mnie czas drogi — odrzekł na to duchowny, chwytając za pendent palasza oficerskiego. — Toć pozwalając za-

kwaterować się do tego wspaniałego pokoju, muszę przygotować się na to, że mi każą z jakie pięć guldenów zapłacić na dobę.

— Z chęcią ofiarowałbym w tej chwili moje usługi dobrodziejowi — odparł oficer — gdyby tam na drugim piętrze nie oczekiwało mnie pięciu kolegów, z których jeden bić się ma dziś ze mną.

Dobrodziej struchlał i mimo woli puścił pendent pałasza.

— Co, pojedynek? Dałbyś waść pokój tak bezbożnej zabawie.

Oficer uśmiechnął się i ścisnął dłoń przewielebnego.

— Zaczekaj tu chwilkę, świątobliwy ojcze. Powrócę bezzwłocznie.

— A jeśli pana tam gdzie zabijają? — zauważył zakłopotany i naprawdę przestraszony starzec.

— Damy sobie jakoś radę — odrzekł na to oficer i szybkim krokiem podążył na drugie piętro.

Dobrodziej, chcąc nie chcąc, przestąpił próg wskazanego mu apartamentu. Służba nie przestała go tytułować ekscelencyą.

— No, tu wcale ładnie — zagadnął sam do siebie, oglądając się po pokoju — pościel jedwabna, piec porcelanowy. Już widzę, że te wszystkie wspaniałości drogo będą musiał opłacać — wzdychał biedny kapłan, ważąc na dłoni skromnej objętości woreczek z pieniędzmi.

Gdy tak rozmyślał nad biedną swoją dolą, pomsyślał niespodzianie nad sobą łoskot, brzęk żelaza i następowanie z miejsca na miejsce.

Tam nad jego głową pojedyнкуją się naprawdę!

Pięć, sześć minut przeciągnęła się owa wrzawa, dobrodziej tymczasem nie wiedział, co czynić. Brała go ochota roztworzyć okno i wolać co sił starczy o pomoc. To znów chciał biedz na górę, rzucić się między walczących, wyciąć im porządny *paler noster*

i zawołać słowami, zapisanemi u Mateusza w roz. XXVI, wierszu 52: „Schowajcie miecze, bo kto mieczem wojuje, od miecza ginie.“ Gdy tak z własnemi bil się myślami, ustała nagle wrzawa wojenna, a w kilka minut otworzyły się drzwi i wszedł znajomy oficer żywy, zdrów i cały.

Stary jegomość podbiegł ku niemu, obmacał na wszystkie strony i odezwał się z nieklamana radością:

— Nie raniono pana?

— Broń Boże, czcigodny ojcze!

— Jak to, więc pan ranileś przeciwnika?

— Bagatela, naznaczyłem go jednym cięciem po twarzy.

Duchowny struchlał.

— Mój Boże! Toż wy postępujecie, jak dzicy.

— Czy znasz, czcigodny ojcze, starą anegdotkę? Pewnego razu dwóch oficerów biło się o to, że jeden utrzymywał, iż będąc we Włoszech zrywał sardynki z drzewa, a drugi nie chciał temu wierzyć. Gdy pierwszy został rannym, przypomniał sobie wówczas, że to nie były sardynki, tylko oliwki.

— Ale wy przynajmniej nie biliście się o taką niedorzeczność?

— Prawie o taką samą.

— Do pułku, w którym służę obecnie, przydzielono mnie niedawno; z prostego gwardzisty przyboźnego awansowałem odrazu na rotmistrza i aby wkupić się do pułku, zniewolony jestem bić się po kolei z całym tuzinem moich kolegów. Albo oni mnie posiekają, lub ja drasnawszy tego i owego, oswoję ich z mojem towarzystwem. Taki u nas zwyczaj. Lecz teraz pomówmy o przygodzie dobrodzieja. Powiedziałeś mi pan, iż ciężka konieczność przygnała was tu, jakaż to przeto konieczność przywiodła dobrodzieja do stolicy?

— Zaskarbilbyś pan sobie moją wdzięczność, gdybyś chciał wysłuchać od początku do końca. Je-

stem w kraju tym obcy zupełnie, nie mam w Wiedniu żywej duszy, do której mógłbym odwołać się o radę i pomoc, oto krótko i węzłowato, powołano mnie tu *ad audiendum verbum*.

— O... to nie żarty, ojczu. Co i przeciw komu zawiniliście?

— Opowiem panu rzecz całą szczegółowo.

Jestem duszpasterzem w pewnej wsi pod Alfödem, a położenie moje o tyle smutne, że dłuższy czas w ciągłych żyłem zatargach z tamtejszym dziedkiem. Panu wiadomo niezawodnie, że dziedzic u nas to nie lada oligarcha, gdzież przeto rozum puszczać się z nim w zapasy biednemu pastorowi. Obok tego zaszły między nami małe nieporozumienia familijne: dziedzic ma syna, doskonałego młodzieńca, ja córkę, piękną i cnotliwą. Córka dla mnie jest cennym skarbem, skarb ten mniej wysoko oszacował dziedzic i wystął syna do Petersburga. Miał prawo tak uczynić i mnie to ani ziębi, ani grzeje. Wtem umiera jw. dziedzic. Pogrzeb wspaniały, mnóstwo gości, mowy pochwalne sypią się jak z rękawa. Na zakończenie ceremoniału pogrzebowego wypadło mi, jako miejscowemu pastorowi, odmówić ostatnią nad grobem modlitwę. Nie przeczę, że byłem surowy, lecz odzywałem się do Boga, nie do ludzi. A dziś możni i potężni tej ziemi powołują mnie z powodu owej modlitwy do odpowiedzialności i ciężkimi straszą karami; wzywano mnie już do konsystorza i przed trybunał komitatowy jako świętokradcę i podżegacza; odbierają mi mój urząd, lecz to im jeszcze nie wystarcza; każą jechać do Wiednia i tu tłómaczyć się z zarzutu obrazy majestatu; gdzie i przed kim—nie wiem. Lecz osądź pan sam—modlitwę bowiem, z powodu której tyle zważyło się na mnie nieszczęść, mam spisana dosłownie przy sobie, czy zawiera coś takiego, coby mogło dać słuszny powód do tak groźnych oskarżeń?

Usta starca drgały konwulsyjnie, a oczy napę-
niały się łzami.

Młody oficer wziął do ręki podany papier i czy-
tał uważnie. Pastor wpatrzył się całą duszą w obli-
cze huzara, jakby chciał z oblicza tego odcyfrować
wrażenie, wywołane gromkimi słowy czytanej wła-
śnie modlitwy.

— Czybyś, panie, potępił mnie, wedle twego
sumienia, gdybyś był moim sędzią?

Oficer złożył rękopis, podał go starcowi i od-
rzekł wzruszony:

— Nie.

— Niech cię tam Bóg błogosławi! Obyś był
dobrym prorokiem!

Tym, co podobny wydał wyrok, był nie kto
inny, jak syn nieboszczyka, nad którego grobem
przemawiał pastor.

— Posłuchaj, przewielebny ojcze, dobre rady—
odezwał się młodzian. — Najpierw nie wywołaj się
z mieszkania, aż cię zawołają. Nie skarż się niko-
mu, ani nie wtajemniczaj nikogo w swoje kłopoty
i nie czynń nic bez porozumienia się ze mną

— Cóż więc mam robić?

— Siedzieć spokojnie. Gdy przyślą po ciebie,
iść dokąd cię wezwą. Przyszedszy, stój na wskaza-
nem miejscu; słuchaj bez odpowiedzi, co mówić bę-
dą, a gdy dostrzeżesz, że przemowa już skończona,
ukłoń się i wycofaj za drzwi. Powróciwszy zaś
do siebie, chociażby cię o co pytano, nie odpowiadaj
wcale.

— Ależ tym sposobem będę uchodził za istotę
ograniczoną.

— Znajdziesz się pan w takim razie we wspólnem
położeniu z wielu osobami, którym z tem wcale
niezgorzej.

— Jesteś dla mnie, rotmistrzu, prawdziwym
aniołem opiekuńczym, gdybyś tylko zechciał wypra-

wić mnie ztąd jak najprędzej. Bruk wiedeński, to rzecz droga.

— Niech cię o to, ojczyźnie wielbny, nie boli głowa. Jeżeli cię przemocą tu sprowadzono, to pewnie znajdzie się ktoś, co pomyśli, aby nie zbywało wam na niczem.

Starzec nie mógł wyjść ze zdziwienia, ale nim zdołał zadać oficerowi pytanie, zmierzające do rozwikłania ciemnej zagadki, już go nie było.

Zaledwie rotmistrz oddalił się, zjawił się kelner, niosąc na srebrnej tacy kawę i ciasta.

Nadaremnie zaklinał się nasz pastor, że nie jada śniadania; służący, nie zważając na to, postawił tacę na stole i wśród głębokich pokłonów, cofnął się ku drzwiom.

Podziwiając porcelanowe naczynia, zabrał się starzec powoli do spożycia narzuconego śniadania, rozumując w duchu, że czy wypije lub nie kawę, będzie za nią musiał zapłacić. Zresztą ciepły napitek zrana może mu być tylko na zdrowie.

Posiliwszy się, zadzwonił na kelnera i zawołał „*bezahlen*.” Tyle skorzystał dobrodziej w podróży do Wiednia, iż wyraz „*bezahlen*” utkwiał mu dobrze w pamięci.

Równocześnie wydobył z głębokiej kieszeni włóczkową sakiewkę, w której brzęczały srebrne zwancygiery. Zabierał się do zapłacenia. A chciał to uczynić już to dlatego, że przywykł bezzwłocznie uiszczać się z zaciągniętego długu, a powtóre, że rad był, płacąc śniadanie, obliczyć zarazem, choćby w przybliżeniu, geometryczny stosunek rosnących z dnia na dzień wydatków.

Jakżeż się zdziwił jednakże, gdy kelner gestykulując dobitnie, dał mu do zrozumienia, aby schował woreczek z pieniędzmi, i zapewnił, że już *alles bezahlt*.

Młody oficer nie zadrwił przeto ze starca. I teraz dopiero zaczął gniewać się sam na siebie, że nie

zapytał o jego nazwisko, oficer ten bowiem jest widocznie panem tajemnicy, nad której rozwiązaniem nadaremnie łamał sobie głowę.

Czytelnicy domyślą się, że rotmistrem tym nie był nikt inny, tylko Ryszard Baradlay. On to polecił kelnerowi, aby staremu nie zbywało na niczem, wszelkie bowiem wydatki on poniesie.

Opuśćmy teraz starego pastora i pospieszmy za młodym rotmistrem, który w godzinie południowej zwykł był powracać do domu.

Mieszkał na trzeciem piętrze w dwóch skromnych, ale schludnych pokojach. Obok była alkowa, zajęta przez służącego, do niej przytykała mała kuchenka.

Służącym tym był stary huzar, którego Ryszard nie nazywał inaczej, jak „panem Pawłem“.

I słusznie, boć jeśli kto komu tutaj rozkazywał, to z pewnością nie rotmistrz Pawłowi, ale owszem wręcz przeciwnie.

Paweł, choć dźwigał na swoich barkach niezawodnie z jakie sześć krzyżyków, choć czwartą już w wojsku wysługiwał kapitulację i nosił na piersiach t. z. „Kanonenkreuz“, oznakę, że przebył kampanię napoleońską, był ciągle szeregowcem i kawalerem do tego.

— No, panie Pawle, co tam dziś u ciebie na obiad? — zapytał rotmistrz po powrocie do domu, odejmując pałasz i wieszając go na ścianie, podobnej do małej zbrojowni.

Paweł sprawował zarazem urząd kucharza.

— O! dziś smaczny obiadek — odpowiedział z flegmą humorystyczną zagadnięty. — Dziś nagotowałem „greckiego różańca“.

— Przedziwnie — odezwał się rotmistrz — a do tego?

— Do tego „buciki anielskie“.

— Pyszne jedzenie — zawołał oficer — czy stół już nakryty, panie Pawle?

Paweł zmierzył swego pana od głowy do stóp.

— Jak to, więc to dziś w domu jemy obiadek?

— Tak, jeśli znajdzie się coś dla nas, panie

Pawle.

— Znajdzie się, znajdzie — odpowiedział stary wiarus i zaczął krzątać się około stołu, który nakrył czerwoną serwetą, zastawił fajansowymi talerzami, uzupełniając nakrycie butelką szampańską, napelnioną w tej chwili mniej szlachetnym płynem, bo studzienną wodą.

Rotmistrz przysunął się do stołu i rozsiadając się wygodnie, oczekiwał niecierpliwie pierwszego dania.

Paweł jednakże, zakładając w tył ręce, odezwał się:

— Jak widzę, dziś znów jesteśmy bez grosza? Nie zgadłem?

— Rzeczywiście, nie mam przy duszy ani szeląga — odpowiedział Ryszard, bębniąc nożem po talerzu.

— Jakto, wszak dziś zrana jeszcze widziałem u pana dwa dukaty.

Ryszard machnął ręką, dając do zrozumienia, że poszły już za innymi.

— A to pięknie! — mruzczał stary sługa — niezawodnie wydało się je na bukiety dla ładnych dziewcząt. Lub też utonęły w szampanie? Pięknie, pięknie! — gderał stary, wydobywając z szafy wyszczerbiony półmisek.

A następnie dorzucił z rezygnacją filozofa:

— Zresztą i ja nie byłem innym za młodych lat.

Mówiąc to, wyszedł i powrócił wkrótce z dyjącym półmiskidm.

Paweł nazywał groch na kwaśno „greckim różańcem“, a pływające w nim wieprzowe nóżki „bukcikami anielskimi“.

Stary huzar nagotował to wszystko dla siebie,

nagotował jednakże tyle, że śmiało mogło wystarczyć dla obu.

Ryszard zjadał tak smacznie, jak gdyby w ży ciu swem nie zakosztował nic lepszego.

Paweł stał uroczyście za krzesłem pana, chociaż nie było potrzeby zmieniać talerza, skoro cały obiad składał się z jednego dania.

— Nie pytał się kto o mnie? — zagadnął rotmistrz w czasie obiadu.

— Hm, czy się kto o nas nie pytał? Nie tylko pytał, ale i szukał.

— Kto taki?

— Najpierw pokojówka tego tam licha, jak się zowie... tej aktorki, przyniosła bukiet i list; kwiatami ubraliśmy okno w kuchni, dziewczynę uściskaliśmy, a listem zapalili w piecu.

— Tego zanadto, jak śmiałeś!

— Stało tam, aby pan rotmistrz przysłał jej pieniędzy.

— Zkąd wiecie o tem, panie Pawle? Sądziłem zawsze, że pan Paweł nie zbadał tajemnic abecadła.

— A węch od czego; powiodłem nosem po liście i domyśliłem się, czego chce komedyantka.

Ryszard nie mógł wstrzymać się od głośnego śmiechu.

— A któż był jeszcze więcej?

— Handlarz koni, Hortigländer. Przyprowadził dwie szkapy, za które żąda 400 guldenów.

— No i?...

— To interes nie dla nas. Konie na oko ładne, ale tylko na oko. Odprawiłem go.

— Źleś zrobił, panie Pawle. Konie mieć muszę; 400 guldenów nie mam jednakże, a Hortigländer zaczekałby...

— Któż jeszcze pytał się o mnie?

— Panicz.

Paniczem nazywał stary huzar najmłodszego z Baradlay'ów.

— Mój brat? I czego żądał?

Paweł poskrobał się i odpowiedział tonem niechętnym:

— Sam przyjdzie niezawodnie, to i powie panu.

Jakby na zakłęcie wszedł ten, o którym w tej chwili mówiono.

Był to smukły młodzieniec wątłej budowy ciała, gładkie jego dziecinne oblicze siliło się na oddanie wyrazu przyjaznego, a jeśli nosił głowę nieco w górę, to nie czynił tego z dumy, lecz poprostu z powodu szkieł osadzonych na nosie. Gdy ścisnął rękę starszego brata, mimowoli zdało się temu, że regulamin nakazuje urzędnikom najwyższej władzy rządowej, aby wszędzie i zawsze byli dla każdego uprzedzająco ugrzecznionymi.

— Jak się masz Jenő, z czem przychodzisz?

— Tym razem rzeczywiście coś ci przynoszę.

Wpierw jednak racz wyprawić Pawła.

— Pawle, Pawle, czas na obiad.

Pani Paweł jednakże skorzystał z przysługującego mu prawa municypalnego i remonstrował.

— Zaraz, zaraz, tylko sprzątnę ze stołu.

Staremu wiarusowi niesporo jakoś szło dziś sprzątanie.

To spadła łyżka, to nierówno złożył serwetę, to krzesła nie na swoim stały miejscu. Jak mógł, zwlekał wymarsz do kuchni, w końcu jednakże poddał się twardej konieczności i pomrukując, pozostawił sam na sam obu braci.

— No, to tymczasem zapal sobie cygaro — rzekł Ryszard do brata, podając mu cygarniczkę.

— Dziękuję.

— Lękasz się, aby pani twych myśli nie spostrzegła, że palilesz?... No, a teraz mów, skoro Paweł już wszedł.

— Przychodzę, aby ci powiedzieć, że odebrałem list od matki — zagadał młodszy brat.

— I do mnie pisała matka?

— Dobra mama donosi, że podwaja mi dotychczasową gażę miesięczną, zarazem dołączyła przy liście tysiąc guldenów na wynajęcie i urządzenie odpowiedniego mojemu stanowisku mieszkania.

— Tak? do mnie zaś przeciwnie pisze matka, że jeśli się nie poprawię i nie przestanę po dawnemu marnotrawić, przehulam w krótkim czasie resztę ojczystego działu; zarazem czyni dalsze przysłanie gaży miesięcznej i zapłacenie długów zależnem od mojej poprawy.

— Wiesz co, braciszku, że wszystko to przyszło mi bardzo nie w porę: rozporządzając znaczniejszemi pieniędzmi, zwróć tylko na siebie uwagę moich przełożonych. Nie zdołasz sobie wystawić, jak krzywo u nas patrzą na tych, którym zachciewa się odgrywać role paniczów. W moim zawodzie może liczyć na awans tylko urzędnik bezwzględnie zawisły od swoich przełożonych. Skoro ktoś pocznie bawić się w dandysa, mieszka porządniej i żyje lepiej niż jego przełożony, wierzaj mi, że ten samem zamyka sobie na zawsze karierę. Uważają go za amatora. Doprawdy, nie wiem, co począć teraz?

— Co się zaś mnie tyczy, nie jestem ani chwili w kłopotcie, co robić. Niepodobna mi zaprowadzać oszczędności tam, gdzie mnie sądzą według tego, jak mnie widzą. Za to ograniczę się w wydatkach, odnoszących się ściśle do mojej osoby.

— Wiesz, Ryszardzie, po co tu przyszedłem? Oto aby podzielić się z tobą pieniędzmi przysłanemi mi przez matkę.

Mówiąc to Jenö strącił z nosa okulary, aby brat tem lepiej mógł z oczów mu wyczytać, że propozycja jest szczerą, braterską.

— A czy nie zażadasz zbyt wygórowanych odsetek?

Jenö nasadził na nowo okulary i widocznie niezadowolony, odezwał się:

— Daj pokój niestosownym i obrażającym żartom.

— A więc dzielisz się ze mną w tym jedynie celu, bym pomógł ci przetrwonić pieniądze, z które-
ni nie wiesz, co robić. Jeśli o to idzie, licz na
mnie.

— Mniemałem, że będziesz umiał użyć ich le-
piej odemnie — odezwał się Jenö i wcisnął bratu
przygotowany już banknot w rękę, ściskając ją
razem.

Ryszard złożył pieniądze na stole.

— Przytem chciałbym ci jeszcze coś powie-
dzieć — zagadał obojętnym na pozór tonem Jenö —
Przynoszę ci zaproszenie na jutrzejszy wieczór do
Plankenhorstów.

Ryszard oparł się łokciami na stole i z saty-
rycznym uśmiechem patrzył w okulary młodszego
brata.

— A od kiedyż to — zapytał rotmistrz — mia-
rowano cię marszałkiem dworu pani baronowej Plan-
kenhorst?

Jenö jękał się i utykał.

— Bo widzisz... obligowano mnie, bym ciebie
osobiście prosił w ich imieniu.

— A, więc to mają być procenta lichwiarskie!

— Nie rozumiem cię — odparł Jenö zły i znie-
cierpliwiony docinkami brata.

— Wiem o tem, że umizgałbyś się do Alfon-
syny, gdyby nie stała na drodze matka, w której
oczach wielkim jesteś młokosem. Pani Antonina je-
dnakże jest jeszcze w pretensjach błyszczenia na wiel-
kim świecie i nie biorę jej tego za złe, nie ma lat
czterdziestu i odznacza się niepoślednimi wdziękami.
W czasach mojej służby w gwardyi tańczyłem z nią
nieraz na balach i ztąd nasza, choć bardzo tylko po-
bieżna znajomość. Braciszek mój świadom jest tych
dziejów i dlatego radby mnie wykierować na owego
mala, na którego grzbiecie mógłby zajechać do córki.

Żgoda, bracie, będę twoim sprzymierzeńcem, choć przyznaję sam, że procent nieco za wysoki. Siada na moje barki i licz na to, że pod mojemu skrzydła mi będziesz mógł dowolnie zawracać główkę córeczce.

— Proszę cię, Ryszardzie, byś mniej uszczypliwie odzywał się o kobiecic, dla której z rzeczywistymi jestem intencjami — odezwał się Jenö, mierząc szerokimi krokami salonik.

Pochwili, zwracając się do brata, zapytał:

— A więc idziesz?

— Najniezawodniej, braciszku. Panią Vestris sławiono jako pierwszą w świecie tancerkę, a przecież znakomitość ta nie pobiera więcej nad 500 guldenów za występ.

— Proszę cię jeszcze raz, zaprzestań niewłaściwych żartów! Gotów jestem naprawdę się rozgniewać i przestać bywać u ciebie. Podzieliłem się z toba po bratersku zbyt cennym groszem i jestem przekonany, że i ty postąpiłbyś tak samo, gdybym był w potrzebie, a twoja kieszeń nie świeciła pustkami; nie winienem temu, że okoliczności tak się złożyły, iż równocześnie z ofiarowaniem ci tej drobnostki wypadło mi zaprosić cię na jutrzejszy wieczór.

— Słuchajno, Jenö! Ręka rękę myje, zrobię ja coś dla ciebie, zrobisz i ty dla mnie. Nie żądam nic więcej jak tylko, byś u jego ekscelencyi, twojego najwyższego przełożonego, wstawił się za pewnym ubogim duchownym, którego powołano tutaj *ad audientiam verbum*. Przybywa aż z Nemesdomb, gdzie jest miejscowym pastorem, a całą winą jego, że się nieco uniósł, odmawiając modlitwę nad grobem.

— Jakże się o tem wszystkiem dowiedziałeś? — zapytał zdziwiony Jenö.

— Później ci opowiem, dziś ponawiam jedynie prośbę, byście starca puścili w pokój.

— Nie wiem, czy się to uda, kanclerz bowiem mocno jest na niego zagniewany.

— Ach, daj mi pokój z twymi wielkimi mężami! Widziałem już wielu z waszych potęg *masculini et feminini generis*, w gali i w negliżu. Wielkości te nie zaimponują mi bynajmniej. Twoja ekscelencya marszczy czoło, zagada opryskliwie do zastraszonego delikwenta, a gdy ten znajdzie się już za drzwiami, ekscelencya pęka ze śmiechu i cieszy się, że napędził strachu nieborakowi. Protegowany mój zdaje się być uczciwym z gruntu człowiekiem, a choć język jego nie zawsze pamięta o granicach, jakimi określono powołanie sługi Bożego, toć niepodobna straszyć go zaraz za to karami doczesnymi. Puśćcie go do domu, niech i nadal uprawia niwę niebieską i pasie na niej swoje owieczki.

— Pomówię w tej sprawie z ekscelencyą.

— Dziękuję ci. A teraz skoro uporaliśmy się z interesami, wypijemy na przypieczętowanie zgody butelkę szampana. Hej, panie Pawle!

— A co tam? — odezwał się huzar z drugiego pokoju.

— Masz tu banknot dziesięcioguldenowy. Ruszaj po dwie butelki wina. Jedną dla nas, drugą dla siebie.

Paweł, wychodząc z domu, mruknął pod nosem:

— Takuteńki byłem i ja za młodszych lat.

ROZDZIAŁ VI.

Nowe postacie.

Wieczory w salonach pani Plankenhorst dobiły się w stolicy pewnego rozgłosu, a nazwisko Plankenhorst dość dobrze dźwięczało w kołach wyższego towarzystwa. Wielka szkoda, że brakło mu tytułu

choćby tylko barońowskiego. Brakowi temu zaradzili przyjaciele owdowiałej pani Plankenhorst, nie nazywając jej inaczej, jak baronową, a widzieli się do tego tem więcej upoważnieni, że pani ta przyniosła ów tytuł w wianie mężowi. Nawet córce nie odmawiali jej wielbiciele tak malej, a tak miłej drobnostki.

Panie Plankenhorst, matka i córka, zajmowały w śródmieściu pałac, będący ich własnością, co w Wiedniu nie należy do rzeczy zupełnie zwyczajnych. Wprawdzie pałac był stary (jeszcze z czasów Maryi Teresy) i służył im za miejsce pobytu zarówno w zimie, jak w lecie; ale panie prowadziły dom na okazałej stopie.

Miały wstęp u dworu, gdzie je też często widzieć było można, chociaż były tam przyjmowane lepiej przez linię męzką, aniżeli przez żeńską. Baronowie, a nawet książęta podawali ramię powabnej pani Antoninie, by ją poprowadzić do bufetu, i wszyscy tańczyli chętnie z panną Alfonsyną, ale nikt nigdy nie słyszał, by który z tych baronów lub książąt starał się o jej rękę.

Pomimo to salony jej w dniach recepcyi były zbornym punktem męzkiego przeważnie towarzystwa. Baronowie, od których dopiero zaczynają się ludzie, i książęta, będący pierwszymi posterunkami szlachty, chętnie przebywali w towarzystwie pięknych gospodyń domu.

Wieczory u pani Plankenhorst były też i głośne z tego, że niejedna intryga miłosna, a nawet intryga stanu, ztąd wywodziła swój początek.

Zadziwiało tylko, że w wieczorkach tych nie uczestniczyło to właśnie towarzystwo, które gospodyni domu zwykła była zaszczycać swemi wizytami. Za książętami Windischgrätz, Colloredo napróżno się tu oglądano.

W każdym jednak razie w salonach baronowej nie brakło wojskowych i cywilnych znakomitości, o poważnych obliczach, złotych kołnierzach i gwiazda-

mi obsypanych pierśiach. Garnęli się zwłaszcza młodsi oficerowie i gwardziści przyboczni. Grono dam, choć mniej licznie reprezentowane, zosługiwało niezawodnie na nazwę wielkoświatowego.

Co się zaś tycze tonu, jaki tutaj wszechwładnie panował, to ten odpowiadał pod każdym względem regułom przyzwoitości i konwenansu? Dodatnią obok tego stroną wieczorków pani Plankenhorst była swoboda, nie przestająca ani na chwilę ożywiać doborowego towarzystwa, przymiot, który nie zawsze zwykł iść w parze z tem ostatniem.

Niemile zdziwił się Jenö, gdy wstąpiwszy o godzinie 9 wieczorem po Ryszarda, zastał go rozebranego i zagłębionego w jakimś romansie.

— Jakto, nie idziesz więc na wieczór?

— Na jaki wieczór?

— Do baronowej Plankenhorst.

— Ach, zapomniałem najzupełniej — zawołał Ryszard, zrywając się z sofy. — Hej, panie Pawle!

— Powiedz mi, Ryszardzie, czemu to przypisać, że odsuwasz się tak znacząco od domu baronowej. Dom to przecie tak przyjemny, gospodynie dystyngowane i pełne słodyczy!

— Co tam nowego? — zapytał Paweł.

— Żywo, mundur paradny! — krzyknął rotmistrz.

— Oczekuję odpowiedzi na zapytanie — napięrał Jenö. — Co zawiniły ci te kobiety, że ich nie lubisz?

— Alboż ja wiem — odpowiedział Ryszard — nie mam do nich nabożeństwa...

Po chwili, ubierając się, rozpoczął starszy brat:

— Posłuchaj mnie, Jenö. Gdym przebywał w Bononii, spotkałem razu pewnego nad brzegiem morza rybaka z długim, na końcu zagiętym drutem. Zapytany, co tu robi, odpowiedział, że przyszedł obiadować. Był to czas opadania morza, a w piasku morskim można było dostrzedz małe, okrągłe otwory,

Rybak wydobył z zanadru szczyptę soli i wsypał ją do otworu, z kądem ukazały się niespodzianie różki ślimaka, przezwanego przez Włochów *pesece cannella*. W jednej chwili nadział na drucik biedne zwierzątko i wydobył je ze skorupy. Chudy to obiad, *mio caro*, zagadnąłem rybaka. Ten w odpowiedzi uśmiechnął się, nawiązał na drugim końcu druta długi sznurek i zaimprovizowaną w ten sposób wędkę zarzucił w wodę, z kądem z miną tryumfującą wyciągnął ogromnego dorsza.

— Zkądżeż ci się w tej właśnie chwili przypomniała scena z nad morza? — zapytał Jenö, wzruszając ramionami.

— Tak, ni ztąd, ni zowąd.

W pół godziny po tem spotykamy braci na wieczorze u baronowej. Jenö przedstawił Ryszarda pani domu i jej córce. Obie damy przypomniały sobie młodego rotmistrza, przyczem pani Antonina dorzuciła, iż cieszy się niewymownie, widząc go w swym domu.

Ryszard odplacił komplement kilku zwykłemi w podobnych razach grzecznościami i ustąpił miejsca nowo napływającym gościom.

— Czy zapoznać cię z wybitniejszymi osobistościami tych salonów? — zapytał Jenö Ryszarda.

— Nie trudź się. Znam je lepiej od ciebie. Ów marszałek, który rozmawia tak głośno, jakby dowodził brygadą, to naczelnik magazynów; zuch ten strawił swe życie na odmierzaniu zapasów żywności i ważeniu siana, a z hukiem dział nie miałby był nawet sposobności zapoznać się, gdyby nie imieniny cesarskie. A ten młody książę, to sekretarz dyrektora policyi, wpływowa zresztą osobistość. Ów gruby jegomość, zakrawający z powierzchowności na bankiera, to radca zdrowia, cały na nim sklep złota i biżuteryi. Patrząc na tę czcigodną postać, jakże nie zgadnąć, że jego nadzorowi poddane są publiczne domy

zdrowia. Ten zaś niski stary jegomość, zawiązujący z talleyrandowską uprzejmością w lewo i prawo rozmowę, to znów referent, którego zadaniem bawić kanclerza plotkami z życia publicznego i prywatnego. Owa dama w drogiej sukni z policzkami nałożonemi bielidłem i różem, to żona bankiera Blumenbacha, u którego zadłuża się nasza młodzież złota, a który skutkiem tego wtajemniczony jest w sekreta sfer najwyższych...

Każdy inny byłby się śmiał z całego serca. Ale Jenö stąpał, jak po cierniach. Widział, że brat jego nieszczęśliwie ma wyobrażenie o tem świetnej towarzystwie i drżał, aby go kto nie usłyszał, lub nie odgadł.

— Wiesz — ciągnął dalej Ryszard niezmierny — ja ponad całe to zgromadzenie przekładam pokojóweczkę, którą spotkałem na schodach. Dziecina dziewczyna. Jeżeli to miejscowa służąca, to chętnie dla niej będę uczęszczał na wieczory Plankenhorstów. Gdy przebiegła koło mnie, uszczypnąłem ją zlekka w policzek, ale tak mocno dostałem po łapie, że dotąd jeszcze czuję uderzenie.

Jenö jednak nie słuchał już brata, lecz uśmiechał się zdaleka do jakiejś znakomitości, zbliżającej się ku niemu. Ryszard obrócił się, chcąc zobaczyć, kto wzbudzał w Geniu taką uprzejmość.

Był to wysoki, chudy mężczyzna, którego budowa ciała zewsząd ostremi wystrzelała kantami, a którego oblicze podobnem było do nieregularnej pryzmy, brwi jego gęste zbiegały się w jeden kąt otwarty, nos podobny był do ostrokąta, a broda do trapeza, nad wierzchnią wargą rozgościły się śpiczaste wąsy, a w trygonometrycznem do nich położeniu wysuwała się starannie wygładzona śpiczasta hiszpanka.

Ryszard, zobaczywszy ową figurę, usiłował odgadnąć ją naprędce.

— Ten ktoś, którego z teleskopicznym wita uśmiechem mój braciszek, to niezawodnie jakiś wyż-

szy kuryer nadworny przy poselstwie hiszpańskim—pomyślał Ryszard i nim zdołał popuścić wodze innemu przypuszczeniu, już spiczasty jegomość zbliżył się wprost ku niemu, a klepiąc poufale kościstymi palcami po ramieniu, zagadał go przyjaźnie po węgiersku:

— Servus, Ryszardku, servus!

Ryszard odpowiedział zimno:

— Servus!

Spiczasty dostojnik musnął hiszpankę, jak gdyby chciał być dać do poznania, że odpowiedź w tym guście nie po jego jest myśli, podczas gdy Jenő pełen zaambarasowania przygryzł wargę i niespokojnym wodził okiem to po bracie, to po wielobocznym ichmościu.

Ryszard był pewien, że ów *quidam*, zagadujący go w tonie tak poufałym, spił się z nim na jakimś balu i rad po trzeźwemu odnowić znajomość.

— A co, jak ci się powodzi?

— Doskonale. A tobie?...

Druga odpowiedź mniej się jeszcze podobała od pierwszej; przybyły skrzywił się wyraźnie.

— Jutro powracam w nasze strony — mówił dalej. — Cóż mam powiedzieć od ciebie twojej matce?

— Więc mieszkasz w naszych stronach?

To pytanie jeszcze niefortunniejsze sprawiło wrażenie.

Jenő udawał, że nie słyszy rozmowy i oddalił się o parę kroków.

— No, coż mam powiedzieć twojej matce? — powtórzył nieznajomy.

— Że całuję jej ręce.

Przy słowach ostatnich linie oblicza śpiczastego dostojnika utworzyły nagle nową konfigurację kąców, a gdyby spostrzeżenia nasze innego, a nie tego właśnie dotyczyły oblicza, konfigurację ową nazwalibyśmy ucieleśnieniem przyjaznej podzięki.

— Możesz być pewnym, mój kochany, że two-

je polecenie wiernie zostanie spełnionem. Ucałuję osobiście z największym szacunkiem ręce twej czcigodnej matki.

— Ach! mój Boże, niema najmniejszej potrzeby spełniać aż tak dokładnie tego polecenia; przecież i ja nie dałem ci go w naturze.

— Hm! — chrząknął ostrokościsty jegomość. — Może ty nie wiesz, z kim mówisz? — miał już na ustach zapytanie, ale niebezpiecznie było je zadawać, gdyż odpowiadając, młody człowiek mógł oznajmić, że właśnie wiedząc doskonale, tak mało okazywał szacunku pytającemu. Trzeba się więc było wziąć inaczej do naprowadzenia na dobrą drogę tego nieroztropnego młokosa.

— A ty sam nie masz zamiaru odwiedzenia swych stron rodzinnych? — zagadnął znów nieznanomy.

— Być może, jeżeli mój pułk wyślą do Pesztu.

— Mógłbyś dostać pozwolenie, gdybyś chciał pojechać.

— Cóżbym tam robił?

— Zobaczyłbyś walczące w tej chwili pierwsze osobistości w kraju. Dowiedziałbyś się, że są zapasy nietylko na polu bitwy, zapasy, w których wierność na ciężkie wystawianą bywa próby. Walczymy zbrojni inteligencją i sprawiedliwością, a jest to broń, której używając, twój ojciec umiał uczynić zwyciężką swoją sprawę. Wy, jego synowie, powołani jesteście do dalszego prowadzenia rozpoczętego przezeń dzieła.

— Co do mnie, nie mam na to ani dosyć rozumu, ani pieniędzy—odparł Ryszard.

— Nabędziesz z czasem i jedno i drugie; dopóki zaś nie uczujesz się dość silnym, aby zająć godnie swe miejsce, ja prowadzić będę świętą walkę. Bądź zdrow, kochany Ryszardzie. Jadę dziś jeszcze. Powiem twej poczciwej matce, że ci się dobrze powodzi. Skoro tylko stanę w Nemesdomb, będę z nią

mówił, chociażbym nawet przyjechał o północy. Zaraz po naszej rozmowie zapewne matka wezwie cię do siebie. Ona cię bardzo kocha. Żegnam cię!

I wstrząsnął ręką Ryszarda tak serdecznie, jak gdyby młody człowiek obsypał go grzecznościami. Skoro tylko nieznamy odszedł, Genio zbliżył się do brata i rzekł:

— Popelniałeś niedorzeczności za niedorzecznościami.

— Co za niedorzeczności?—zapytał naiwnie Ryszard.

— A więc primo: mówiłeś mu „ty.“

— A dlaczegoż on tak zaczął mówić do mnie?

— Czyż ty go nie znasz? To Rideghvary.

— Po jakiego licha z takim naciskiem wyznaczasz to nazwisko?

— To stary przyjaciel naszej rodziny, którego musiałeś przecież często widywać w domu.

— To ty sobie wyobrażasz, że ja mam odbite w pamięci wszystkie twarze, które mogłem widzieć u nas i to wyłącznie do ósmego tylko roku mego życia, bo w tym wieku właśnie oddano mnie do szkoły wojskowej? Nie rysowałem w moim albumie głów wszystkich tych panów, choć przyznam ci się, że z pomocą linii nie trudnoby mi było skonstruować podobne oblicze.

— Ależ mój kochany — mówił dalej Jenö, zniżając głos—to człowiek bardzo wpływowy.

— Tem lepiej dla niego.

— Administrator naszego komitatu.

— To obchodzi komitat.

— Jeszcze jedna rzecz: k o wie, czy nie będzie naszym ojczymem.

— A to już sprawa naszej matki — odparł Ryszard, odwracając się od brata.

Jenö chciał dalsze jeszcze udzielać mu objaśnienia, lecz Ryszard mu przerwał:

— Daj mi święty pokój z twym Rideghvarem.

Zamiast nudzić mnie i siebie, podsuń się ku Alfonsynie, której w tej chwili asystuje jedynie chudy sekretarz nadworny extra statum; odsadzić go nie będzie ci trudno. Nie zapominaj tylko powiastki o *pesce cannella i dorszu*.

Jenö na pół żartem, a na pół seryo zapytał się brata:

— A któż z nas obu jest pesce cannella, a kto stokliszem?

— W tej chwili sekretarz nadworny jest pierwszym, ty drugim; gdyby jednakże zabląkał się w sieć zastawioną fryc jaki, który w oczach mamy i córeczki za lepszą uchodziłby partyę, wtedy biedak ten byłby stokliszem, a ty nieboraku nędzną *pesce cannella*.

Jenö chciał żart odeprzeć uśmiechem; widocznem jednakże było, że ton żartobliwy brata drażnił go i niecierpliwil.

Ryszard tańczył i nudził się niemal godzinę w salonie, rojącym się piękniemi i młodemi damami. Uchodził powszechnie za bardzo niebezpiecznego i znaczącego swój pochod zwycięztwami Donzuana; Ryszard wiedział o tem, a co go najwięcej gniewało, to że odnosił tryumfy czy to nad mężatkami, czy sercami dziewic, bez zbytnich zachodów.

Ryszard też posiadał świadomość sprzyjającego mu szczęścia i był pewien zwycięstwa bez względu, czy przedmiotem jego pocisków była piękna lub szpetna, młoda lub stara. Potrzebował jeno zapukać, a otworzonoby mu niezawodnie.

Panna służąca, odpowiadająca na jego nieco natarczywy umizg kląpsem po rękę, była dlań niesłychanem zjawiskiem.

Dotychczas nie zaznał przegranej w dwóch kierunkach: w pojedynku i w miłości.

Spotkawszy się po dłuższem bląkaniu z bratem, zapytał go:

— Nie chciałbyś mi towarzyszyć do bufetu na filiżankę herbaty?

— Chętnie.

— Byłem tam przed kwadransem i odkryłem rozkoszną kotkę, niezawodnie pokojową, nalewającą gościom herbatę, limoniadę i inne chłodzące napoje.

— Nierozsądny! — odezwał się Jenö. — Pudlujesz na każdym kroku. Dziewczyna, o której wspominasz, nie jest pokojową, lecz kuzynką pani Plankenhorst. Imię jej Edyta.

— Jakto? Więc baronowa skazała spokrewnioną z jej domem dziewczynę za bufet, zepchnęła ją do roli służącej?

Jenö ruszył ramionami.

— O ile wiem, dziewczę to jest córką zubożałych krewnych i przebywa u baronowej na łaskawym chlebie. Zresztą dzieciak to jeszcze; nie ma więcej niż lat czternaście lub piętnaście, trudno ją przeto wprowadzać na salony.

Ryszard spojrział bystro w oczy młodszemu bratu.

Jenö zrozumiał spojrzenie, spuścił oczy i usprawiedliwiał panią domu:

— Cóż zresztą począć z przybraną córką ubogich, do tego dalekich krewnych? Na baronównę niepodobna jej przecież kierować?

— W takim razie nie należało przyjmować ubogiej w magnackie progi. Co z niej będzie? Człowiek ze stanowiskiem nie ożeni się z dziewczyną wycierającą przedpokoje. Pierwszy lepszy poveretto nie ośmieli sięgnąć po pannę skoligaconą z tak znamienitą rodziną.

— Mówisz przekonywająco, kochany Ryszardzie, lecz cóż mnie to wszystko obchodzi!

Ryszard zostawił brata i sam pospieszył do bufetu, gdzie królowała panna Edyta.

Edyta była rzeczywiście jeszcze dzieckiem, lecz dzieckiem o pełnej twarzyczce, z oczami jak węgle

zarzące i śmiejącemi się koralowemi ustami; ubiór jej skromny, lecz dziwnie uwydatniający wszystkie wdzięki smukłego dziewczęcia.

W roli, jaką jej postawiono, czuła się swobodną. Widocznie nie kłopotał jej ani na chwilę ów ton niewymuszony, cechujący jej otoczenie, ani gniewało, że goście mieli ją za dziecko i igrali, jak z kotką. Mogła za to drapać do woli.

Ryszard zbliżył się do dziewczęcia; zamiast jednak odwrócić odeń zuchwale główkę, jak się tego spodziewał młody rotmistrz, który przychodził przeproszać, a nie drażnić, podskoczyła ku niemu Edyta, a kokietując błyszczącemi oczyma, odezwała się z chichotem:

— Aha! Teraz pan mnie się boisz. Nie prawdziważ?

— Panno Edyto! przychodzę prosić panią o przebaczenie. Ależ doprawdy, jak mogą pozwalać pani biegać wieczorem pośród tyłu obcych?

— Dla mnie to nie są obcy. Wszyscy mnie tu znają. Pan mnie wzięłeś za służącą, prawda?

— Nie inaczej i to niechaj posłuży mi na moje usprawiedliwienie.

— Tak? W oczach pańskich przeto biedak skazanym jest już na to, aby być przedmiotem znieuwagi?

Ryszard nie mógł zdobyć się naprędce na odpowiedź; widocznie uważał się za pokonanego.

— A teraz jestem na pańskie rozkazy i pytam, czego sobie życzysz?

— Zamiast limoniady lub orszady, podaj mi pani koniec małego paluszka na znak, że przebaczasz grzesznikowi.

— Nie podam panu ręki, bo pańska niezbyt bezpieczna.

— Jeżeli gniewasz się pani jeszcze na mnie, to wyzwę jutro kogokolwiek na pojedynek, pozwolę so-

bie odciąć tę rękę, która panią obraziła, i przyjdę tu kaleką. Uczynię tak z pewnością.

— No, no, nie mów pan takich niedorzeczności; wolę już panu przebaczyć — rzekła dziewczyna, wyciągając serdecznie do Ryszarda małą, miękką, a silną rączkę.

Ryszard przytrzymał ją chwilkę w swej dłoni, a ponieważ nikt na nich nie zwracał uwagi, mówił dalej:

— A teraz przysięgam pani na moją duszę, że aby cię nie obrazić nawet spojrzeniem, nie podniosę na ciebie wzroku wyżej, jak do tej rączki.

Dotrzymał słowa, pożegnał Edytę ze spuszczo-nemi oczyma i wyszedł z salonu.

O północy, gdy obadwaj bracia powracali do domu, Genio dziwił się niezmiernie, że Ryszard nie drażnił się z nim wcale.

ROZDZIAŁ VII.

Podlotek.

Odtąd Ryszard był bardzo częstym gościem w domu pani Plankenhorst. Nadskakiwał wszystkim: pani domu, pannie Alfonsynie i innym damom. Sądził, że tym sposobem nie odgadną rzeczywistego celu jego wizyt.

Jenő czuł się najszcześniejszym z śmiertelników. Kochał się szalenie w Alfonsynie.

Piękna to była dziewczyna; układ twarzyczki idealny, smukła postać, oko wyraziste, a całość pełna wdzięku i czarownej gracyi. Lecz biada temu, co się dał ująć tym anielskim wdziękom! Owe iskrzące, błękitem powleczone oczy, to gwiazdy, o których powiedzieli astrologowie, że niosą zgubę temu, coby się dał uwieść ich blaskowi.

Pewnego wieczora po rozejściu się gości, pozostała Alfonsyna sam-na-sam z pokojową w swej sypialni. Pokojowej było na imię Betty. Rozbierając się, zapytała służącą:

— Co robi podłotek?

— Podłotek sposobi skrzydła do lotu—odpowiedziała, uśmiechając się dwuznacznie pokojowa.

— I kiedyż zamierza wzbić się o własnych siłach?

— Jak się zdaje, niezadługo — mówiła Betty rozplatając warkocze Alfonsyny. — Onegdaj zapytała mnie: Powiedz mi, która z nas dłuższe ma włosy: ja, czy Alfonsyna?

— Ha, ha! podłotek.

— Powiedziałam, że włosy jej piękniejsze.

Zaśmiały się obie.

— A więc imościanka zaczyna już odgadywać, że nieszpętną ma twarzyczkę?

— Chciałam ją wybadać, lecz szło to bardzo trudno. Raz dałam jej do zrozumienia, iż obdarzona prześlicznymi zębami, wygląda uroczo, gdy się uśmiecha; odtąd śmiejąc się zaciska usta, innym razem pouczałam ją, że wysokie piękne czoło nadaje jej twarzyczce wyraz wesoly, swobodny; odtąd naczesała jej włosy na czoło, aby wydało się niskiem.

— A to komedyantka! myśli sobie: jestem tak piękna, że przysyłając część moich wdzięków nie boję się uchodzić za szpętną. A nie bawi się w marzycielkę?

— Czasami i to pół żartem, pół seryo. Niedawno ubrała się w suknię pani baronowej, stanęła przed zwierciadłem i mówi sama do siebie: — Jakby to wyglądało, gdybym była mężatką? — A zwracając się do mnie, odezwała się: — Starałabym się dogodzić mężowi we wszystkim. Wieczorem oczekiwałabym powracającego do domu przy kominku; usiadłby przy mnie, pieścił mnie, poczem z jednej czytalibyśmy książki, z jednego jedli talerza, z jednej pili szklanki.

On nazywałby mnie „gołąbkim,” ja go „sercem.”
Na zabawach z nimbym tylko tańczyła.“

— A więc podłotek oddaje się już podobnym
marzeniom?

— Niejednokrotnie wystawiałam jej obecne po-
łożenie; przypominałam surowe i pogardliwe obcho-
dzenie się z nią pani baronowej i panny baronówny
mówiłam, że gorzej z nią tu postępują, niż ze służą-
cą; widocznie gryzło ją to i bolało.

— To dobrze.

— Przedemną, naturalnie, kryje się ze swą bo-
leścią, owszem, mówi, że jest zadowolona; łyzy je-
dnak, jakimi zalewa się wtedy, gdy mniema, że jest
bez świadków, nie bardzo każą wierzyć jej słowom.

— A o kimże mówi najczęściej?

— Rozmawiamy o wszystkich mężczyznach,
jacy tu bywają. Ten w jej oczach jest przystojnym,
ów nieznośnym, tamten zabawnym, a tamten znów
nudnym. O jednym tylko nie wspomina nigdy ani
słówkiem.

— Wiem już.

— A gdy wymienię jego nazwisko, kraśniej
jak wiśnia.

— A nie zbliża się on do niej?

— O, mam go na oku. Lecz przezorna z niego
sztuka. Gdy zejdzie się z Edytą, zaledwie śmie spoj-
rzeć na nią i kilku zagadać słowy. On filut, lecz
i ja nie w ciemną bita.

— Biedny podłotek! Ucieszymy ją, Betty. Jutro
dam jej tę nową suknię, którą tak niegodziwie ze-
psuł mi krawiec.

— Ależ to suknia balowa!

— Nic nie szkodzi. Ty zaś staraj się ją prze-
konać, że dlatego tak mało zważaliśmy na nią do-
tychczas, iż mieliśmy ją za dziecko. Dziś, gdy podro-
sła, będzie mogła bywać w naszym towarzystwie,
przyczem każemy ją uczyć tańczyć, grać na fortepia-
nie i śpiewać.

— Na seryo?

— Przedstawimy ją całemu światu jako blizką naszą kuzynkę. Powiedz jej to w każdym razie.

— Jeżeli jej to powiem, to nie będzie mogła zasnąć ani na chwilę. Będzie o tem mówiła noc całą. Szczególniej pragnie się uczyć śpiewu.

— Biedny podlotek!

W kilka dni później Ryszard otrzymał zaproszenie od Plankenhorstów.

Miało się zebrać najbliższe tylko kółko na zwykłą herbatę. Alfonsyna przyrzekła śpiewać.

Ryszard przyjmował z radością wszelkiego rodzaju zaproszenia, nastroczające mu możność odwiedzenia domu Plankenhorstów, nawet na najnudniejszą w świecie wieczory.

Nie starał się też postępować jak modny elegant i zwykle przybywał najpierwszy. Tak samo uczynił i tym razem. Stawił się punktualnie.

W przedpokoju zdziwił się niemało, widząc, że szaragi na których zawieszano płaszcze, dotychczas puste. Zdejmując pałasz i oddając go lokajowi, zapytał się:

— Zapewne dziś pierwszy przybyłem?

— Tak—odpowiedział lokaj i roztworzył drzwi do salonu.

W sali zastał jedynie pannę Betty. Powitała dygiem rotmistrza i odezwała się z wdzięcznym uśmiechem:

— Pani baronowa wyjechała przed wieczorem, wkrótce jednak powróci. Panna w trzecim salonie.

Nie zdziwiło to Ryszarda. Zdarzało się bowiem dość często, że Alfonsynę samą zastawał w domu, a towarzystwo jej nie nudziło go bynajmniej. Grała z artyzmem na fortepianie i śpiewała niezgorzej.

I teraz posłyszał, że ktoś śpiewa w trzecim salonie, lecz zdało mu się, że głos dolatujący jego uszu, jest pełniejszy i silniejszy! Z Alfonsyną, myślał

sobie, jest tak samo, jak z wielu innymi, że zawsze lepiej grają i śpiewają, gdy nie ma galeryi.

Przeszedł następny salon i otworzył drzwi do trzeciego, niepostrzeżony zatrzymał się na chwilę w progu.

To nie Alfonsyna siedzi przy fortepianie. W pierwszej chwili nie poznał Edyty, ustrojonej w suknię balową i uczesanej według najświeższej mody. Miała na sobie wyciętą suknię różową, uwydatniającą w całym przepychu toczony jej ramiona. Śpiewała jakiś romans ludowy głosem wprowadzicie bez szkoły, lecz sympatycznym i pełnym dźwięku; palce jej biegały beładnie po klawiszach, piękne oczy błąkały się w labiryncie nut, które przedstawiały się jej jeszcze, jako szereg zagadkowych hieroglifów.

Wtem wzrok jej pałł na Ryszarda.

Instynktowo zasłoniła rączkami obnażoną szyję. Strój ten był dla niej czemś niezwykłym. W tej postawie wstała od fortepianu, witając Ryszarda. Twarz jej pałała, serce uderzało gwałtownie i jakieś dziwne uczucie zapierało oddech. Zaledwie zdołała wyszeptać:

— Pani baronowa wyjechała z domu.

Ryszard ulitował się nad zakłopotaniem dziewczęcia.

— A panna Alfonsyna?—zapytał.

— Pojechała z matką zaproszona na bal dworski i wróci dopiero późno w nocy.

— Brata mojego tutaj nie było?

— Był, lecz odszedł.

— Nie wspominała baronowa, że oczekuje gości?

— Owszem, lecz poleciła kamerdynowi, aby odszedł zaproszonych i oznajmił, że dziś zmuszona jest odwołać zapowiedziany wieczór.

— Szczególniejsza, że służący, wpuszczając mnie, nic mi o tem nie wspomniał. Przebacz mi, pani,

zem jej przeszkodził i racz złożyć pani baranowej moje uszanowanie.

Uklonił się i wyszedł.

W przedpokoju nie zastał służącego. Ubrał się sam i chciał wyjść głównymi drzwiami, wiodącymi na schody. Jakżeż atoli się zdziwił, znalazłszy drzwi zamknięte, a klucz wyciągnięty z zamku.

Skutkiem tego zniewolonym był powrócić i przez wielką salę udać się do pokoju służby, z kąd wychodziły drzwi na boczne schody. Lecz i te drzwi były zamknięte.

Próbował jeszcze wydostać się przez jadalnię, ale i tu ta sama niespodzianka.

Z jadalni prowadził dzwonek do pokoju służących; pociągnął silnie za taśmę raz, drugi, trzeci, czekał chwilę, lecz nadaremnie.

Powrócił jeszcze raz do przedpokoju i jak przed chwilą, tak i teraz, nie znalazł żywej duszy.

Serce biło mu tak gwałtownie, że mimo woli dusza jego pod wrażeniem tych uderzeń ocknęła się. Domyślał się, że był przedmiotem niegodzowej igraszki.

Zjął płaszcz ze siebie, odłożył palasz i powrócił do salonu, w którym zostawił Edytę.

Na odgłos kroków jego zerwała się Edyta i pośpieszyła naprzeciw. Oblicza jej nie oblewał teraz szkarłat, owszem, była blada jak chustka. Oczy patrzyły ze spokojem na Ryszarda. Ani drżała, ani czuła się zakłopotaną.

— Przebacz mi—odezwał się Ryszard—powracam, bo wszystkie drzwi znalazłem zamknięte, a w całym mieszkaniu ani żywej duszy, któraby mnie wypuściła.

Na ścianie wisiał w złotych ramach wielki portret Alfonsyny. Ryszardowi się zdawało, że na pięknych ustach czarodziejki igrał uśmiech okrutny.

Edyta usiadła i bynajmniej nie zaambarasowana, odparła:

— Służba widocznie rozbiegła się. Lecz zaradzimy temu. Jest tu drugi klucz od głównych drzwi, otworzę przeto i wypuszczę pana z niewoli.

Gdy Edyta, spiesząc po klucz, mijiała właśnie Ryszarda, zastąpił jej drogę i zagadnął:

— Słówko, Edyto! Czy wiesz pani, co myślę w tej chwili?—rzekł gwałtownie.

Zdawało mu się, że portret podsuwał mu jakieś złe myśli.

W piersiach jego gorzał ogień, wszystkie przedmioty wirowały wokóło.

Ale młoda dziewczyna, którą zatrzymał, pozostała spokojną.

Dziewczę spojrzało bystro w oczy Ryszardowi i odpowiedziało z największą przytomnością:

— Odgaduję. Myślisz pan sobie: „Przysięgłem tej dziewczynie, że w życiu mojem nie obrażę jej ani spojrzeniem i tym sposobem wynagrodzę wyrządzoną jej dawniej zniewagę.“

— Tak, pani — odezwał się Ryszard, któremu się zdawało, że niewidzialna w tej chwili ręka zdjęła z piersi jego centnarowy ciężar.—Nim odejdę, ośmielę się prosić panią o papier i pióro, chciałbym kilka słów napisać do baronowej.

Edyta otworzyła biurko baronowej i poprosiła Ryszarda, aby usiadł.

Ryszard usiadł i w kilka minut był gotów. Późem wsunął list do koperty, zapieczętował i trzymając w ręce pismo, zbliżył się do Edyty.

Twarcz jego promieniała szlachetnem uczuciem, w oczach błyszczała duma.

— Jeśli pani umiała odgadnąć przed chwilą myśli mojego serca, to duchem odgadniesz i osnowę tego listu — rzekł Ryszard, chcąc oddać list Edycie, w której oczach, napelnionych kroplami rosy, grały naprzemian rozpacz i rozkosz, boleść i zachwycenie.

— List ten—ciągnął dalej Ryszard—tak się rozpoczyna i kończy:

„Pani baronowo! Proszę o rękę Edyty. Za rok będę pełnoletnim, po roku poprowadzę ją do ołtarza. Odtąd racz pani uważać ją jako moją narzeczoną.“

Mówiąc to, oddał list dziewczęciu.

Edyta, pełna zachwyty, przycisnęła pieczęć listu do ust swoich i zwróciła go Ryszardowi.

Ten dotknął ustami pieczęci cieplej jeszcze od pocałunku ubóstwianej.

Tak odbyły się zaręczyny młodej pary.

— A teraz dajmy sobie słowo—odezwał się Ryszard — że przez rok cały ukryjemy myśli nasze i uczucia w głębi dusz naszych i nie wypowiadamy się z nich nawet przed sobą.

Mówiąc to, młody rotmistrz wziął klucz i oddalił się. Dam cały jakby wymarł. Ani w przedpokoju, ani na korytorzu, ani w dziedzińcu, nie spotkał nikogo ze służących.

Edyta, skoro ujrzała się sama, upadła na kolana i pocałunkami okryła miejsce, którego przed chwilą dotykały się stopy narzeczonego.

Pani baronowa powróciła bardzo późno do domu.

Ledwie zrzuciła z siebie wierzchnie ubranie, kazała zawołać Edytę.

Edyta przybyła bezwłocznie.

— Nie spałaś jeszcze, Edyto? — zapytała pani Antonina.

— Nie, ciociu.

Baronowa spojrzała bystro w oczy Edycie. Nie znalazła tam, czego szukała. Owszem w oczach tych dopatrzyła się czegoś w rodzaju wyniosłej dumy, właściwej tym, którym czyste sumienie puklerzem.

— Nie był tu kto w mojej nieobecności? — zapytała:

— Był rotmistrz Baradlay.

Obie kobiety rzuciły na Edytę jaszczurcze spojrzenie. Daremny trud! Twarz dziewczęcia nie rumieniła się już na wspomnienie tyle drogiego jej nazwiska.

— Nie czekał na nas rotmistrz?—pytała Antonina.

— Zabawił tylko tyle, ile potrzeba było na skreślenie tego listu—odparła zimno Edyta, doręczając ciotce pismo Ryszarda.

Baronowa rozdarła kopertę, rozwinęła papier, przebiegła go okiem i cała oblała się szkarlatem.

— Czy wiesz, co zawiera ten list? — zapytała, przesywając wzrokiem Edytę.

— Wiem—odparła dziewczyna, a w wejrzeniu jej tyle spoczywało pewności siebie i szlachetnej dumy, że Antonina odchodziła niemal od zmysłów.

— A teraz idź spać—zasyczała nadobna jędra.

Edyta była posłuszną.

Antonina podała z gniewem list Alfonsynie.

— Oto twoje dzieło, dzieło półgłówka!

Alfonsyna zbladła i drżała jakby w febrze. Głos zamierał jej w piersi.

Oblicze matki nadęło się szatańską złością.

— Mniemałaś może — mówiła, oprawiając każde słowo w jad niepohamowanej wściekłości—że wszyscy mężczyźni są... Otonami Palwicz?—dodała przez zaciśnięte zęby.

Na wspomnienie tego nazwiska strzeliła Alfonsyna w pierś matki wzrokiem, w którym gnieździła się nienawiść i gorycz, zemsta i matkobójcze okrucieństwo.

— Przegrałaś stawkę—zgrzytnęła po chwili Antonina, drąc list na kawałki—teraz na mnie kolej zabrać się do dzieła.

ROZDZIAŁ VIII.

Tandeciarz.

Z powrotem do domu czuł się Ryszard jakoś lżejszym, swobodniejszym i teraz dopiero zdawało mu się, że zaczyna przychodzić do samopoznania.

Po dniach spędzonych w nieczynnym sybarytyzmie, uczuł po raz pierwszy obudzający się w swej duszy ów pierwiastek szlachetnej dumy, którego nazwa: współczucie dla uciśnionych.

Był zadowolony z dnia dzisiejszego.

Przebiegał pamięcią pokusy, na jakie był wystawiony, i pieścił się wspomnieniami odniesionego zwycięstwa.

Znalazłszy się w swem kawalerskiem mieszkaniu, nieprzyjemnego doznał wrażenia.

Każdy przedmiot przypominał mu coś takiego, o czem radby na zawsze zapomnieć. Tu dywan, tam taborecik, ówdzie haftowane pantofle, a tam znów zawieszona na ścianie podkładka pod zegarek. Wszystko to pamiątki z bogatej w sercowe momenty przeszłości.

— Panie Pawle!—zawołał, uchylając nieco drzwi.

— Na rozkazy pana rotmistrza.

— Zapal w piecu.

— Zaraz, tylko przyniosę suchych drzazeg, gdyż drzewo dyabelnie mokre.

Ryszard sięgnął ręką do szuflady biurka i wydobyl plik listów w kolorowych i perfumowanych kopertach.

— Zapal tem.

Paweł spełnił rozkaz barbarzyński z żywym zadowoleniem.

— Panie Pawle!—odezwał się po chwili rotn.istz,

wpatrując się w płomienie buchającego na kominku ogniska, jutro wybieramy się na wielkie manewry.

Pan Paweł pokręcił, widocznie rad, sumiastego wąsa.

— Nim ztąd się oddalimy, musimy się uprzątnąć z bagażami, boć tych niepodobna zabierać do obozu. Meble sprzedaj, inne zaś rupiecie, fatałaszk i obrazy wrzucić do pieca.

— Usłyszano i zrozumiano — odpowiedział Paweł krótko i węzłowato.

Naprzeciw łóżka rotmistrza wisiał w złożonych ramach niepospolitej wartości obraz olejny, portret osławionej piękności w stroju Danay.

— I ten obraz usuń z moich oczów — odezwał się Ryszard.

— Stanie się jak rozkazano — zapewniał huzar.

Ryszard przejrzał starannie wszystkie szuflady, wszystkie schowania i półki i wyrzucając z niej loki, zeschnięte kwiaty, szarfy różnokolorowe, powtarzał bezustannie:

— Spalić, spalić!

A skoro się przekonał, że ani jeden strzępek, ani listek jeden nie pozostał z dawnych pamiątek, mogących przypominać mu przeszłość, z którą chciałby zerwać na zawsze, zebrał się i poszedł do miasta.

Powrócił prędzej niż zazwyczaj, a rozbierając się, spostrzegł z niekłamanem zadowoleniem, że pożądanym obraz Danay nie spojiera na niego już ze ściany.

Tak błogo mu było w pokoju ogrzanym pamiątkami.

Nazajutrz zapytał Paweł rotmistrza, jak mu się spało.

— Jak nigdy, dobry Pawle. Dziękuję ci, że wypełniłeś akuratnie mój rozkaz. Lecz co się stało z ramami owego obrazu? Czy także poszły w piec?

— Co znowu — odparł Paweł, spoglądając z pe-

wnem zdziwieniem na Ryszarda. Alboż to Paweł półgłówek, abym rzucał w ogień tak piękny obraz?

— A coś z nim zrobił?—zapytał Ryszard, podnosząc się szybko z posłania.

— A to musiałbym być głupcem, żeby go palić. I ja także w młodości dostawiałem od mojej lubej piękne kapciuchy, haftowane jedwabiami, jak to umieją u nas wyszywać. A chociaż mnie luba zdradziła, to dlatego nie rzucałem w ogień kapciucha.

— I cóż z nim robiłeś?

— Sprzedawałem żydowi, a pieniądze przepijałem.

— Ale portretu, spodziewam się, nie sprzedałeś żydowi?

— A dla czegożby nie? Przecież pan rotmistrz wyraźnie powiedział, abym uprzątnął tę malowaną pannę.

— Tak, lecz chciałem ci przez to powiedzieć, abyś ten obraz wrzucił razem z innymi rupieciami do ognia.

— Ot, wszystkiemu winno moje miękkie serce, zlitowałem się nad nieboraczką i zamiast do pieca, zaniósłem ją do Salomona, który zapłaci wartość obrazu.

Ryszard krzyknął z gniewem:

— Biegnij natychmiast do tego żyda i odnieś mi tu portret!

Stary huzar nie uląkł się gniewu rotmistrza, ani spieszo mu było wykonać ostatni rozkaz swego pana, owszem odezwał się z flegmą istic angielską:

— O, z Salomonem trudna sprawa, jabym na próżno tam chodził, Salomon go nie odda.

— Jakto? Kiedy ja żądam?

— W takim razie niech pan rotmistrz sam z nim pomówi.

Ryszard wspaniałomyślnie odesłał pana Pawła do wszystkich dyabłów.

— Ja tam nie posyłałbym pana do wszystkich

dyabłów — odpowiedział Paweł — tylko na Porcelan-gasse pod Nr. 5 do Salomona.

Młody Baradlay, ubrawszy się coprędzej, pobiegł na miejsce wskazane, aby żyd nie wystawił czasem portretu, któryby wszyscy odrazu poznali.

Zastał go w sklepie ze starzyzną.

Była to mała, niska kryjówka, do której wdzierało się światło tylko przez drzwi sklepu, skutkiem czego drzwi te musiały stać wiecznie otworem. Skład cały zawalony był najrozmaitszemi rupieciami: wysłużone fotele, chwiejące się szafy, na których piętrzyły się stosy starych krzeseł; w kątach dumaly ułożone w piramidy nadszczerbione talerze, porcelanowe serwisy, na podłodze zaś, pokrytej grubą warstwą błota, wałyły się stare księgi; tuż przy drzwiach rozpierało się w towarzystwie starej uprząży ogromne zwierciadło w misterne ujęte ramy; na półkach rozsiadły się wypchane papugi, małpy, mopsy, szklanemi spoglądające oczyma na bezładną grupę figur gipsowych; jest tu i Herkules o jednej ręce i Minerva z odtraconym nosem i Wenera, której wdzięków nie oszczędził nieczuły ząb czasu; na ścianach wiszą obrazy bez ram, nieoszlone, znane i rozpowszechnione malowidła, przedstawiające Europę, Azyę i Amerykę, niemniej czystego Józefa, wyrrywającego się z objęć pani Putyfarowej. Szafy napelnione Bóg wie czem: szkłem, żelaztwem, miedzią, cyną. A wszystko to w dusznej i napół zgnilej atmosferze.

Lecz jeśli sam skład godzien był poznania, to tem więcej jego właściciel, siedzący rozparty we drzwiach w długim kaftanie i czapce futrzanej. Salomon duma przez cały Boży dzień na kulawym stolku, z którego powstaje tylko, aby załatwić czy to kupującym, czy sprzedającym interes.

— Czy tu tandeta Salomona?— spytał młody oficer, zbliżając się do sklepu.

Stary tandeciarz podniósł się z wolna ze swego

siedzenia, a uchylając futrzanej czapki, odezwał się do pytającego:

— Najniższy sługa pana rotmistrza dobrodzieja. Tak, to sklep tandeciarza Salomona, a tym tandeciarem Salomonem, do którego sklep ten należy, jestem ja. Co rozkaże Salomonowi pan rotmistrz Baradlay?

— Jak to, znasz mnie pan? — zapytał zdziwiony Ryszard.

Tandeciarz odpowiedział z pochlebnyim uśmiechem:

— Aj, aj, jakby to było, gdybym nie znał wielmożnego rotmistrza? Znam go bardzo dobrze. Złoty to człowiek, ten pan rotmistrz.

— W takim razie domyślisz się pan niezawodnie, że przychodzę tutaj z powodu obrazu zastawionego u pana przez mego służącego i to wbrew mojej woli. Nie mam zamiaru pozbywać się tego obrazu.

— Wiem, wiem — odparł Salomon — dlatego rad jestem, że pan nawiedzileś ubogi mój domek, będziemy bowiem mogli pomówić dokładnie w tej sprawie.

Ryszard przerwał mu rozdrażniony:

— Ależ po co długie rozmowy, powiedziałem raz, że obrazu nie sprzedam i koniec.

— Łaskawy panie rotmistrzu! po cóż się irytować? Gniew szkodzi zdrowiu. Bądź pan pewien, że malowidła gwałtem nie zatrzymam.

Jeśli Salomon zwleka, to tylko dlatego, aby mieć zaszczyt przyjmować jak najdłużej w swym domku tak delikatnego pana. Wolno wielmożnemu panu wycofać każdej chwili swój obraz. Salomonowi zależy na znajomości. Kto wie, na co się ten lub ów może przydać kiedyś. Zechciej potrudzić się, panie rotmistrzu, do mojego mieszkania. Tam znajdziesz swój obraz. Proszę ze mną na górę.

Krętymi i niewygodnymi schodami wdrapał się Ryszard do mieszkania tandeciarza.

Zdumiony rozglądał się tutaj. Toż to istne muzeum książęce! Trzy pokoje napelnione najkosztowniejszymi przedmiotami.

Kunsztowne szafy, wyłożone najpyszniejszymi płytami marmurowemi, kością słoniową, zdobne misternymi rzeźbami i złocone bogato, cenne zabytki minionych wieków. Obok stoły mozaikowe z płytami wysadzane drogiemi kamieniami, chińskie, japońskie, etruskie wazy; porcelana sewrska i nankińska, artystyczne twory plastyki z marmuru i alabastru, starożytne kandelabry, kunsztowne wyroby ze srebra, złocone w ogniu i oprawne w klejnoty półmiski, dzbany, puchary i kielichy, kominki z różnokolorowego marmuru, zbiór zegarków, istny gabinet zoologicznych i mineralnych osobliwości, uporządkowany systematycznie i ponumerowany, podczas, gdy ściany zdobiły dzieła wielkich mistrzów szkoły średniowiecznej.

— Nu, jak się to panu rotmistrzowi podoba?— zapytał tandeciarz rozglądającego się z wyrazem nie-mego podziwu Ryszarda.

— Na honor, jestem zachwycony—odparł rotmistrz—lecz jakim sposobem przyszedłeś pan do tylu cennych zabytków?

— No, Salomon z różnymi ludźmi ma stosunki. Jak Wiedeń długi i szeroki, za granicą nawet wiedzą, co warta tandeta Salomona i czego można w niej nabyć.

— Wszystko to bardzo ładnie, ale gdzież mój obraz?—napierał Ryszard.

— Po cóż się śpieszyć? Czyż panu ztąd ucieknie?

Może pan rotmistrz byłby łaskaw obejrzeć się po tych zbiorach, a kto wie, czy nie przysłaby mu ochota zrobić z obrazem jakiś interesik.

— Nie, pod żadnym warunkiem. Obraz, o którym mowa, to portret kobiety, a choć z oryginałem

zerwałem na zawsze, nie chciałbym, aby portret jego zdobił półki tandety.

— Portret, portret! — mruzczał stary Salomon — w takim razie zechćj pan pofatygować się do przyległego pokoju.

Tu zdziwienie Ryszarda nie miało granic; gdzie spojrzał, oko jego spotykało się z portretami najrozmaitszych form i rozmiarów, przedstawiających częścią mężczyzn, częścią kobiety, przeważnie młode i przystojne; na ścianach wisiały portrety w ramach, w kącie piętrzyły się stosy obrazów pozbawionych oprawy.

— Ależ na jakiego licha mogą przydać się panu tego rodzaju malowidła?

Salomon dumiał chwilę, jakby namyślał się nad odpowiedzią.

— Salomon — odparł w końcu — dobry chwala Bogu robi na tem wszystkim interes. Nabywszy za bagatelę pierwszy lepszy portret, zależy mi przedewszystkiem dowiedzieć się, kogo przedstawia. Do handlu mojego przychodzi i zajeżdża bardzo wiele osób, które po kilka godzin przesiadują w tej niezwykłej galeryi obrazów. Zdarzy się, że ten lub owa obaczy tu własny swój portret, a wtedy wchodzi z Salomonem w targ i płaci hojnie za obraz! Oryginał pańskiego obrazu dość często nawiedza mój domek. Dopieroż zdziwiłaby się ta piękna pani, skoroby ujrzała w składzie swój portret! Podobne kustryumowe obrazy płacą na wagę złota.

— Tej przyjemności nie wyświadczę panu, a nie ma ceny, za którą odstąpiłbym portret, o którym mowa.

— Złoty z pana człowiek, panie rotmistrzu, ale racz mi powiedzieć, jak wysoko oceniasz tę panią Danaë?

Ryszard zniecierpliwiony brzęknął pałaszem.

— Raz już powiedziałem, że nie sprzedaję obrazu. Proszę o jego zwrot.

— Tylko pomału i bez zółci. Po co to gniewać się i brząkać pałaszem. Alboż zaproponowałem panu sprzedaż za dziesięć lub dwadzieścia guldenów? Bagatelami podobnymi nie zbywa się tak wielkiego pana, jakim jest Ryszard Baradlay. Może natomiast zrobimy zamianę? Ząb za ząb, obraz za obraz. Wybór wielki i dowolny.

Ryszard nie mógł wstrzymać się od śmiechu, zaczęła bawić go w końcu natarczywość żyda.

— Kto wie, czy w galeryi Salomona nie znajdzie się coś takiego, coby przypadło do gustu pana rotmistrza? Proszę jeno się rozpatrzeć. Kupić, nie kupić, potargować wolno.

Mówiąc to, poprowadził Ryszarda ku stosowi nieoprawnych malowideł i zaczął mu je prezentować.

— Tam do wszystkich dyabłów!—wyrwało się naraz z piersi Ryszarda.

— Aho! — zawołał z miną tryumfującą tandeciarz. — Przecież znaleźliśmy coś, co zafrapowało wielmożnego rotmistrza, a zarazem wydobył ze stosu obraz, obtarł go z kurzu i oddał rotmistrzowi.

— Tam do licha, wszak to mój portret!

— Podobniuteńki, jak dwie krople wody. Od pół roku spoczywa między rupieciami; pani Danae, jak widzisz, mniej była skrupulatną od pana; pół roku temu, jak portret pański przeniósł się z jej sypialni na Porcelangasse I. 3. Wyłożyłem zań pięć guldenów.

— A za ile odstępujesz mi owo malowidło na własność?

— To portret pański, nieprawda, niepodobna omylić się. Wiesz co, bierz swój portret, a zostaw mi panią Danae.

— Bodaj cię licho wzięło -- zawołał znudzony Ryszard. — Przystaję, proszę mi przysłać mój portret do domu, a z Danaę zrób, co chcesz.

Ryszard pozwolił zaprowadzić się Salomonowi

do trzeciego pokoju, zamienionego w pyszny skład broni wszystkich narodów całego świata.

Grupami spoczywały porozkładane egipskie, perskie i medyjskie przybory wojenne, kształtu krzywych noży, wachlarzowate sztandary, łuki, pancerze w formie gitary, hełmy amazońskie, etruskie trąby wojenne. W drugiej grupie mieściła się starogrecka broń, tarcze, tebańskie czidy, krótkie miecze rzymskie, zdobne w pióra koszulki drucziane i sarmackie pancerze łuskowate. Tam znów zbiór galickich i teutońskich plecionych pancerzy, hełmów wystrzelających rogami, anglo-saksońskich berdyszów; tuż średniowieczne kołczany, czeskie gwiazdy, niemieckie siekiery, saskie halabardy, krzywe jatagany i młoty żelazne, czeskie zbroje krzyżowców, maurytańskie i saraceńskie karabele i lance, madziarskie szablice; cała jedna ściana okryta była bronią najnowszych czasów

Ryszard uczuł się tu w swoim żywiole. Okiem znawcy przebiegał kosztowne żelaza, których naprawdę pozazdrościł staremu tandeciarzowi.

Nagle spostrzegł brunatną klingę ze zwykłą rękojeścią i bez pochwy. Ujął ją w dłoń swoją.

— Aha—zawołał Salomon uradowany—znawca z pana, pominąłeś inną broń, a wpał ci właśnie w oko istny brylant. To prawdziwy *Crivelli*. Dawano mi już za niego dziesięć dukatów, lecz od piętnastu nie ustąpię.

Ryszard obejrzawszy pałasz dokładnie, rzekł:

— To nie jest *Crivelli*!

— Ah, panie! Ja nigdy nie kłamię — wykrzyknął żyd obrażony.

— Proszę się przekonać.

Porwał pałasz drżącymi rękoma i opasał nim Ryszarda, tak, iż koniec ostrza zetknął się z rękojeścią.

— Bardzo dobrze — odparł Ryszard z uśmiechem — teraz na mnie kolej pokazać ci coś róż-

wnieź. Proszę mi dać jaką starą, niepotrzebną strzelbę.

Ustawił ją, wsparłszy o ścianę lufą na dół.

— A teraz odstęp pan nieco.

— Tandeciarz cofnął się i oczekiwał ciekawie rozwiązania zagadki.

Ryszard zawinął w powietrzu szablicą i spuścił ją na żelazną lufę strzelby. Lufa rozpadła się na dwie części.

Zdziwienie tandeciarza było niesłychane.

— Na torę! To dopiero cięcie. Salomonowi nie zawsze udaje się za jednym zamachem przeciąć pomarańczę, a tu pan rotmistrz takiej dokazuje sztuki. Złoty pan rotmistrz. Nie, nie złoty, żelazny. To mi cięcie! Taką grubą lufę przeciął pan, jak pomarańczę!

— Tak, panie Salomonie, to nie *Crivelli* — powtórzył Ryszard — to prawdziwy *al-bahacen*, najprawdziwsza damascenka, między braćmi warta 100 dukatów.

— A niech Pan Bóg broni—protestował tandeciarz.—Powiedziałem, że nie wezmę za nią ani mniej, ani więcej, jak 15 dukatów i przy tem obstaję. Zróbmy interes, panie rotmistrzu. Pan bierz szablę, a daj mi za to obraz z ramami i dukata na rękę. Z taką szablą strach spać pod jednym dachem.

— Wszak obraz ten zamieniłeś już za mój portret—odparł śmiejąc się Ryszard.

— O! portretu pańskiego za żadne już nie wydam pieniądze; przeniosę go do mojej sypialni. Pierwszy to raz w życiu spotykam człowieka, który mówi mi: Salomonie, to, co chcesz mi oddać za 15 dukatów, warte 100. O, z takim kawalerem nie zejdem się podobno drugi raz w życiu i dlatego racz pofolgować prośbie Salomona i nie odbieraj mu swego portretu. Daj pan dukata i kwita z nami.

Ryszard naciśnięty uległ w końcu.

— Pozwolisz pan, że szablę zawinę w papier.

Odeślę ją przez służącego do pańskiego mieszkania. Bógby dał, aby odwiedziny pana rotmistrza nie były ostatnie. Gdyby pan rotmistrz miał się żenić, proszę nie zapomnieć, że skład Salomona zaopatrzony w śliczne, gustowne i rzadkie sprzęty domowe.

— O, ta, którą zamyślam poprowadzić do ołtarza, nie potrzebuje tego wszystkiego.

— A więc pan rotmistrz chce się żenić z ubogą dziewczyną? Nie zgadłem.

Ryszardowi spieszno było opuścić sklep tandeciarza, odpowiedział przeto na zapytanie starca pożegnaniem.

— Komu w drogę, temu czas. Niech Bóg prowadzi kochanego rotmistrza. Nie chcę go już dłużej nudzić mojami pytaniami. Salomon wiele wie rzeczy, o których nie śniło się innym ludziom. Pan, panie rotmistrzu, jesteś ze złota, nie—z żelaza, nie—ze stali damasceńskiej. Zostań takim przez całe życie i pamiętaj o tandeciarzu Salomonie przy Porcellangasse N. 3, bo i on może być kiedyś użyteczny.

ROZDZIAŁ X.

Zemsta kobiety.

— Aranko, gołąbko moja, jeżeli wyglądasz twego zacnego ojca, wyglądasz go daremnie; nie wróci już. Właśnie co odebrałam od męża z Pesztu list. Wiadomo ci, że jako notaryusz, ma znajomości po całym świecie, a nawet w Peszcie. Píše mi, że sprawa przewielebnego na najgorszej jest drodze; konsystorz odsadził go od kazalnicy, co więcej, powołano go do Wiednia. Nie minie biedaka dziesięć lat ciężkiego więzienia. Nie kiwaj głową, gołąbku, bo tego wszystkiego nie wysłałam z palca. Nie płacz, dusz-

ko, lecz wezwij Boga na pomoc, a on nie opuści sieroty. Bywaj zdrowa, Aranko, mój złoty gołąbeczku.

W ten sposób powitała pewnego pięknego poranku połowica notaryusza, Michała Szalmás, córkę pastora, która stojąc we drzwiach, wyteżonem spooglądała okiem w kierunku drogi, zkad przed tygodniami jeszcze powinien był się wytoczyć wózek z drogim jej ojcem. Nadaremnie wyglądała.

Po tak budujących słowach pociechy powróciła dziewczyna do domu i usiadła do krosienek, aby kończyć rozpoczętą robótkę; czas jednak upływał, robótki nie przybywało, igła wypadła osieroconemu dziewczęciu z ręki, a dusza w ponurych utonęła marzeniach i pędziła jakby na skrzydłach w dal niezmierną, błąkała się po okiem nieprzejrzanych stepach, miastach wspaniałych, śledząc wśród miliona przesuwających się obcych twarzy za jednym znanem jej obliczem, nasłuchując, czy nie posłyszysz głosu ukochanego, echa jego kroków...

Turkot kół powozowych wyrwał ją z marzeń. Podniosła główkę, aby zobaczyć, kto zajechał.

Zaprawdę, prześliczna twarzyczka, owal, jakby u Melpomeny, z wielkimi, jasnymi oczyma, klasycznym noskiem i niezrównanego kroju usteczkami; ciemne blond włosy z purytańską zaczesane prostotą i one to właśnie podnoszą jeszcze szlachetny wyraz pięknej głowy.

Dziewczę poskoczyło ku drzwiom; otworzywszy je, cofnęło się na widok przybyłej.

Ujrzała przed sobą panią baronową Baradlay. Pani Baradlay ubraną była w strój czarny, który tembardziej uwydatniał błądź marmurowego jej oblicza.

Aranka skłoniła się i ucałowała podaną rękę wdowy.

— Dzień dobry ci, Aranko! — powitała ją łaskawie, lecz chłodno baronowa. — Przybywam, aby

pomówić z tobą w pewnej sprawie, którą radabym już raz wyświecić i zakończyć.

Po chwili, siadając na sofie, odezwała się baronowa:

— Przedewszystkiem niepodobna mi, moje dziecię, ukrywać przed tobą, że ojciec twój, z powodu modlitwy, odmówionej na pogrzebie mojego męża, w fatalnem znajduje się położeniu. Byłabym pragnęła z całego serca, aby do tego nie przyszło; ale teraz nic już na to nie możemy poradzić. Kto wie, czy go nie pozbawią urzędu lub czy go jeszcze coś gorszego nie spotka.

— A więc to wszystko prawda, co rozpowiadają ludzie—pomyślała dziewczyna.

— Co więcej, wolność jego jest zagrożoną. Być może, że go uwiężą, a w takim razie nie zobaczysz go tak prędko.

Pani baronowa zdziwiła się niepomału, że słowa jej nie odbiły się na twarzy dziewczęcia żadnem silniejszym wrażeniem.

— Pozostaniesz samą.

Aranka milczała.

— Co poczniesz, gdy uderzy w twą główkę grom tak dotkliwy.

— Jestem na wszystko przygotowana—odparła ze spokojem Aranka.

— Chciej mnie uważać zawsze i wszędzie jako tę, której serce i pomoc stoją dla ciebie otworem. Pogrzeb mojego męża był pierwszą przyczyną nie-szczęścia, jakie cię nawiedziło; jeśli nie usunąć, to radabym je przynajmniej ukoić. Bądź szczerą, moje dziecię, gdzie myślisz się udać? Co poczniesz z sobą? Co bądź się stanie, licz na mnie, jak na naj-szczerszą przyjaciółkę.

— Pozostanę tu, pani baronowo — odparła dziewczyna, z godnością spoglądając w oczy mówiącej.

— Tu nie możesz pozostać, moje dziecię, pomieszkanie to bowiem zajmie nowy pastor.

— W takim razie przeniosę się na wieś do chaty, będącej naszą własnością.

— A z czego żyć będziesz?

— Z pracy.

— Ta nie wiele ci przyniesie.

— Umieję przestawać na małym.

— A gdyby ojca twego w obcym zamknięto mieście, nie chciałabyś zamieszkać w jego pobliżu? W takim razie chętnie łożyc będę na twoje utrzymanie.

— O, stokrotne dzięki, łaskawa pani; jeśli mam być już sama, toć wolę tu sieroctwo moje oplakiwać, wszystko mi jedno, czy między mną a nim mur trzystopowy, czy przestrzeń trzydziestomilowa.

— Tu jednakże będziesz jakby pogrzebana, gdzieindziej nowe i swobodne uśmiecha ci się życie. Pragnę z duszy mej zwalić ciężar, jaki ją ugniata od chwili, gdy nieszczęście moje stało się mimowolnie przyczyną smutnej twej doli. Dam tyle, że ci wystarczy na ugruntowanie twej pomyślności. Skoro los naznaczył cię, moje dziecko, na współsukcesorkę mojego nieszczęścia, bądźże przeto i współdziedziczką mojego mienia!

Dziewczę słuchało tego wszystkiego w milczeniu.

— Pomnij, że zazwyczaj tak bywa, iż dobrzy przyjaciele opuszczają nas w nieszczęściu; nieszczęście ma to do siebie, że każdy stara się zobaczyć na niem plamy, aby pod tym pozorem usunąć się na zawsze. Dziś jesteś piękna i młoda, kłopoty i troski jednakże, to najpewniejsi sprzymierzeńcy przedwczesnej starości? Gdzie ludzie w tak blizkich i ciągłych żyją z sobą stosunkach, jak tu na wsi, tam nienawieść ściga tego, kogo nikt nie lubi, a któż z nieszczęśliwych może pochłubić się właśnie sympatją sąsiadów? Dla tych przedmiotem zabawy i lekko-

myślnej igraszki bywa zazwyczaj jęk opuszczonej. Gorzej dla niej, gdy jest urodziwą i młodą. Niegodziwi i szpetni nie przebaczą jej darów natury. W nowym świecie nowych spotkasz ludzi. Tu na każdym kroku potrącasz o wspomnienia zawodów, tu każde spojrzenie dobijać cię będzie powoli. Pomiedzy obcymi nowy stworzysz sobie świat, w którym odechniesz swobodnie. Chcesz, odkupię od ciebie za jakąbądź cenę domek twojego ojca i winnice i pole. Utoruję ci drogę do wrót, przez które prowadzi ścieżka do potężnych, dzierżących w swym ręku losy twojego ojca. Ojciec twój niezawodnie uzyska wolność. Wszystkiemi siłami starać się będę, aby wynagrodzić owe cierpienia, jakie powaliły się na głowę twjej rodziny. I nie pierw uczuję się szczęśliwą, aż ujrzę ciebie, moje dziecię, w niezamąconem szczęściu.

Aranka podniosła się z krzeselka.

— Umiem cenić jej dobroć, pani baronowo, ztąd się jednak nie oddalę. I gdybym musiała przyjąć służbę u pierwszego lepszego gospodarza i pracować od świtu do nocy, jak prosta najemnica, zrobię to, a ztąd się nie ruszę. Pani wiesz dzieje owego pierścionka—mówiła dziewczyna, wskazując na mały palec lewej ręki—pierścionek ten wsunął mi on sam na palec, mówiąc: „Idę w świat szeroki, wyganiają mnie ztąd. Lecz gdziekolwiek zaniosą mnie losy, krążyć będę około tego punktu, jak planeta około słońca. Pozostań tu aż powrócę. Gdyby cię złotemi chciano ztąd wywabić górami, pozostań i czekaj na mnie. A gdyby wszyscy aniołowie szeptali ci do ucha: opuść tę ustron, nie słuchaj zwodniczych podszeptów—ja powrócę.” Pojmiesz pani teraz, że jest głos potężny, co mnie tu wstrzymuje, a nie ma tak okropnej groźby, któraby zdołała mnie ztąd wypędzić. Zniosę z chęcią cierpienia, niedostatek i nędzę i gdyby przyszło mi tu żyć życiem żebraczkim, pozostanę.

Teraz dopiero powstała baronowa z kanapy, a ujmując lewą dłoń dziewczęcia, odezwała się:

— A więc kochasz mojego syna? Czyż mnie masz, że ja go całą nie kocham duszą? Jedna z nas musi ustąpić. Któraż z nas zdobędzie się na tyle heroizmu?

Aranka chciała, blizka rozpaczy, wydobyć dłoń swoją z uścisku baronowej, ta jednak trzymała ją silnie.

— O łaskawa pani, pocóż podobne pytanie: Śmierć chyba je rozwiąże. Chcesz popchnąć mnie do samobójstwa?!

Pani Baradlay uwolniła ze swych kurczowych uścisków rękę dziewczęcia.

A spoglądając z uśmiechem i serdeczną życzliwością na Arankę, odezwała się:

— Nie pragnę, aby należał do nas obu. Oddaję ci go, lecz za to biorę ciebie. Ty będziesz mi zarazem córką i synem. Chodź ze mną do domu i tam oczekuj powrotu mojego syna. Kochajcie się, ja zaś zadowolnię się okruszynami waszej miłości.

Aranka, słysząc to, własnym nie wierzyła uszom. Złożyła ręce, jak do modlitwy.

— O dobra pani, to, coś mi powiedziała, jest zanadto niebiańskim, aby mogło być rzeczywistością. Gdzież znów zdeptanemu robakowi, jakim jestem, myśleć o wzniesieniu się z prochu do siódmego nieba?

— Nie dziwię ci się — odparła wdowa, tłumiąc wewnętrzne wzruszenie—twarz moja taka zimna, ton mojego głosu tak lodowaty! Jakże tu uwierzyć, że pragnę cię uszczęśliwić? Jakżeż uwierzyć, że pod tą kamienną osłoną tkliwe uderza serce? Ale nie tracę nadziei, że przekonam cię kiedyś! Tak długo nie zaprzestanę podjętej z tobą walki, aż uznasz się pokonaną. A teraz siadaj przy mnie.

Pani Baradlay pociągnęła ku sobie rozpromienioną dziewczynę i wydobyła z za stanika list zapieczętowany.

— Oto otrzymałam list z Rosyi od mojego syna, którego powołałam do domu. Zdobyłam się na tyle mocy, iż pisma tego nie rozpieczętowałam, lecz przyniosłam tu, abyś rozłamała pieczętkę i odczytała je głośno.

Dziewczę nachyliło się i złożyło dziecięcy pocałunek na ręce baronowej.

Potem wzięła list do drżącej ręki, a promień radości rozświetlił jej nadobną twarzyczkę; radość ta jednakże ustąpiła szybko miejsca ponuremu smutkowi.

— Co ci się stało?—spytała pani Baradlay.

— To nie jego pismo—szepnęła.

— Jakto? Ależ przeciwnie, poznaję jego rękę doskonale, to samo proste męzkie pismo, jak zawsze.

— Doskonale naśladowane.

— Któżby mógł pisać do mnie z małego miasteczka w Rosyi? Czy rozumiesz po francusku?

— Tak pani.

— Któż cię nauczył tego języka?

— Ja sama.

— Więc otwórz list, a zobaczysz. To jego herb, patrz.

— Pozwalasz pani? — zapytała młoda dziewczyna, rozdzierając kopertę. Twarzyczka rozjaśnia się.

— Tak, wistocie to jego pismo: „Droga matko.”

— A widzisz.

W tej samej chwili przecież twarz Aranki zbladła śmiertelnie.

— Tylko te dwa słowa skreślone są jego ręką, resztę pisał ktoś inny.

— Obca ręka? O proszę cię, czytaj.

Papier drżał w rękach dziewczęcia.

„Łaskawa pani. Przebacz mi, zem uciekł się do niewinnego podstępku, fałszując na adresie pismu syna pani. Mój przyjaciel, Oedön, chciał sam pisać, pióro jednakże wypadło mu po pierwszych wyrazach z ręki. Mocno jeszcze jest osłabiony.

„Nie obawiaj się pani. Oedönowi wprawdzie zagrażało wielkie niebezpieczeństwo, dziś jednakże nie ma żadnej obawy. W dwóch tygodniach siły pokrzepią się o tyle, że będzie mógł w dalszą puścić się podróż.“

— Groziło mu niebezpieczeństwo! — zawołała baronowa—o proszę cię, czytaj.

Mimo, że sama była wielce wzruszoną, nie uszło jej uwagi silne wzruszenie dziewczyny. Aranka zniewoloną była przywołać na pomoc całą moc duszy, aby spełnić polecenie baronowej.

„Oedön, odebrawszy list od pani, nie namyślał się ani chwili; dwór, życie wielkoświatowe i wszelkie przyjemności stolicy były mu niczem wobec rozkazu matki; na wszystkie przedstawienia, aby pozostał, odpowiadał: Nie mogę, matka mnie wzywa. Skoro przekonałem się, że nie ma siły, która zdołałaby go powstrzymać, postanowiłem towarzyszyć mu aż do granicy. Źle zrobiłem. Gdyby nie moja obecność, nie pozwolono by mu niezawodnie wyruszyć ze Smoleńska w porę najniebezpieczniejszą, nie byłby dostał się w objęcia trąby śnieżnej, ani nie byłby ściganym przez stado wilków, przed którym uratowała nas tylko Opatrzność i zręczność nasza. Dwie przeszło godziny umykaliśmy na łyżwach zmrożonym Dnieprem, mając ciągle za sobą groźnego nieprzyjaciela.

„Syn pani Oedön dzielnym jest młodzianem; -- widząc mnie w niesłychanym niebezpieczeństwie, stanął z narażeniem własnego życia w mojej obronie, ubił czterech wilków i nie odstąpił, aż ujrzał, iż niebezpieczeństwo minęło; jemu zawdzięczam, że żyję.“

Przy ostatnich słowach zarumieniła się twarz baronowej dumą macierzyńską. Oblicze Aranki natomiast bladło, a głos jej drżał coraz bardziej. O! miłość dziewczęcia odmienną jest od miłości matki. Czyn bohaterski, wprawiający w zapał matkę-spartankę, napelnia rozpaczą serce kochanki.

„Ochłonawszy z niebezpieczeństwa, puściliśmy się w dalszą podróż; już byliśmy blizcy ratunku, już zbliżaliśmy się do wojskowych koszar, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć przystań wygodną i bezpieczną, gdy wtem niespodzianie wpadliśmy w przerębel wyrąbany nad brzegiem przez rybaków, zajętych w tych stronach łowieniem ryb, i dostaliśmy się pod lód.“

— Boże miłosierny! — zawołała pani Baradlay.

Głowa Aranki pochyliła się, oczy przymknęły, a oblicze zbladło jak chusta. Drgania febryczne przenikały jej członki. Boleść ścisnęła jej usta.

Baronowa, widząc omdlewającą dziewczynę, zwilżyła jej usta i skronie zimną wodą.

— Przyjdź do siebie, moje dziecię. Widzisz, iż jesteś słabszą odemnie. A przecież ja matka. I ja cierpię narówni z tobą.

Z pod powiek Aranki wydobyła się cała kaskada łez, a z nią powróciła przytomność, powróciły siły.

Baronowa przycisnęła dziewczę do serca i pocieszała je:

— Nie płacz, moje dziecię. Resztę listu sama doczytam. Patrz, oczy moje suche. Lub czytamy razem. Mówiąc to, objęła szyję Aranki i czytała:

„Mnie strzegł amulet, zawieszony mi na szyi ręką konającej matki. Gdy Oedön wybierał się w podróż, chciałem mu podarować tyle drogą mi pamiątkę, będącą wypróbowanym puklerzem przeciw utończeniu, ukąszeniu dzikiego zwierza, zarazie; nie chciał jednakże jej przyjąć, powtarzając: „mnie moje prowadzą gwiazdy“ i przyznając się, że owemi gwiazdami

są kochające oczy niewieście. Po wydobyciu nas na brzeg, nie odstępowałem go na chwilę i zapytałem, skoro przyszedł nieco do siebie: „Przyświecają ci twoje gwiazdy, a on na to z uśmiechem: „Wszystkie cztery.“

Obie kobiety uczuły się przy tych słowach jakby dotknięte prądem elektrycznym.

„Przyjaciel mój przeszedł dość silną febrę, żadne niebezpieczeństwo jednakże, jak już powiedziałem, nie zagraża mu bynajmniej. Nie odstępowałem go ani na chwilę. Dziś chciał koniecznie napisać list do pani, siły jednakże nie sprostały chęciom. Postanowiłem tedy wyręczyć go. Nie wątpię, że za dwa tygodnie będziemy mogli w dalszą ruszyć podróż. A teraz nic mi nie pozostaje, jak prosić gwiazd Oedöna, by nie opłakiwały jego przygód, pod rosyjskiem bowiem niebem lży gwiazdy przemieniają się w śnieg, a śniegu tu mamy więcej, niż potrzeba.

Leon Ramirow.

Obie kobiety spojrzały na siebie. Na ich powiekach jednakże nie zwieszały się już lzy, lecz owszem oczy ich jaśniały niebiańską radością. Pani Baradlay nachyliła się ku Arance, a składając na jej czole pocałunek macierzyński, szepnęła tkliwie:

— Droga córko!

Aranka upadła do nóg baronowej i oparła w milczeniu pałającą twarzą o jej kolana.

Ręka baronowej spoczęła na głowie dziewczęcia.

.

W godzinę później córka pastora opuszczała ku największemu zdziwieniu wszystkich mieszkańców skromną plebańską, aby przenieść się do zamku.

Gdy powóz, w którym obok baronowej usiadła Aranka, skręcał koło domu notaryuszowej, zacna ta

dama odkomenderowała w lot swoich synalków, z których jednemu rozkazała pogonić za powozem, drugiemu zaś pospieszyć dla zasiągnięcia języka na plebanię. Po chwili obaj powrócili: pierwszy z wiadomością, że powóz wtoczył się na dziedziniec zamkowy, drugi, że dom pastora powierzono opiece kościelnego, panna bowiem odtąd zamieszka w zamku.

Zacna połowica notaryusza, Michała Szalmasa, słysząc to, uderzyła w silne dłonie i jęknęła:

— Gdyby to wiedział nieboszczyk! O czasy! o ludzi!

ROZDZIAŁ XI.

Podkreślone wiersze.

Odtąd zacna połowica notaryusza Michała Szalmasa bywała codziennym gościem w zamku, pewna, że z czasem zdoła wpaść na trop tyle zawilej dla siebie tajemnicy.

Między innemi zaszczycała odtąd nieustannemi wizytami starego kasztelana, od którego zwykła była zasięgać języka o tem wszystkim, co się dzieje w zamku.

Nie przeczymy, że stary Marcin Bako, pełen galanteryi dla kobiet, był niemniej uprzejmym dla pani Michałowej i że na zadawane sobie pytania nie zadłużył się nigdy z odpowiedzią, ale odpowiedzi te nie zawsze były zgodne z rzeczywistym stanem rzeczy, owszem, mijaly się w regule z prawdą i świadczyły pochlebnie o poetycznej intuicyi starego dworaka. Pani notaryuszowa jednakże brała opowiadania kasztelana za najlepszą monetę i jako taką, puszczala w kurs między zacne kumoszki.

Pewnego pięknego poranku zaatakowała pani Szalmas starego kasztelana zapytaniem:

— Nieprawdaż, że oczekujecie dziś gości?

— Rzeczywiście. Lecz któż pani o tem powiedział?

— Dziś zrana zobaczyłam dym, wydobywający się z komina prawego skrzydła, gdzie komnaty w ziemi nie bywają opalane; kogóż to oczekujecie?

— Młodego pana.

— A którego? Wszakże jest ich trzech. Któryż zawita dziś do zamku?

Bako wahał się chwilę z odpowiedzią.

— Gwardzista — dodał w końcu.

— Gwardzista? A możeż on opuszczać króla.

— Zastąpi go kto inny.

— A jakże tu przybędzie?

— Samo przez się rozumie się, że na koniu.

— A na jakim?

— Na białym jak śnieg.

— A jak będzie ubrany?

— W strój czerwony ze złotemi pętlcami, na głowie będzie miał kołpak sobolowy z czapłą kitą, przez plecy przewieszoną skórę z pantery.

— Chryste Panie, skóra z pantery! Jak żyję nie widziałam pantery.

Zaopatrzona w podobny zasób nowinek, powróciła pani notaryuszowa do domu.

W zamku rzeczywiście oczekiwano gościa. Nadszedł list od Oedöna, na ten raz kreślony własnoręcznie, a datowany ze Lwowa.

Po południu rozkazała pani Baradlay zaprządz do powozu i wyjechała naprzeciw syna do najbliższej stacyi pocztowej.

Oedön przybył punktualnie.

Serdeczne i rozczulające było przywitanie.

Oedön wsiadł do powozu matki, która zarzuciła go pytaniami.

Nie zmierzchno się jeszcze zupełnie, gdy przybyli do Nemensdombu.

Oblicze matki nie zmieniło się wcale od ostat-

niego wyjazdu Oedöna. Ten sam smutek, ten sam chłód, co dawniej, wieje i dziś z jej regularnych ryśów. Jak dawniej, tak i teraz przemawia pani Baradlay do syna w tonie zimnym, nieczułym napozór, jak gdyby zostawała jeszcze ciągle pod wrażeniem męża z kamiennem sercem, krytykującego surowo każdy jej wyraz i potępiającego wszelkie tkliwsze uczucia.

Skoro Oedön przebrał się z drogi, powiodła go do komnat ojcowskich.

— W komnatkach tych teraz, ty mój synu, zamieszkaż, tu przyjmować będziesz przedstawiających ci się gości. Jak wiesz, dom nasz jest miejscem zbornem całego koła znajomych, którzy na wieść o twojem przybyciu pośpieszą z powitaniem. Odtąd ty tu gospodarzem.

— Jako najstarszy z braci, jesteś zarazem naturalnym opiekunem młodszego rodzeństwa. Spodziewam się, że będziesz umiał pogodzić miłość braterską z obowiązkami roztropnego opiekuna. Bracia twoi różnią się charakterem i usposobieniem. Powinieneś zbadać jednego i drugiego.

— Uczynię to z twoją pomocą.

— Dom nasz zażywa wielkiego w komitacie poszanowania. Nim weźmiesz udział w życiu publicznem, musisz zdecydować się, jakie zająć stanowisko, jakimi otoczyć się ludźmi i w jakiej oś pierwszymu razu wystąpić roli.

Za dni kilka zamek nasz napelni się rojem znajomych. Tak zalecił twój ojciec. Cel zjazdu jest dla mnie, jak i dla ciebie tajemnicą.

— O ty, mameczko, świadoma jesteś niezawodnie celu zjazdu, o którym wspominasz.

— Zkądże to wnioskujeż?

— Z listu twójego, który tak pośpiesznie powoływał mnie do domu.

— Czyż powrót do ojczystego gniazda nie był ci na rękę?

— W tej samej godzinie, w której doszedł mnie twój list, byłem gotów do drogi.

— Nie pomyślałeś o tem, że jako głowa rodziny Baradlayów jesteś uprawnionym do objęcia dziedzicznego krzesła nadzupana alföldskiego komitatu.

— O ile wiem, krzesło to dzierży obecnie administrator.

— Dzierzył je i dzierży w zastępstwie, ojciec twój bowiem, złożony ciężką niemocą, nie mógł spełniać osobiście obowiązków, połączonych z owym dziedzictwem. Tyś silny i zdrow, nic ci przeto nie stoi na przeszkodzie do objęcia godności nadzupana.

Oedön spojrział matce w oczy.

— Matko, nie po to przywołałaś mnie do domu!

— Przypuszczenia twoje są usprawiedliwione. Inny jeszcze powód wchodzi tutaj w grę. Nie mam przed tobą tajemnic: ojciec twój polecił w testamencie, bym w sześć tygodni po jego śmierci oddała moją rękę administratorowi; za dni kilka przeto nastąpią zaręczyny, który to akt uroczysty uświetnią bytnością swoją liczni przyjaciele i znajomi domu naszego.

— Świętą mi jest wola ojca mojego — odrzekł Oedön, schylając głowę.

— Skoro tak, posłuchaj, co ci powiem. Dom Baradlay'ów potrzebuje pana i pani; pana, któryby umiał rozkazywać i kierować sprawami publicznymi, pani, coby posiadała sztukę zdobywania serc.

— Nie inaczej — szepnął Oedön — całując rękę matki.

— Panem będziesz — ty Oedönie.

Oedön osłupiał.

— Ty będziesz panem, a żona twoja panią!

Oedön westchnął boleśnie.

— Wiesz przecie, mateczko, że to niemożliwe.

— Jakto, nie chcesz się żenić?

— Nie.

— Nie wyrzucaj ze swej piersi tak pochopnie tego słowa „nie.“ Masz dopiero lat dwadzieścia cztery. Chciałżebyś przyszłość swoją spędzić w jałowej samotności, trawiony tęsknotą za utraconym z własnej winy rajem?

— Nie tajne ci są powody takiego postanowienia. Nauczyłem się cierpieć w milczeniu, nie skarżę się, ani rzucam klątwy na ludzi. Oprócz ciebie jednej—nie kocham nikogo. Życie nam dotąd, nie wi-
ło się, mateczko, różami; cierpmy przeto dalej! Z cza-
sem postarzejemy się oboje; ty, wdowa, i ja, twój syn, pustelnik.

Panią Baradlay rozśmieszył ten smętny nastrój Oedöna, przerwała mu przeto:

— Przesadzasz, Oedönie. Świat ten pełen jest ładnych twarzyczek i serc złotych. Trafisz i ty na swoje.

— Próżne nadzieje.

— A cobyś na to powiedział, gdybym ci oznajmiła, iż wybrałam dla ciebie dziewczę piękne, dobre i z sercem godnem najtkliwszej miłości?

— Jestem pewien, że znajomość ta do niczego nie doprowadzi.

— Kto wie!

Matka poprowadziła syna do sąsiedniej komnaty, a otwierając drzwi przyległego salonu, rozkazała Oedönowi, by wszedł pierwszy. Tu ujrzał Arankę w całym blasku jej niepospolitej urody.

— O moja najdroższa!

— O mój jedyny!—oto okrzyki, jakie wyrwały się z piersi kochanków.

Pani Baradlay ujęła ręce młodej pary i szepnęła do Oedöna:

— Nie wątpię, że dom nasz wkrótce powita w swych murach pana i panią.

Młoda para okryła twarz i ręce wdowy serdecznymi, dziękczynnymi pocałunkami.

Mąż kamiennego serca spoglądał dumnie ze złoconych ram. Brwi jego ściągnięte, oko zasępione, czoło sfaldowane.

Wdowa, rzuciwszy jeszcze jedno błagalne spojrzenie ku nieboszczykowi, wyszła z komnaty, pozostawiając szczęśliwych sam na sam.

Ztąd udała się do sypialni, wydobyła z biurka tekę z owym pamiętnym testamentem, dyktowanym ustami umierającego małżonka, i podkreśliła w nim wiersze, odnoszące się do wydarzeń dnia dzisiejszego.

— Dotąd zadanie moje spełnione!

Publiczną było tajemnicą, że w sześć tygodni po pogrzebie obchodzić będą w zamku zaręczyny.

Na dzień naznaczony zaproszono przyjaciół i znajomych domu Baradlay'ów.

Pani baronowa, rozpisując listy zapraszające, wyraźnie w każdym z nich nadmieniała, że uroczystość będzie aktem wyłącznie rodzinnym.

Zjechało się ze wszystkich stron gości co nie miara. Dziedziniec zamkowy roił się wspaniałymi ekwipażami i skromnymi powózkami, a zjazd ten różnił się tem właśnie od innych, że panowie małżonkowie nie przybyli sami, lecz w towarzystwie swoich połowic i nadobnych córek. Tak i córek!

Podówczas już stugębna obiegra fama, że młody Baradlay powrócił z zagranicy i że ręki jego nie zdobi dotąd pierścień zaręczynowy. Zwierzyna to, na którą warto urządzić polowanie.

W tłumie gości spotykamy wypogodzone oblicze Zebulona Tallerosy'ego. Przybył dziś z pompą odpowiednią piastowanej przezeń godności. Stara kolasa nową powleczone skórą, a odwieczne jej drzwi czki upstrzone w herby rodzinne Tallerosy'ch. Na

koźle obok woźnicy posadzono hajduka. Liberye obu-
dwóch, choć odmienne w szczegółach, suto przy-
brane.

Zebulon przybywał tym razem nie sam. Zabrał z sobą jedną z córek, smukłą, młode i wcale nie szpetne stworzenie. Szkoda, że się tak mocno sznu-
ruje i jada, by się wydać delikatniejszą, ziarnka palo-
nej kawy.

Nagle wszczyna się szmer i wołanie: Już jedzie, już jedzie bohater dnia, Ridegvary! Wistocie przy-
bywa nowiuteńkim ekwipażem, zaprzężonym w piąt-
kę rasowych i ślicznej maści koni. Na koźle siedzi huzar *comme il faut* który, skoro powóz zatoczył się przed ganek, zeskoczył ze swego miejsca, otwo-
rzył drzwiczki i podał rękę wielkiemu panu.

Nie byłoby zaprawdę sprawiedliwości na świecie, gdyby nie dozwolono pierwszemu Zebulonowi powitać jego ekscelencyi.

— Witaj nam, witaj, ekscelencyo! Eljen i vi-
vat! Właśnie dopiero co i ja przyjechałem i przy-
wiozłem z sobą na tak wielką uroczystość jedną z córek. Zdaje mi się, że najstarszą? Choć najstar-
sza nie ma jeszcze, chwała Bogu, lat dwudziestu. Zowie się — ah, jakże się nazywa? Wszystkie moje córki tak dziwacznie ponazywane, że ani sposób spa-
miętać ich imion. Winną temu moja żona, która czyta po całych dniach i nocach. Zawsze z gazetą lub książką w rękę. W czasie urodzenia najstarszej mej córki słynęła po całym świecie grecka amazon-
ka Charikleą, córka kapitana Spatara—która zatopiła okręt turecki. Otóż żona moja nazwała najstarszą córkę Charikleą. Druga córka dostała imię Karoliny Pii, gdyż wówczas żenił się nasz najmiłościwszy ce-
sarz z księżniczką tych dwóch imion. — Trzecia córka zwie się Adalgiza, bo urodziła się nazajutrz po pierwszym przedstawieniu w teatrze peszteńskim „Nor-
my,” na którą żona moja patrzyła z łoża. Czwarta przyszła na świat w czasie szalonym; wszystkim po-

zawracał głowy Palacky. Zawrócił i mojej żonie i nazwała czwartą córkę Libuszą. Żałuję, lecz cóż robić? Aby jednakże dowieść, że jesteśmy zacnym i dobrymi patryotami, ochrzciliśmy piątą i ostatnią córkę imieniem czysto węgierskiem: zowie się Bendegurella; tak zwał się sławny wódz węgierski.

— Jakto, Opatrzność obdarzyła cię, mój Zebulonie, aż pięciu córkami? — zapytał, uśmiechając się, administrator.

— Nie, mam sześć. Czy też jest ich tylko pięć? Na honor, sam już nie wiem, pobałamucilo mi się zupełnie w głowie. Karika, a wiele was tam jest hurtem? Tylko pięć? A mnie się zdawało, że was tam najmniej siedm hałasuje.

Po owych wywodach papy Zebulona udał się administrator do swoich pokojów. Tutaj w przedpokoju oczekiwali go już jego czciciele. Pominął wszystkich, zatrzymał się jedynie chwilę przy panu Michale Szalmasie, który posiadał ten szczególniejszy przywilej, iż wolno mu było bawić ubierającego i rozbiierającego się administratora świeżemi nowinkami.— Łaskawem skinieniem ręki zaprosił go do swojej sypialni.

W czasie pogadanki ubrał się p. Ridegvary w strój galowy i pośpieszył w towarzystwie licznej drużyny zwolenników, z p. Michałem Szalmasem na czele, do sali herbowej.

Tu zaraz na wstępie wpadł w objęcia gadatliwego Zebulona, który przemówił doń z miną tajemniczą:

— Chciałbym coś powiedzieć waszej ekscelencji. Zamek roi się obcemi twarzami.

— Być może — odparł obojętnie administrator.

— Niby to te twarze znam dobrze, a przecież są mi obce.

— Nie rozumiem cię, Zebulonie — odezwał się dygnitarz.

— Nie rozumiem cię! — zawołał nieco zniecier-

pliwiony Zebulon —niech się wasza ekscelencya obejrzy dokoła, a niezawodnie pojmie mnie. Sala pełna jest opozycyjnych fizyognomij.

Dygnitarz, powiódłszy okiem po zgromadzeniu, przekonał się rzeczywiście, że uwagi Zebulona zasługują na pewne uwzględnienie. Jednakże nic w tem dziwnego. Znakomitości komitatu uznały za stosowne, bez względu na różnice polityczne, przedstawić się młodemu dziedzicznemu nadżupanowi. Tak nakazywały pierwsze reguły grzeczności.

Pan administrator nie wiele w tej chwili byłby sobie robił z obecności nawet takiego przeciwnika, jakim był Tablabiro Tormandy; wszakże dom nadżupana otwartym jest dla każdego; tu każdy ma prawo wchodzić, a większość ostatecznie, jak była większością, tak nią pozostanie.

— Damy sobie z nimi radę, przyjacielu Zebulonie!

Zebulon uderzył się z całej siły w piersi, przybrane fałszywemi granatowemi guzami.

— Niech tylko zacznę, a pokażę im, co umie Zebulon; zgniotę niegodziwców na miazgę, a najpierw nauczę moresu tego bezbożnika Tormandy'ego...

Porwany zapałem, chciał gromić dalej nieprzyjaciół, gdy wtem utknął niespodzianie, jak gdyby widmo z drugiego świata pochwyciło go za gardło.

— ... Ah!... ecce!...—jąkał się na widok wstępującego w tej chwili do salonu starca.

Był to pastor miejscowy, ojciec Aranki.

Zebulon Tallerosy był najpewniejszy, że widzi przed sobą w całej okazałości Felicjana Zacha, który przychodzi tutaj, aby z mieczem w ręku dopominać się oddania wydartej mu gwałtem córki i ubić bez miłosierdzia pierwszego, który stanie mu na drodze.

Na domiar nieszczęścia, spostrzegł Zebulon, że pastor zmierzał wprost ku niemu. Zebulon świadom

był dokładnie swych nieprawości, jakich dopuścił się wobec pastora, uważał się w duchu za najzaciętszego jego prześladowcę, i dlatego, chcąc odwrócić od swej głowy wiszące nad nią niebezpieczeństwo, podskoczył ze słodziutkim uśmiechem do starca, pochwycił go za ręce i odezwał się:

— Najniższy służka kochanego, zacnego, prze-wielebnego pana, jakże tam ze zdrowiem?

Pastor w odpowiedzi ani nie wyciągnął z pod faldzistej sukni zdradzieckiego miecza, ani starał się zwolnić dłoń swą z uścisków Zebulona, lecz odparł krótko:

— Dziękuję, spectabilis, za pamięć. Ot, po sta-remu.

Uprzejmość pastora dodała otuchy Zebulonowi, mimo to postanowił niedowierzać mu.

— Gdzież to podróżowała wasza wielebność? Słyszałem, że się zaglądało aż do Wiednia.

— Rzeczywiście, byłem i tam.

— Podobno ścigały w. wielebność różne *fatali-tates*?

— Nic o tem nie wiem; owszem, bawiłem się doskonale.

Zebulon pokręcił niedowierzająco głową.

— Przyjęcie u kanclerza nie bardzo było ła-skawe?

— Przeciwnie, znalazłem wszędzie jak najprzy-jaźniejsze przyjęcie.

Słodycz i ton łagodny pastora niepokoiły Ze-bulona.

— A panna Aranka, podobno rzuciła już wia-nek paniński — poszła za męża?

— Niby tak, niby nie tak—odparł z uśmiechem duchowny, ku wielkiemu zdziwieniu tak samego Ze-bulona, jak i innych, przysłuchujących się temu dyalo-gowi gości.

— A wasza wielebność zadowolona z zięcia?

— Nie inaczej.

Zebulon zadumał się głęboko, a nim zdołał nowe pastorowi zadać pytanie, już pastor ścisnął z całej mocy rękę Zebulona i do przyległej udał się sali.

Gości, z którymi spotykał się Ridegvary, na dwa można było rozdzielić obozy; jedni witali go z głębokim, kornym ukłonem, drudzy z uśmiechem lekceważenia. Nie pojmował, po co ostatni tu przybyli. Zebulon natomiast spotykał w lewo i w prawo uśmiechnięte oblicza. Cieszył się niepomąlu, iż tak sympatyczną i lubioną w całym komitacie jest osobistością.

Ridegvary, przeciskając się do swojego druzby — spostrzegł Tormandyego, do którego skóry ku większej chwale pana administratora z takim dobierał się przed chwilą zapalem dzielny Zebulon, zatopionego w rozmowie z pastorem, a nim zdołał powitać hrabię i zapytać go, czy nie widział gdzie Oedöna, odbił się nagle o uszy jego tubalny głos Tormandyego: „Uspokójcie się, panowie!“

— Panowie — zahuczał mówca komitatowy — wiadomo wam wszystkim, na jak radosną sproszono nas tutaj uroczystość. Nowe weszło nad tym domem słońce w osobie nowego naczelnika rodziny, którego oby nieba chciały jak najdłużej nam zachować ku szczęściu i pomyślności ojczyzny.

— A to się upokorzył — szepnął hr. Galfalvy na ucho administratorowi.

Pana Ridegvaryego nie zdziwiła bynajmniej owa nagła zmiana frontu.

— Widocznie ostatnia w cztery oczy rozmowa dokonała tego cudu — odparł zcicha administrator.

Mówca tak dalej ciągnął:

— Oblubieniec, którego w pełni młodości postawiła Opatrzność na czele rodziny... polecił mi, bym jako družba...

— Co? co? — zawołali naraz pełni zadziwienia administrator, hrabia i Zebulon,

... zapytał się godnego družby narzeczonej, ażali powolna jest umówionemu związkowi i chce rękę swą połączyć z dłonią oblubieńca?

Teraz dopiero zdziwienie wezbrało po same brzegi.

Jeśli Tormandy występuje w charakterze družby, w jakimże celu zaproszono hr. Galfalvyego? Któż odpowie družbie? Jużci nikt inny, jak družba narzeczonej. Godność tę złożono w ręce superintendenta, a ten dotychczas nie przybył. Cóż to za konfuzya?!

Grom z jasnego nieba nie byłby w stanie większego wywołać wrażenia, jak właśnie scena, będąca bezpośrednim skutkiem przemówienia Tormandyego. Skoro skończył, wystąpił Bartłomiej Langhy i odezwał się głosem pełnym namaszczenia:

— Grób tylko rozwiązuje węzły, zawarte w niebiesiach. Niechaj związek wieczysty uświęci miłość pary kochającej.

— Oszalał! — szeptali niektórzy.

Równocześnie przecież nastąpiło rozwiązanie zagadki.

Drzwi podwójne rozwarły się, a zdumieni widzowie ujrzeli przed sobą grono zaproszonych pań, z wdową Baradlay na czele, która wiodąc Aranę Langhy za rękę, przedstawiła ją całemu zgromadzeniu, jako bohaterkę dnia dzisiejszego.

Wdowa ubraną była w czarną suknię, narzucaną perłami stalowemi; we włosach jej błyszczał dyadem ze spadającą na suknię długą do ziemi wdowią zasłoną, a na obliczu żywa radością się gościła, gość u niej rzadki.

Teraz dopiero przekonano się, ile to uroku tryśka z tej twarzy, opromienionej odblyskiem ukazującego się szczęścia. Wyglądała, gdyby królowa.

A oblubienica? Biała, falująca na niej suknia, ozdobiona śnieżnemi hyacyntami, delikatne usteczka zarumienione, w spuszczonych oczach czar niebiań-

skiego zachwytu, a każdy jej ruch nacechowany urokiem dziewiczej godności. Dwa to typy piękności niewieściej, a każdy z osobna doskonały.

Na środku sali stał stół marmurowy, za nim złota taca, przykryta zasłoną koronkową. Do stołu tego zbliżyli się druzbowie, a za nimi Baradlay razem z Aranką.

Oedön stał przy swym druźbie.

Pastor odsłonił tacę i podjął z niej dwa pierścionki, z których jeden włożył na palec Oedöna, drugi na palec Aranki i połączył ręce oblubieńców.

W czasie krótkiej tej ceremonii uroczysta dokoła zapanowała cisza, a gdy młoda para zbliżyła się do wdowy, aby uściskać jej kolana, całe zebranie głośnym i jednomyślnym odezwało się „eljen“.

Nawet Zebulon zapomniał się tak dalece, iż wołał z całej piersi eljen i vivat i dopiero wtenczas spostrzegł się, iż zapał jego nie jest bynajmniej na miejscu, gdy spotkał się z piorunującym wzrokiem pana administratora. Mniemał, że grając rolę naiwnego, zdoła błąd naprawić.

— Aha, to podwójne będziemy dziś święcili zaślubiny, no, to co innego, odezwał się do Ridegvary'ego, udając najnaiwniejszą pod słońcem trusią.

Jego ekscelencya w odpowiedzi na to odwrócił się od Zebulona, a zgrzytając zębami, szepnął do niedoszłego swego druźby:

— Toż to istny spiszek!

— Najmądrzej uczynilibyśmy, gdybyśmy kazali zaprządz i powrócili do domu—radził hrabia Galfalvy.

— Nie, tego nie zrobimy. Owszem pozostaniemy i na miejscu będziemy oczekiwali końca komedyi.

Obaj panowie zbliżyli się do młodej pary, a Ridegvary jeden z pierwszych złożył Oedönowi swe życzenia. Nie przeczuwał, ani widział, jak śmiano się i bawiono jego kosztem, naturalnie po za plecami.

Akt uroczysty zakończył się wielkim obiadem w salach zamkowych. Miejsca honorowe przy głównym stole zajęli państwo młodzi; z Oedönem sąsiadował pastor Langhy, a z Aranką pani Baradlay, obok pastora siedział superintendent, a naprzeciw przy pani Baradlay hr. Galfalvy, dalej administrator, Zebulon i reszta gości.

W toku obiadu zabawili się goście w znane na Węgrzech „turnieje toastowe.“

Siedzący przy jednym i tym samym stole, z jednego i tego samego gąsiora pijący, przeciwnicy usiłują świetnymi pokonać się mowami.

Każdy toast odnosi się do obecnych lub nieobecnych osób, a w motywa jego wplecione najbardziej zajmujące chwile z dziejów codziennych; patos, humor i biblijne cytaty — to broń, którą może do woli posługiwać się mówca; wino rozwiązuje języki, używa natchnienia i daru wymowy milczącym, dodaje odwagi młodzianom, a ognia i zapалу starcom; wszczytna się walka, walka zacięta; przeciwnicy walczą bronią duchową i strzałami dowcipu...

Oedön tylko milczał.

Widocznie utkwily mu w pamięci słowa matki: „Namyśl się pierwiej dobrze, nim się odezwiesz, nim wypowiesz to, co spoczęło na dnie twego serca.“

W zamku ucztowano długo w noc.

Pierwszy opuścił stracony plac boju Ridegvary.

Żegnając panią Baradlay, przemówił tonem uroczystym:

— Dziś, łaskawa pani, byłem po raz ostatni gościem w domu Baradlay'ów. Dziś rano jeszcze nie uwierzyłbym, gdyby mi to ktoś prorokował. Żegnając jednak te mury, czuję, że odzywa się i we mnie duch prorocy. Ty, łaskawa pani, zboczyłaś razem z synem z drogi, przekazanej ci w godzinie śmierci przez ś. p. jej męża, człowieka cnót niepospolitych, a mojego prawdziwego przyjaciela. Pani krocysz wręcz przeciwną drogą. Zachowaj w pa-

mięci to, co ci powiem w tej godzinie: „Droga, jaką wybrałaś, prowadzi do wysokości, lecz wysokość ta zwie się — rusztowaniem.“

ROZDZIAŁ XII.

Pierwszy szczebel do „owej wysokości.“

· · · · ·

Panom magnatom, właścicielom obszernych włości łatwo naturalnie bawić się w liberałów; ja zaś posiadam jedynie trzy wioski tam (głosy z zebrania: na księżycu) nie na księżycu, lecz w Szaroskim i Zemplińskim komitacie i one są całym moim majątkiem. Usamowolnwszy poddanych nic innego mi nie pozostanie, jak zaprzędz siebie i pięć moich córek do bron i tak własnymi rękami uprawiać ten lichey kawał ziemi. Gdybym się był chłopem urodził, pragnąłbym jedynie pozostać chłopem do śmierci. Chłop czuje się szczęśliwym w skórze dzisiejszej. Poczóż pozbawiać go owego szczęścia? Kto jest panem, niech pozostanie panem, kto zaś nie jest panem, poczóż go nim robić gwałtem? Któż temu winien, że nie wszyscy ludzie urodzili się szlachtą? Czyż ja się uskarżam np., że nie przyszedłem na świat hrabią?

Przypatrzmy się jednakże całej tej sprawie ze strony praktycznej. Dziś już, gdy przypada wybór deputowanych, ileż to wychodzi wina na traktament dla głosującej szlachty! Cóż się stanie wówczas, gdy chłopów przypuścimy do urny wyborczej? Wszystkie winnice nie wystarczą i w końcu zabraknie wina. A jakież ztąd skutek, gdy i ludzi chłopskiego, posledniego urodzenia dopuścimy do urzędów publi-

cznych? Dziś już na każdy wakans przypada co najmniej dziesięciu aspirantów. Młody człowiek nie może się wpierv ożenić, aż zdobędzie urząd. Ci szanowni mówcy, co zabierali głos przedemną, nie mają ani synów, ani córek, ani żon. Ja zaś mam ich aż pięć, nie żon, jeno córek (ogólna weselość). A do tego wszystkiego, oświata ludowa! Po co? pytam się was obecnych. Lud mnoży się, rośnie i wychowuje bez waszej oświaty. Lepsze to ongi były czasy, gdy czytać i pisać umieli mnisi jedynie; dziś rwie się już do książki pierwszy lepszy chłop i ani chce już wierzyć księdzu na słowo. My to sami zburzyliśmy zwyczaj prastary, nakazujący, aby prawa pisane były po łacinie; dzięki temu zwyczajowi, prawa nasze stanowiły księgę poważną, niedostępną dla pierwszego lepszego chłystka, dziś wściubiają tam nos i rezonują kobiety, przekupnie, a nawet i żydzi. Zobaczycie panowie, co z tego wyniknie. Pragnąc, aby lud czuł się wolnym, zrobimy najmądrzej, jeśli nie obdarzymy go wolnością; dopóki bowiem nie damy mu jej, nie będzie mógł jej stracić. Stójmy na straży ośmiowiekowej konstytucyi i pilnujmy, aby ją nienaruszoną w najdalsze przechowano czasy. *Dixi!* (*Eljen!* po prawej stronie, śmiech po lewej).

Zbytecznem może byłoby nadmieniać, że mowę powyżej naszkicowaną wypowiedział na dziejowej doniosłości kongregacyi komitatowej, odbytej w trzy dni po zaręczynach dziedzicznego nadżupana Baradlay'a, nasz przyjaciel Zebulon Tallery.

Była to zaprawdę ogromnej wagi i pamiętna w dziejach naszych kongregacya. Marszałkował jej administrator Rideghvary.

Główni mówcy najodleglejszych komitatów, którzy, jako mianowani *tablabiros*, mieli głos i dzierżyli miejsce przy zielonym stole owego komitatu, przybyli niemal w komplecie, a za nimi podążyła tłumnie nie tylko majętniejsza, lecz i uboższa szlachta.

Rideghvary nie szczędził pieniędzy, udało mu

się też znacznie powiększyć liczbę swych stronników, wprowadzając do zgromadzenia ludzi przez siebie przekupionych.

Już z brzaskiem dnia, na który zwołano posiedzenie, tłoczył się tłum czarnych i białych (białe pióra były oznaką stronnictwa postępowego, czarne stronnictwa zachowawczego) do bramy domu komitatowego, domagając się, aby go wpuszczono do sali. Zaledwie rozwidniło się, już wszystkie miejsca tak po prawej, jak po lewej stronie, z wyjątkiem krzeseł przy zielonym stole, do koła którego mieli zasiąść główni przywódcy, były obsadzone. Ale nie tylko czarne i białe pióra powiewały na kapeluszach, owszem z pod burek i płaszczów wyzierały kije ołowiane i krótkie czekany—pro i contra.

Białopióre stronnictwo pouczonem zostało wypadkami dawniejszych kongregacyj, że, gdy zabraknie argumentów, wychodzi na jaw *in fine finali ultima ratio*, a wtedy „kto ma zęby, gryzie i szarpie.“ I dlatego to uzbroiło się dziś w odpowiednie argumenty, zdecydowane walczyć do upadłego.

Z uderzeniem godziny 9-ej rozpoczęły się rozprawy pod łaską Ridegvaryego.

Stronnictwo białych zamierzało zanieść przeciw niezgodnemu z konstytucją systemowi administratorów energiczny protest. Najświetniejsi mówcy zapisali się do głosu.

Stronnictwo czarnopiórych natomiast zarekwirowało z piętnastu komitatów najnudniejszych i najmniej smaczniejszych mówców, celem paraliżowania z pomocą usypiających peror pełnych zapалу i ognia przemówień białopiórych, przeciągania rozpraw do nieskończoności i spychania tem samem z porządku dziennego kwestyj, na których podniesieniu stronnictwu postępowemu wiele zależało.

Wszystkie te jednakże fortele, dobre dawniej, dziś niewiele pomogły; białopiórscy dotrzymali stanowiska i nie dali się pokonać ani senności, ani nawo-

ływaniom żołądka. Każdy poprzysiął sobie dotrwać do końca posiedzenia, choćby posiedzenie to miało się do drugiego przeciągnąć rana.

W końcu przyszła kolej na Tormandyego, głównego mówcę białych.

Skoro Tormandy zaczął mówić, czarnopiórcy powstawali ze swych miejsc i dalejże sykać, hałasować, przerywać mu; wszystko to jednakże nie zdołało zbić z toru dzielnego mówcy, który krzykliwych przekrzyczał i w razie potrzeby podnosił ton swego głosu do wysokości, jakiej nadaremno pokusilyby się sprostać najsilniejsze piersi.

Skoro tylko Tormandy wypuścił przeciw prezydium raketę nieparlamentarną, wszczynając stronnictwo zachowawcze hałas okrutny, wołając unisono: *Actio, actio!*

A kongregacja komitatowa skazywała bezzwłocznie nieposkromionego mówcę na akcyę fiskalną.

Wszystko to jednakże zaledwie zwróciło uwagę Tormandyego; z najzimniejszą krwią wydobywał pugilares i rzucał fiskalowi komitatowemu dwa banknoty po sto guldenów — zwyczajna kara, na jaką skazywano winnego — i ciągnął dalej rozpoczętą filipikę.

Za chwilę wymknął mu się znów nieco drastyczniejszy argument i znów wołania: *Actio, actio!*

Tormandy, nie przerywając nawet, rzucił dwie setki, które trzymał już w pogotowiu, fiskalowi i piorunował dalej. I piorunował tak długo, aż ujrzał, że w pugilaresie pustki i że nic mu nie pozostaje, jak ostatnie grubiaństwo opłacić sygnetem herbowym, który to pierścień fiskal komitatowy zmuszonym był przyjąć jako zastaw; co zamierzał jednakże, dopiął Mowa, którą wygłosił Tormandy, była parafrazą dwunastu punktów szathmarskich ¹⁾.

¹⁾ Na poprzednim sejmie deputowani z Szatmar mieli poleconem wypracowanie dwunastu punktów, które następnie zostały przyjęte przez kraj cały.

Co to za punkty? Wianek spleciony z gwiazd błyszczących, których nazwą „wszechwładztwo ludu.“

Dziś jeszcze świecą nam one.

Wówczas jednakże zaciętą wywoływały walkę, której zarzewie przenosiło się od komitatu do komitatu. Już sama wzmianka o „dwunastu punktach szathmarskich“ była hasłem do wzniesienia burzy.

Ostatnie słowa Tormandyego rozplynęły się w ogromnym gwarze. Z lewej i prawej strony zagrzymiały „eljen“ i „precz z nim.“

Wręcz przeciwne głosy równoważyły się. Marszałkujący administrator siedział sztywny i gdyby mumia nieruchomy w swym fotelu. Zdawał się szukać kogoś oczyma. Dostrzegł go nareszcie i dał mu znak, aby się zbliżył.

— Cóż tam, Szalmasie?—pytał się wysuwającego się z po za jego fotelu notaryusza.

— Illustrissime, źle idzie.

— Jakto źle?

— Stronnictwo białopiórych do nowego uciekło się manewru. Dawniej ustawiali w ten sposób swych ludzi, że tych, co najbardziej byli pokojowo usposobieni, zamykali w środek, aby w razie zaczepki z naszej strony spokojne dusze odwodziły pieniaczy od gwałtów. Dziś zmienili front o tyle, że najgłośniejszych zawadyków usadowili tuż obok naszych.

— No i co?

Nasi wołają, że chętnie tępiliby dla dobra ogólnego swe czekany na łbach przeciwników, nie są jednakże tyle nieroztropni, aby mieli pozwolić, żeby dla dobra ogólnego rozbijano im czerepy. Ani rusz namówić ich do bijatyki.

— Tchórzeł — mruzczał przez zęby Ridegvary i pochwycił za dzwonek.

Wszystkie dotychczasowe fortele wojenne były bezskuteczne.

Najpierw w sali więcej powiewało piór białych, niż czarnych.

Powtóre białopiórch nie zdołała wygnać z sali do godziny 4-ej z południa ani ogromna spiekota, ani mruczenie głodnych żołądków, ani usypiające mowy czarnych.

Po trzecie mówcy białopiórch nie ustraszyli się akcyj fiskalnych, owszem, płacili i perorowali.

Po czwarte niepodobna było wywołać choćby małej burdy, która kończy się zazwyczaj tem, że biali salwują się przez drzwi i okna.

Pozostał jeszcze jeden środek, rozwiązanie zgromadzenia.

Ridegvary zadzwonił, a powstawszy, rozpoczął cichym głosem, że wśród takiego hałasu i podobnego rozdrażnienia nie można obradować. Zaledwie jednakże to powiedział, ustał hałas, a w sali zapanowała cisza grobowa.

— Gdzież tu hałas? — pytał z uśmiechem Tormandy.

Ridegvary przekonał się, że obok niego był jeszcze drugi w sali kapelmistrz.

— I nie omylił się. Stronnictwo białopiórch otrzymało polecenie, ażeby w razie odezwania się dzwonka przewodniczącego uciszyło się bezzwłocznie i zachowało się jak najspokojniej. Czarni sami przez się umilkną, skoro zobaczą, że stronnictwo przeciwne z całą uwagą i z zupełnym spokojem śledzi wątek mowy ich naczelnika.

Owo podstępne zawieszenie broni pomieszało zupełnie szyki administratorowi. Plan jego cały opierał się na tem, aby kto żyw, wrzeszczał w niebogłosy. Zamiast tego, wzrok wszystkich spoczął na jego ustach, co powie?

Nic mu nie pozostało, jak przeforsować plan ukartowany.

— Teraz naturalnie—odezwał się zjadliwie—panuje spokój, lecz jak tylko rozpoczną się obrady, zerwie się burza na nowo. Z mocy przysługującego mi prawa marszałkowskiego, rozwiązuję posiedzenie.

Lecz i teraz nie nastąpiło to, na co liczył.

Był pewien, że prowokujące słowa wzniecą zamieszanie, oburzenie i popchną oba obozy do walki. Ale przewodcy białopiórych przewidzieli cały aparat wojenny Ridegvaryego i gdy w sali niezamacona rozsiadła się cisza, odparł Tormandy administratorowi:

— Jeśli ochota, nie bronimy opuścić krzesła marszałkowskiego, lecz zwracamy pańską uwagę, że w takim razie wybieramy sobie marszałka i pod laską nowego przewodniczącego zakończymy rozpoczęte obrady.

— Obradujmy dalej—odezwało się sto głosów— jeśli panu źle pomiędzy nami, nie zatrzymujemy go bynajmniej. Wiceżupan obejmie przewodnictwo.

Teraz dopiero wszczął się hałas nie do opisania. Ze wszystkich stron wołano: Precz z administratorem!

Administrator zmarszczył czoło, a uderzając pięścią w stół, zawołał chrypliwym głosem:

— Toć to wyraźny bunt przeciw najwyższej powadze! Nieuszanowanie prawa!

— Bunt, powstanie!—hałasował Zebulon.

— Nie braknie nam siły do poskromienia niesfornych umysłów. W razie, gdyby statut *et ordines* opierały się rozwiązaniu, rozpędzę je z pomocą siły zbrojnej.

— Oczekujemy jej! — zagrział Tormandy, a usiadłszy na swem miejscu, mierzył wzrokiem hardym administratora.

Na to tylko czekał Ridegvary.

Drzwi po za fotelem marszałkowskim wiodły do komnat nadżupana. W pokoju przytykającym do sali obrad ukryto ściągniętych ze wszystkich okolic komitatu hajduków, pandurów, prosekutorów i komisarzy bezpieczeństwa publicznego uzbrojonych od stóp do głowy.

Zbrojna straż komitatowa oczekiwała tylko sy-

gnału, a na dziedzińcu koszar sąsiednich stał pod bronią od samego rana batalion wojska, do którego miał się odnieść administrator na wypadek, gdyby zbrojna straż komitatowa nie wystarczała do rozpe-
dzenia zuchwałych.

— Stanie się według życzenia pańskiego! — zawołał Ridegvary, a zwracając się do nadkomisarza, odezwał się: — Czyń pan swoją powinność!

Tak nadkomisarz, jak i zgromadzeni tu urzędnicy należeli do kreatur administratora. Odważni i zdecydowani na wszystko ludzie. Zaledwie też wydał rozkaz Ridegvary, nadkomisarz rozwarł drzwi po za fotelem marszałka i krzyknął do stojącej w pogotowiu siły zbrojnej:

— Za mną, pandury.

Zarazem wy dobył szablę z pochwy i rzucił się z towarzyszami na siedzących po za stołem zielonym.

W pierwszej chwili ogólnego zdziwienia sądzono powszechnie, że to tylko żart, i dopiero wtenczas przekonano się z oburzeniem, iż administrator na serio myśli o rozpędzeniu zgromadzenia z pomocą oręża, gdy ujrzano pokrwawionych patryotów i błyszczące w powietrzu szable.

Za chwilę z innej jednakże strony odezwał się okrzyk oburzenia i zgrozy. Siedzący przy zielonym stole mieli również szable, starszym patryotom przybiegła na pomoc dziarska młodzież i teraz dopiero dzikie powstało zamieszanie, szczęk broni i walka na pałasze, a wszystko to działo się pod bokiem i za zezwoleniem administratora. Walka ta trwała kilka minut i najfatalniejszy wzięła w końcu obrót tak dla administratora, jak i jego sfory. Naparci ze wszystkich stron urzędnicy i stronnicy administratorscy musieli ratować się przez okna.

A co się stało z oddziałem pandurów?

Nadaremno oglądał się bezustannie Ridegvary ku drzwiom, z po za których miała wysunąć się na

pomoc siła zbrojna. Widziano wyraźnie przez pół uchylone drzwi błyszczące bagnety pandurów, słyszano szczęk ich pałaszy, dłaczegóż przeto ociągają się?

— Czy ich kto oczarował?

Nie inaczej. W chwili najkrytyczniejszej dla naszych patriotów zaszedł wypadek, który mógłby być poczytanym za rodzaj teatralnego *deus ex machina*, gdyby nie odegrał się w oczach ludzi żyjących dziś jeszcze i mogących dać świadectwo o jego prawdziwości.

Równocześnie z okrzykiem nadkomisarza „za mną, pandury!” ukazał się w progu drzwi przeciwnoległych Oedön Baradlay. Przybywał w pełnym stroju, który był zarazem galowym strojem żałobnym, a więc w czarnym aksamitnym dolmanie, ciemnego koloru menece, kołpaku z kitą czapłą, na szyi miał łańcuch srebrny, a w ręku dzierżył szeroką szablę, której nie zdążył przypasać do boku. Zanim uzbrojeni pandurzy zdołali spełnić rozkaz nadkomisarza, zastąpił im drogę Oedön i gromkim odezwał się głosem:

— Stójcie! Biada temu, co na krok ruszy się z miejsca.

Zbrojny zastęp osłupiał..

Kilku pandurów skierowało groźne ostrze swych bagnetów ku piersi Oedöna. Cóż to za śmiałek, co poważa się zastępować im drogę?

— Szable do pochew, bagnety z karabinów!— krzyknął silnym i stanowczym głosem dzielny młodzian. Marsz na korytarz!

Kasztelan szepnął coś pandurom na ucho. Teraz dopiero otworzyły się im oczy; wszak ci to dziedziczny nadżupan, jutro lub pojutrze najdalej ich pan i władca; a ten tam opierający się w tej chwili o poręcz fotelu marszałkowskiego i dający im znaki, aby się śpieszyli własnych braci mordować, to tylko najemnik.

Usłuchali rozkazu.

— A teraz precz ztąd! — grzmiał Baradlay — i czekać na korytarzu dalszych rozkazów. Skoro na was zawołam, przybywajcie bezzwłocznie.

Wiarusy skinęli głową. Rozkaz ten widocznie był im na rękę.

Usunawszy pandurów, podążył Oedön do sali obrad, zamienionej w istotne pobojuwisko. Stał we drzwiach w chwili właśnie, gdy siepacze administratora, nie widząc innego ratunku, salwowali się przez okna.

Oedön w tej chwili wydawał się jakimś duchem mścicielem; oblicze zarumienione gniewem i oburzeniem, z oczu strzelały mu pioruny szlachetnego gniewu.

Zrobił to niechcący, czy z umysłu, dość, że zjawił się w sali z głową nakrytą i tak zdążył do fotelu marszałkowskiego.

Ridegvary rzucił się ku niemu, a podobnym był do szakala spotykającego się w indyjskich lasach dziewiczych z królewskim tygrysem.

Widowisko, jakie przedstawiło się oczom Oedöna, wstrząsnęło nim do głębi.

Stół zielony zwilżony strugami krwi, akta i protokół porzucane i krwią zbroszone; najzacniejsi patryoci okryci ranami; dokoła wściekłością i namiętnością zeszepecone oblicza; tuż koło stołu złamana i krwią oblana szabla.

— Czyż to dzieło? — odezwał się do administratora głosem piorunującym młody Baradlay.

Ridegvary osłupiał.

— Czynię pana odpowiedzialnym za skutki owego przekłętego zamachu, którego hańby zmyć z naszych dziejów nie zdołają łyżycy całych pokoleń.

— Mnie?—zawołał Ridegvary, a w jednym tem słowie odzwierciedliły się i wściekłość i duma, przestraszczenie i zdumienie.

Młody Baradlay przełożył szablę z lewej ręki do prawej.

— Tak, pana!

Mówiąc to, obalił w nadmiarze sprawiedliwego gniewu starożytne krzesło marszałkowskie.

— A teraz, mój panie... wychodź ztąd. Na krzesła tem moi zasiadali przodkowie. Pan wdarłeś się na nie w czasie słabości nadżupana. Nadżupan wyzdrowiał już.

Słowa te wywołały ogromny w całej sali zapł.

Ridegvary czytał z twarzy własnych zwolenników, kreatur własnych i zapłaconych najemników, że panowanie jego dobiegło mety. Dłuższy pobyt w sali był dlań niemożliwy.

Błady i drżący od wstydu i wściekłości objął całe zgromadzenie wzrokiem potępienia, a zwrócony do Oedöna zasyczał głosem, w którym przebijała się okrutna żądza zemsty.

— Tylko dalej... Stałeś już, młody panku, na pierwszym szczeblu do owej wysokości!

Oedön, który dowiedział się z ust matki, co administrator rozumiał pod tą wysokością, zmierzył go wzrokiem pogardy.

Ridegvary opuścił salę, a krzesło marszałkowskie zajął, wśród radosnych okrzyków zgromadzonych stanów, nowy dziedziczny nadżupan. Usiadłszy, zdjął z głowy kołpak.

Zamach ten ogromnej był doniesłości tak dla samego Oedöna, jak i komitatu, a nawet dla kraju całego i stanowi też ważną epokę w dziejach węgierskich.

Dalsze losy kongregacyi należą do historii.

Sława jednakże dnia tego opromieniła czoło Oedöna Baradlay.

ROZDZIAŁ XIII.

Wiosenne dni.

Było to 13-go marca, w dniu wiedeńskich ludowych rozruchów.

Nie odkładaj tych kart, nerwowy czytelniku; nie poprowadzę cię w ciemne uliczki, nie będę ci pokazywał wyrywanego bruku, ani improwizowanych barykad; nie będę cię ciągnął za sobą od ulicy do ulicy, abyś towarzyszył pochodowi pierwszego ranego, którego koledzy niosą na ramionach, ukazując go ludowi krwią zbroczonego i walczącego ze śmiercią; możemy przypatrzeć się temu wszystkiemu i z cichego bezpiecznego miejsca, gdzie nas żadne zło nie dosięgnie.

Salon Plankenhorstów i dziś napelniony był zwykłymi znajomymi, tylko, że zamiast gry na fortepianie, zamiast obmów, jedyną rozrywkę stanowił dobiegający z ulicy gwar ludu lub huk wystrzałów, padających w dalszych częściach miasta.

Wszystkie te twarze znakomitych gości, takie dziś blade, pomieszane spojrzeniami zdają się wzajem pytać: co się tam dzieje na ulicy?

Co się tam dzieje?

To lud owionęło wolności powietrze. To się tam dzieje, że drzemiący olbrzym odmyka powieki i jednym jedynym spojrzeniem strąca z powierzchni ziemi całą dotychczasową światła historję razem z jej wielkimi ludźmi, co było dotąd chwilowym snem tylko!

Dumni panowie, którzy na ten raz zostawili swe ordery, i dumne panie, które bez tynku ukazały się dziś, siedzą oniemiała lub niespokojnym krokiem przebiegają salon tam i napowrót, od czasu do czasu posyłając ku oknom ukradkowe spojrzenie, lub trwożnie nadsłuchując każdego odgłosu, dochodzącego

z uliczek; co chwila szeptem rzucają sobie pytanie: jak się też skonczy dzień dzisiejszy?

Dzień ten chyli się już ku wieczorowi; w pokojach zmrok się już poczyną, ale nikomu nie przychodzi na myśl zapalać lampy; wrzawa uliczna, huk plutonowego ognia wstrząsają oknami. Każda świeżo wchodząca osoba przynosi nową wieść hiobową.

Wreszcie wchodzi do salonu sekretarz dyrektoryum policyi; sama jego zewnętrznosc mogłaby już być świadectwem, że nieosobliwie tam w mieście dzieć się musi. Na nim prosta bluza robotnika zamiast zwykłego książęcego munduru; twarz blada jak kreda.

Skoro go tylko poznano w tem przebraniu, rzuca się ku niemu całe towarzystwo.

— I cóż, czy ich rozpędzono?

— Nie można z nimi przyjść do ładu — odpowiedział drżącym głosem zapytany—tylko co powracam z pałacu naddyrekcyi policyi. Lud już się tam wdarł; z frontonu budynku zrzucano posąg sprawiedliwości; wszystkie kraty u okien powyrywano; w biurze cenzury wszystko zburzone. Ja sam zawdzięczam jedynie mojej bluzie, że mi się udało ujść cało.

— Czy nie rabują?—wyszlochał ze swego kąta brzuchaty radca zdrowia, którego pozostawiona w domu kasa niemale nabawiała obawy.

— Ależ na miłość Boską, czyby nie można więcej wojska wysłać przeciw ludowi?—szepce jego mość, obdarzony głosem stentora.

— Wojska było dość — zapewnia go sekretarz policyi—ale cesarz sobie nie życzy dalszego rozlewu krwi. I tak już oburza go krew wylana.

— Mój Boże! ale cóż w takim razie stanie się z nami!

— Dlatego też właśnie tu przybiegłem, aby państwo zawiadomić o tem, co się dzieje. O ile mnie się zdaje, wściekłość ludu wybrała sobie niektó-

te domy za cel i nie chciałbym w żadnym z nich, za wszystkie miliony Rotszyldów, spędzić dzisiejszej nocy.

— Czy pan sądzisz, że i mój dom do nich należy?—zagađnęła pani Plankenhorst.

Spytany odpowiedział podejrzanem poruszeniem ramion.

— W każdym razie muszę ztąd odejść, aby jeszcze załatwić osobiste moje sprawy.

Po tych słowach pożegnał towarzystwo.

Dla pozostałych była to smutna pociecha.

Znów nowa pojawia się postać; ta już nie wchodzi, lecz wpada. Zaledwie poznać ją można; to dyplomatyczno-elegancki referent kanclerza państwa, który dziś zupełnie utracił zwykły swój kontenans. Kapelusze jego jest prawie tak spłaszczony, jak omlet; u paletota brak jednej poły; na plecach znać wyraźnie odbicie zabrudzonej dłoni, a na nosie krwawą pamiątkę jakiegoś niedelikatnego zetknięcia. Wpadł zadyszany.

Gospodyni pośpieszyła do niego z pełnem współczucia zapytaniem: co mu się stało?

Taillerandowski dyplomata i teraz nie utracił swego humoru.

— O! nic takiego, chciano mnie tylko zabić... Ktoś mnie poznał i zawołał za mną: „i ten jest szpiegiem!“ a w tejże samej chwili mój cylinder przybrał kształt taki. Na szczęście kilku studentów obroniło mnie i ułatwiło ucieczkę przez jakiś dom przechodni.

— Proszę, powiedz mi pan, czy dotąd nie rabują? — dowiadywał się radca zdrowia ze swego kącika.

— Dyabła tam; przeciwnie, lud jest raczej w straszliwie rozrzutnem usposobieniu. Mógłbyś się pan iść o tem osobiście przekonać. Łaskawa pani, nie mógłbym prosić o kawałek angielskiego plasterka do

zalepienia tej szramy? Będzie mi w nim bardzo do twarzy; przynajmniej nie tak łatwo mnie poznają.

— Co? przecież nie zechcesz pan natychmiast wychodzić?— pytała pani Antonina niespokojnie, prowadząc małego dyplomatę do swego buduaru, aby mu uszkodzony profil nalepić angielskim plastrem.

— Spieszno mi — szepnęła jej poufnie wielki człowiek w miniaturowem wydaniu.

Na ulicach zwiększała się wrzawa, a ciemność w salonach. Członek intendenty błagał gospodynię domu, aby nie kazała zapalać świateł, żeby sądzono, że dom jest pusty. Zgromadziła się tu cała koterya; była to schadzka zwyciężonych

— Co czynić? co czynić? — zapytywano na wszystkie strony. — Czy lepiej uciekać, czy pozostać?

Tchórze radzili ucieczkę, a więksi jeszcze tchórze lękali się uciekać nawet. Burza huczała na ulicy; lud podobnym był do rozszalałej fali.

Drzwi znów roztworzono.

Pomimo ciemności, wszyscy poznali pana Ridegvary.

Zjawienie się jego uspokoiło drżących; ten silny, chłodny człowiek wywierał wrażenie na ludziach małego serca.

— Jakie wiadomości, drogi przyjacielu?—zapytała żywo pani domu.

— O, nie brak ich—odparł sucho.—Najpierwsza jednak i najpewniejsza, to dymisyja Metternicha.

— Cicho!

— Za godzinę wszyscy o tem wiedzieć będą, wracam ztamtąd. Dymisyję jego przyjęto i w obecnej chwili wielki ten człowiek zapytuje siebie, pod jakim przebraniem i w którą stronę najlepiej będzie uciekać.

— Czy pospólstwo rabuje domy? — zapytuje uparcie radca.

— Nie, ale się zbroi; arsenały roztwierają przed nim.

— Czy nie można ich obronić?

— Przeciwnie, otwierają je z rozkazu cesarza.

— Nie może być!

— Mam właśnie w kieszeni proklamacyę, wzywającą studentów i mieszczan do uzbrojenia się w arsenalach, dla utrzymania porządku. Zapewne jest już teraz około dziesięciu tysięcy studentów i robotników opatrzonych w broń. Tej nocy na ulicach będą walki i barykady.

Ridegvary mówił to wszystko ze straszonym spokojem.

— No, ja tam nie myślę czekać burzy — rzekł jegomość z intendenty. — Spróbuję szczęścia! Uciekaj, kto może!

Idąc za jego przykładem, każdy spieszył pożegnać panią Plankenhorst.

Bencze Ridegvary pozostał ostatni.

— A ty, drogi przyjacielu, dokąd się udasz? — zapytała pani Antonina, gdy i ten zabierał się do odejścia.

— Nigdzie, pozostanę w Wiedniu — odparł.

Może najpierwszy właśnie opuścił miasto, lecz zapewne nie chciał powiedzieć, dokąd się schroni.

Przez ten czas gruby radca wszedł do mieszkania odźwiernego pałacu Plankenhorstów. Nie śmiał uciekać, jak inni. Zresztą przy swej objętości jakżeby uciekał?

— Kochany przyjacielu — rzekł do odźwiernego, podając mu banknot — czy nie masz jakiej piwnicy lub suteryny, aby mi ją wynająć? Ukryj mnie, proszę cię. A jeżeli ci ludożercy przyjdą rewidować, powiedz im, że tam mieszka biedny krawiec z żoną chorą na ospę. Może się wtedy oddalą. Uczyni to dla mnie, panie rządco.

Odźwierny odrzekł z uśmiechem:

— Wiem ja daleko pewniejszy sposób wyprowadzenia pana ztąd i przewiezienia, gdzie pan tylko zechce.

— Jaki sposób? Dorożek przecież nie ma.

— Nie, ale są przecież inne wózki: furgony dla umarłych.

— Jakto?

— A tak, rząd wydał polecenie, aby na każdej ulicy stały gotowe furgony do przewożenia umarłych. Jest to wielce uprzejma przezorność. Otóż skoro dotąd na naszej ulicy nie zabito jeszcze nikogo...

— Chciałbyś więc, abym wszedł do tego straszego wozu?

— Naturalnie nikomu na myśl nie przyjdzie szukać tam pana. Za kilka dukatów woźnica dowiezie pana aż do cmentarza za miasto, a znalazłszy się tam, udasz się pan gdzie zechcesz.

Radca uczył cierpiącą na sobie skórę; ale nie było czasu na wahanie się. Odgłos strzałów coraz się zbliżał. Zebrawszy więc całą odwagę, dał się zamknąć w furgonie dla nieboszczyków.

Odźwierny przez kilka minut śmiał się, jak szalony.

W salonie słychać było także coraz gęstsze strzelanie. Alfonsyna przestraszona zbliżyła się do matki, lecz nie rzuciła się w jej objęcia. Tych kobiet nie łączył nigdy uścisk wspólny.

— Wszyscy nas opuścili, matko!

— Nikczemne niedołęgi! — odparła baronowa z pogardą.

— A my gdzie się schronimy?

— Nigdzie; pozostaniemy tu.

— Pośród takiego niebezpieczeństwa?

— Zapanujemy nad położeniem.

Alfonsyna sądziła, że matka jej straciła zmysły. Ale baronowa kazała służbie natychmiast pozapalać wszystkie lampy, świece, świeczniki i ustawić takowe w otwartych oknach. Zerwawszy potem z nad swego łóżka białą jedwabną kotarę, z przytrzymującym ją złożonym drążkiem, wywiesiła z balkonu, ni by sztandar. Następnie zrobiła dwie wielkie białe

kokardy i w chwili, gdy lud przesuwiał się pod jej oknami, stanęła na balkonie, wołając:

— Niech żyje wolność!

Odpowiedziano na ten okrzyk z zapalem. Powiewano chustkami, rzucono kapelusze w powietrze. Okna przeciwnego domu wybito kamieniami za to, że nie były oświetlone i wołano przeciągle:

— Niech żyją Plankenhorsty!

Jenö Baradlay przez cały ten dzień pozostał w mieszkaniu.

Był on człowiekiem słabych nerwów.

Już od dzieciństwa dziwnie był bojaźliwym, a wychowanie i wieczna zależność od innych uczyły go jeszcze mniej samoistnym. Przyzwyczał się własną wolę naginać zawsze do woli innych, najprzód rodziców, następnie przełożonych, wreszcie do kaprysów ukochanej.

Teraz, gdy burza zwiła nagle wszystkie te podpory, na których się opierał, gdy pomnikowe wielkości, których biusty były dotąd jego ukochanymi *larcs et penales*, rozniosła jak plewy, zdawało mu się, że i jego zdruzgotała do szczętu.

Przez dzień cały był rozgorączkowanym; zamknął się w swoim pokoju i przechodził go wzdłuż i wszerz niespokojnie. Nawet drut dzwonka przeciął, aby mu jakie odwiedziny nie przerwały samotności.

Strzały, wrzawa uliczna utrzymywały jego nerwy w bezustannem rozdrażnieniu; doznawał zawrotu głowy, do żadnej myśli nie był zdolnym; nie umiał sobie zdać jasnej sprawy z tego, co zaszło.

Brakło mu wiary w wolność, w wielkie hasła nowych czasów. Zdało mu się niemożliwym, aby kiedykolwiek mogły zwyciężyć.

Pomiędzy tymi, którzy stanowili jego otoczenie,

nie było ani jednego, coby go poznał z temi idea-
mi. Z ludem nie liczył się wcale.

Gwar uliczny mówił mu, że tam lud dokony-
wa czegoś. Ale czego? — tego nie wiedział. Może
wpadł we wściekłość, może mści się, może i zwycię-
ża nawet? Jak daleko jednak zajdzie w swem zwy-
cięztwie, o tem nie miał najmniejszego pojęcia.

Jeden tylko przedmiot zajmuje całą myśl jego
podczas tego zgiełku—Alfonsyna.

Co się z nią stało? Czy zdołała się schronić
dość wczesnie? Może znalazła obrońców? A jeśli
też nie?

Ci, co ją otaczali, byli przecież potężni —
ale cóż się stanie, jeśli sami już się obronić nie
zdołają?

Niejednokrotnie przychodziła mu myśl wyjść na
ulicę i pośpieszyć do domu Plankenhorstów. Ale za
każdym razem powstrzymywała go trwoga. Ulice
osypuje teraz grad kartaczy, z powyrywanych ka-
mieniami wznoszą się barykady, jakżeby się mógł od-
ważyć wyjść tam teraz—on, ze swemi tak delikatne-
mi nerwami, z drżącym od przerażenia ciałem, z wra-
żliwym aż do chorobliwości sercem? Bo i cóżby
mógł im pomóc? On, który nigdy nie miał nic
wspólnego z bronią. Jego nigdy, jak starszych bra-
ci, nie wysyłano na polowanie. On uczył się tylko
rysunków, muzyki, malarstwa, kaligrafii; nigdy w ży-
ciu nie miał nawet w ręku szabli.

Kogoż zdołałby obronić?

Im bardziej dzień dobiegał do końca, im gło-
śniejszy zgiełk ludu dochodził z ulic, tem większa by-
ła obawa Eugeniusza o Alfonsynę.

Wieczorem o dziewiątej nie mógł już dłużej
przenieść tych mąk. Postanowił wyjść odszukać Al-
fonsynę w jej mieszkaniu. Nie może jej obronić, to
prawda, ale może przecież los jej podzielić przynaj-
mniej.

Bez wszelkiej broni wyszedł na ulicę; sam

nie wiedział, co z nim będzie, skoro raz stanie na dole...

Gdy wyszedł, potok płynących tłumów porwał go i uniósł z sobą; ale w odmiennym kierunku, niż zamierzał.

Nie wściekła, krwi spragniona tłuszcza otoczyła go, ale pijane radością tłumy ludu.

Starzy i młodzi, panowie i wyrobnicy, przekupki i strojne panie, studenci i żołnierze, zbici w kłęb jeden, rzucają się sobie na szyję, całują i płaczą, radują i wołają zachrypłym głosem to jedno słowo: „Wolność!“ Zwycięztwo, zwycięztwo! brzmi ze wszech stron, pamflety przebiegają z rąk do rąk, raz po raz wznoszą mówcę ramion tysiące w górę, aby odczytał ludowi najświeższe postanowienie cesarza; potem duszą mówcę pocałunkami i dalej płynie żywa fala, dopóki nowa nie nadejdzie wiadomość, nowa przemowa, nowe wybuchy radości. Lud ściska żołnierza, którego broń przed godziną zadała mu ranę, całuje zamilkłą armatę, woła „wiwat“ tym, których nienawidził, skoro na ich kapeluszu spostrzega białą kokardę i wielkimi głoskami wypisuje na murach: „świętą jest własność!“

Jenö czuł, jak jego samego ogarnia ten dziwny zawrót, podczas gdy go porywał wir fali. W ludzkim języku nie ma nazwy na to uczucie, które w takich chwilach ogarnia masy. Jakiś prąd elektryczny przejmuje dreszczem każdego, kto się raz wplątał w ten łańcuch czarodziejski, a upojenie zwycięztwa udziela się tym nawet, co tego wszystkiego nie pojmują. Jenö słyszał, jak wśród łez i śmiechu radości obwoływano upadek wielkich ludzi, których czoła dotychczasowa świata historia wieńczyła laurem; i jego samego pochwycił ów dziwny magnetyzm, na który nie znalazł nazwy, gdy widział, jak owe dawne wielkości, olbrzym lud jednym palca poruszeniem ścierał jak kredkowy rysunek z tablicy dziejów.

Przed nim i za nim opowiadają wciąż sobie o bohaterskich czynach dnia dzisiejszego; jak lud zburzył domy nienawistnych sobie, jak podarł przekłete protokoły. Ale nic jeszcze o Plankenhorstach nie dobiegło jego ucha.

Potok niósł go z sobą coraz dalej. Rozpoczęto już rześiste oświetlenie okien i wybijanie nieoświetlonych.

Minęło kilka godzin, zanim udało mu się utrować sobie drogę do ulicy, przy której był pałac Plankenhorstów.

Serce biło mu obawą, czy go nie znajdzie w ruinach, jak tyle znaczniejszych budowli.

Jakże wielkiem jednak było jego zdumienie, gdy, wychyliwszy się z rogu krzyżujących się ulic, ujrzał przed sobą pałac Plankenhorstów w istnem morzu światła; po obydwóch stronach balkonu powiewały dwie olbrzymie białe jedwabne chorągwie a wpośród nich młody jakiś akademik z balkonu porywającą miał do ludu przemowę.

Teraz już stracił prawdziwie głowę.

Serce tylko wiodło go dalej.

Nie szedł, lecz niesiono go. Lud wniósł go na schody pałacu Plankenhorstów, z kąd wychodzili ludzie z promieniejącymi zwycięstwem twarzami, z białymi kokardami u kapeluszy i okrzykiem na cześć szlachetnych bohaterek na ustach.

Wniesiono go do dobrze mu znajomego salonu.

Cóż w nim ujrzał?

Przy stoliku stały dwie panie; po ich rozpromienionych twarzach z trudnością poznał panią Antoninę i Alfolsynę.

Czemże były zajęte obie te panie?

Pani Antonina szyła kokardy z białej wstążki a Alfonsyna przypinała je bohaterom ludu na piersi, do kapelusza, lub obie szarfy wiązała im u ramion, co ich przejmowało takim zachwytem, że ręce Alfon-

syny, szarfy, a nawet nożyczki, co je cięły, okrywali pocałunkami. Twarze obu kobiet jaśniały szczęściem.

Jenö mechanicznie dał się popychać dalej.

Skoro go Alfonsyna przed sobą ujrzała, podbiegła ku niemu i z radosnym okrzykiem objęła szyję jego rękami, upadła mu na piersi, ucałowała i wśród łkania zawołała:

— O, mój najdroższy, cóż to za dzień radosny.

Potem ucałowała go znów wobec wszystkich, wobec matki. A matka uśmiechała się na to przyjaźnie, a lud wołał: „niech żyją!“ Każdemu zdawało się to naturalnem.

Okrzyk przejął wszystkie nerwy Eugeniusza zimnym dreszczem: ale pocałunek go uszczęśliwił. najcodzienniejsze zdarzenia, jakby wszystko tak być musiało i nie mogło być inaczej.

Jenö Baradlay uważał to za rzecz zupełnie naturalną, że następnych dni wczesnym ranem i późnym wieczorem o każdej dnia godzinie nie zaproszony, nie meldowany wchodził do Plankenhorstów, że tam zastawał tłum studentów, demokratów, trybunów ludowych w zabłoconych butach i przemokłych od deszczu kapeluszach z długimi, brzęczącymi szablami u pasa i jeszcze dłuższymi piórami u kapeluszy—że i on był do nich podobnym.

I to uważał za zupełnie naturalne, że Alfonsyna o każdej porze pokazywała się w rannym stroju z rozpuszczonymi włosami i że za każdym razem witała go gorącym uściskiem, że przy znanych i nieznanym ludziach rzucała mu się na szyję. W takich czasach wszystko jest przecież dozwolone.

Toż ziemia zbliża się do słońca.

Był to 15-ty marca, dzień ogłoszenia konstytucyi, dzień wolności prasy.

Sto nowych pism wypłynęło zkadś nagle; dzienniki z dumnymi tytułami i śmiałymi dewizami, któ-

rych nazwy obwołują po ulicach roznosiciele. Ty-sięce pamfletów przechodzi z ręki do ręki lub rozle-pione po rogach ulic zwabiają grupy czytających.

Z wieży kościoła św. Szczepana powiewa wy-soko w przestworzu olbrzymia trójkolorowa chorąg-wiew Niemiec; złoto-czerwono-czarna flaga. Gdy lu-dzie pytają zdziwieni, co to znaczy, oznajmniają im, że też sama chorągiew powiewa u cesarskiej bramy.

Jeden huczny ludowy obchód następuje po dru-gim. Każda godzina nowe przynosi widowisko. Zręna przeciągają jeźdźcy z głośną muzyką i ogła-szają konstytucyę, a radosne okrzyki ludu zagłuszają i zwiastowane słowo i odgłos trąb.

Teraz znów uroczysty pochód. Cesarz i cesa-rzowa ukazują się wpośród ludu; nie otacza ich ani przyboczna gwardya, ani wojsko, lecz bezgraniczna miłość poddanych. Powóz cesarski nie jedzie, lecz płynie po morzu ludzkim, zda się, że nie ciągną go rumaki, lecz unoszą ludu ramiona.

Po południu, po tej rozgłośnej radości następuje pogrzebowy obchód. Grzebią ofiary onegdajszej wal-ki; teraz uwieńczone trumny płyną wśród morza tłu-mów, zamiast radosnych okrzyków przerywają tony pogrzebowego marsza i płacz głęboki ciszę, pośród której postępuje orszak bez końca.

I znów nowe widowisko.

Zgiełk tryumfu większy niż wszystkie poprze-dnie, głośniejszy niż okrzyki walki, niż hosanna zwy-cięstwa. Obaj zjednoczeni! Deputacya sejmu węg-ierskiego przybyła z Preszburga.

Co za radość, jakież zachwyty! Obustronne powi-tania, zamiana pocałunków braterstwa! Wszystkie ulice zapełnione mężczyznami tak, że się przez nie przecisnąć nie sposób, z wszystkich okien promienie-jące radością wychylają się kobiety twarze.

Gwardya narodowa, członkowie auli tworzą zbrojny szpaler. Deszcz kwiatów, powódź wieńców o trójkolorowych szarfach osypuje przybyłych. Dwa

serca kochające odnalazły się wzajem, dwa serca ludów znalazły—swą młodość.

Czyśmy prześnili to wszystko? Doprawdy, myśmy śnić to chyba musieli.

Jenö i Alfonsyna musieli być wszędzie, we wszystkim brać udział.

Przez cały ten czas znajdował się Jenö w gorączkowym rozstroju.

Była to obawa nieszczęścia. A szczęśliwe były te dni, co w ramiona jego sprowadziły ukochaną, tak długo zdala tylko uwielbianą; dni, w których jawnie, bez namysłu powierzała mu się duszą i ciałem; gdy przytulona do jego ramienia z kobiecym iście wylaniem, szła z nim wszędzie bezwarunkowo i ufnie... Jakże też nie miał być szczęśliwym wśród powszechnego szczęścia!

A gdy w późnych godzinach światło iście dzienne rozlało się po szczęśliwym nad wszelki wyraz mieście, gdy tysiące pochodni zajaśniało na ulicach i frontony wszystkich domów i pałaców ognistemi się zarysowały konturami—strojne w sznury lamp i transparenty; gdy potem z tej powodzi światła zabrzmiały tony zmartwychwstania w potężnym Rakoczego marszu, a po tych uświęconych dźwiękach na najrzęściej oświetlonym balkonie ukazali się najślawniejsi przywódcy i mówcy węgierskiego sejmu i odezwali się do ludu — wtedy dopiero myślano — że to sen chyba.

Jenö i temu się przypatrywał z ulicy w tłumie rozgorączkowanym przeszło dziesięciu tysięcy głów; ręka Alfonsyny spoczywa w jego dłoni i lekkim, tajemnym uściskiem zdradza wiele niedopowiedzianych wyznań. Niedziw więc, że krew w nim wrzała.

A cóż dopiero, gdy wśród owych promiennych postaci, które kolejno zmieniały się na oświetlonym balkonie, aby z niego przemawiać do ludu, ujrzał nagle swego brata, Oedöna:

I on tam. I on jest jednym z uwielbianych

sejmowych mówców, i on zabiera głos, aby uczcić uroczysty dzień wolności ludu.

Mowa jego porywająca... Każdy, co go słucha, czuje, że mu krew silniej w żyłach tętni; Alfonsyna powiewa ku niemu chustką.

Tylko Eugeniusza przebiega dreszcz zimny, grobowy; każdy nerw w nim zadrgał, gdy tam ujrzał swego brata.

Cóż go przejmuje tym dreszczem? Jakaż przepowiednia, jakie przeczucie budzi w jego piersi tak przeraźliwy dysonans? Jakiż głos szepce mu w ucho, że ktoś będzie musiał radość dnia tego opłacić?

Miałaby przeczuwać, że ów balkon jest drugim stopniem do owej przepowiedzianej „wysokości?”

.

Zmęczona bieganiem para zakochanych powracała tego dnia, tak obfitego we wrażenia, znużona do domu. W przedsionku wynagrodzonym został Jenő ukradkowym całusem, ale i ten nie zdołał go rozgrzać; całą noc przeleżał w febrze, nie mogąc zasnąć.

Alfonsyna zaś, skoro sama pozostała z matką, rzuciła w kącie z gorzką niechęcią kapelusz, w trójkolorową wstęgę przybrany, i upadła zmęczona na sofę...

— O, jakże mi ten świat cały obrzydł!

ROZDZIAŁ XIV.

Odwrotna strona medalu.

Zamknawszy oczy, Jenő przez noc całą widział jeszcze ciągle ów czarodziejski obraz, obraz ogniste-

mi rysami nakreślony na czarnem tle nocy. A choć ucichł gwar uliczny, zdawało mu się wciąż jeszcze, że słyzy szum ludzkich fal w tryumfu okrzykach, a gdy zasnął na kilka minut, budził się znów natchmias, bo we śnie słyzy wyraźnie brata swego Oedöna, przemawiającego jakimis niezrozumiałemi, a przecież przerażającemi wyrazy.

Drżał przed nim, lub może o niego? Obawiał się z nim spotkać.

Bał się, że ten straszliwy człowiek mógłby go przekonać, mógłby go porwać za sobą.

Wstawszy rano, opuścił mieszkanie, zapowiadając służącemu, że późnym wieczorem dopiero powróci do domu.

Zamiarem jego było udać się do Plankenhorstów, tam przecież nie spotka się z Oedönem.

Salony Plankenhorstów już od ósmej rano stały otworem. Młodzież nadająca ton wchodziła i wychodziła z nich. Jak teraz, młodzież uniwersytecka nadawała ton. Młodociane postacie w niebieskich mundurach i trójkolorowych szarfach, w kalabryjskich kapeluszach, zapełniały salony. Co kto miał na sercu, miał też na ustach. Komuż wreszcie przyszłoby na myśl wystrzegać się pań Plankenhorst, strzedz się dwóch kobiet? Gdyby należały do nieprzyjacielskiego obozu, byłyby się już dawno ratowały ucieczką, jak to uczynili mężczyźni.

Jenö ukrył się tym razem przed bratem w tem ognisku rewolucyjnej młodzieży. Ale na to obrał sobie nieszczęgólne miejsce.

Mieszkanie Plankenhorstów, jak spostrzegł, i w nocy nawet nie było próżne. Nieustający komitet miewał tu posiedzenia. Pani Antonina sama brała w nich udział.

— Przychodzisz w sam czas! — powitał go przewodniczący komitetu Fryc Goldner — tylko co mówiliśmy o tobie.

— Czemże mogę służyć? — spytał go Jenö.

— Wiedz, kolego, że wolności wielkie grozi niebezpieczeństwo!

O tem Jenö wiedział już od samego początku.

— Musimy stanąć na wyłomie — ciągnął dalej mówca młodzieży — reakcyja tym sposobem chce zachwiać zwycięstwem świętej sprawy, że lud podusza do najstraszliwszych wybryków. Ku temu używają naturalnie szumowin pospólstwa, które najobrzydliwszą rozpustą splugawiają świetne dni wolności. Fałszywi wolności przyjaciele, zamaskowani zwolennicy reakcyi, podbechtali najniższe warstwy ludu przeciw właścicielom fabryk i wszelkim znaczniejszym posiadaczom. Ubiegiej nocy tłumy te zburzyły całą dzielnicę Mariahilf, straszliwą rozpoczęły gospodarke, podpaliły gmach celny, a urzędników poborowych rzuciły w płomienie, ztamtąd zwróciły się ku Sechshaus, Fünfhaus, Brauhirschgrund, gdzie w fabrykach i mieszkaniach mieszczan dopuszczwały się rabunku; teraz zaś wyruszyły na fabryki i klasztory, znajdujące się w śródmieściu; tak to hańbią i zszczęszczają zwyciężkie dni wolności. Teraz też dopiero zaczyna się najcięższa nasza praca. Naszym, wolnomyślniej młodzieży, obowiązkiem jest rzucić się w obłąkane tłumy i siłą ducha zmusić, aby te rozruchy w prawe powróciły łożysko. Nie wolno nam tracić chwili, musimy się spieszyć, by z rąk ich splamioną wyrwać chorągiew. Witaj nam jako uczestnik trudnej tej walki! Chodź z nami. Stańmy tamą przeciw siłom tego potoku i powstrzymajmy go własnymi piersiami!

Tego też brakło tylko Eugeniuszowi.

Własną pierś powstrzymać obdartych proletaryuszów tłumy i wystawić się na ogień krzyżowy pijanego pospólstwa i rozwścieczonego żołnierstwa, ogień, z którego nie wyszedłby żywym.

Nie, do czegoś podobnego najmniejszej nie miał ochoty.

Zapewniał swego przyjaciela, Fryca, że z całego

serca przyklaskuje tej myśli, prosił go jednakże, aby się tam udał naprzód, sam zaś wpadnie jeszcze tylko do swego mieszkania, aby ztamtąd zabrać szablę i pistolety, i dogoni ich dorożką.

Wobec Alfonsyny nie miał odwagi okazać, jak go mało cała ta sprawa obchodzi.

Wyszedszy na ulicę, zatrzymał pierwszą napotkaną dorożkę i najął ją na dzień cały, woźnicy zaś zapowiedział, że może z nim jeździć, gdzie mu się podoba, byle się tylko nigdzie nie zatrzymał, wyjąwszy w porze obiadowej przed jaką oddaloną oberżą; późno zaś wieczorem miał go odwieźć do domu.

Wziąć udział w walce, która we wszystkich swych fazach była mu tak zupełnie obcą, nie było bynajmniej jego zamiarem.

Powrócić do swego mieszkania nie śmiał z obawy, aby go tam nie znalazł brat jego, Oedön, ani też do Plankenhorstów, gdzie mógłby znów jaki zaciekły bohater wolności ciągnąć go z sobą, aby poskramiał boscę pospólstwo.

Zaciekli bohaterowie wolności nie czekali naturalnie jego powrotu, ale gromadnie udali się w zagrożone miejscowości i dążyli jak najspieszniej przeciw zesłemu na bezdroża gminowi, który rabując, pustosząc i wznosząc pochodnię pożaru, wkraczał już w przedmieście, podczas gdy w mieście najwznioślejsze idee tryumf swój święciły.

Z wielkiej fabryki spirytusu na Granichstadzie zostały już tylko dymiące zgliszcza i okopcone mury; zdruzgotano maszyny, beczki z wódką wytoczono na ulicę, wybito im dna i zapalono płynącą wódkę, która w szalonym ognistym wirze przebiegała ulicę. Ten potok ognia był szczęściem dla klasztoru Brygitek, znajdującego się na przeciwnym końcu ulicy; dopóki bowiem pałacy spirytus tamował do niego drogę, wolnym był od napadu tłuszczy.

Tłuszcza wszakże widocznie myśli to sobie umożliwić, bo sypie z wyraźnem obliczeniem planu pia-

sek i popiół, zwozi błoto i glinę, aby tym sposobem uczynić dostępną drogę przez piekło płomieni. Wejście do klasztoru jednak już od samego rana było strzeżone przez szwadron huzarów. Dowódcą tej konnej gromadki był rotmistrz Ryszard Baradlay.

Rok już prawie temu jak miejskie swe mieszkanie zamienił na koszary, leżące po za obrębem miasta.

Zrobił to w celu zupełnego poświęcenia się obowiązkom swego zawodu. Nie wałęsał się już po mieście, nie bywał na żadnych balach, nie zalecał się do pięknych pań, ale mieszkał pośród swych żołnierzy, przebywał w ich towarzystwie, dzielił z nimi koszarowe życie i był jednym z najpilniejszych oficerów.

Miasto nie wabiło go już. Zarzucił dawne swe znajomości, czasem tylko odwiedzał brata, a i to dlatego jedynie, aby się od niego dowiedzieć czegoś o Edycie; ale nic więcej nie mógł usłyszeć nad to, że dotąd jeszcze znajduje się w pensyonacie, do którego oddała ją pani Plankenhorst nazajutrz po oświadczeniu się Ryszarda o jej rękę.

Wprawdzie byłby chciał wiedzieć, w jakim zakładzie przebywa jego ukochana, ale Jenö zawsze zapominał o to spytać, a Ryszard miał słuszne powody niewtajemniczenia zbytecznie brata w swój stosunek.

Więści o zajściach dni ostatnich czerpał Ryszard tylko z nowych dzienników. Ale owego wystawianego w pismach medalu widział tylko odwrotną stronę; tam była mowa o braterskich pocałunkach i wieńcach z narodowemi wstęgami; on i jego żołnierze stykali się wyłącznie z pijanemi przekupkami lub gradem zgniłych kartofli, którymi ich motłoch obrzucał.

W ciągu tych trzech dni Ryszard otrzymał był ztąd i owąd aż sześciorakie rozkazy.

Pierwszy z nich brzmiał: wszędzie, gdzie się tylko lud gromadzi, tratować i rozganiać.

Drugi oznajmiał, że ten, który wydał rozkaz poprzedni, podał się w tym czasie do dymisji; należy lud oszczędzać, unikać wszelkiego starcia.

Trzeci, w pośpiechu przerażenia wydany, naglący rozkaz nakazywał mu natychmiast siadać na koń z całym swym szwadronem i połączyć się z resztą wojska na stoku wałów Józelsztadzkich; konie już były osiodlane, gdy nadszedł czwarty rozkaz, w którym komenderujący pułkiem poleca mu nie opuszczać koszar, ale oszańcować się i bronić do upadłego.

Piąty rozkaz, podpisany zupełnie nieznanem mu imieniem, udzielał mu zupełnego pełnomocnictwa do postępowania wedle własnego rozumnego uznania, a równocześnie czynił go odpowiedzialnym za utrzymanie porządku na ulicach i placach, leżących w promieniu mu powierzonym.

Szósty rozkaz dzienny przyniósł mu zawiadomienie, że ci, którzy poprzednio pięć rozkazów wydali, wycofali się już i bynajmniej nie troszczą się o to, co dalej zajdzie.

Rotmistrz Ryszard mógł więc wybierać wedle upodobania pomiędzy wszystkimi sześciu rozkazami.

Całą noc razem ze swymi żołnierzami siedział na koniu, przejeżdżał tam i napowrót przez ulice i płazując, rozganiał gromadzące się pospólstwo; ale był to trud daremny, bo współcześnie w innym zakątku miasta inne znów tłumy ludu szalały i rabowały dowolnie, i nim Ryszard o świcie tam dotarł, wiedziony blaskiem powstałego pożaru, już wyuzdany motłoch złupił podpalone domy i rozbiegł się bez śladu.

A choć czasami ten lub ów ze złoczyńców wpadł w ręce jego żołnierzy, cóż miał z nim począć? Nie było władzy, której mógłby go oddać, a uwięzić i strzedz nie miał ochoty.

Przed południem zetknął się Ryszard przy kła-

sztorze Brygidek z główną gromadą rabujących tłumów. Ognisty potok palącej się wódki był mu przewodnikiem z innej miasta części, w której, jak sądził, przywrócił wreszcie spokójność.

Żołnierzom ta zabawka na dobre się już uprzykrzyła.

Całą noc przejeżdżać ulicę za ulicą, słyszeć gwizdania, drwiny i szyderstwa tłumów, pędzić przed sobą gromady obdartych szubrawców, wytrzymać grad kamieni, błota i kartofli i ani razu nie móż ostrzem pałasza odplącić się za zniewagi; rozpedzoną już gromadę widzieć znów zbierającą się po za sobą, wszystko to musiało wystawiać nie wzorową bynajmniej cierpliwość huzarów na nielada próbę.

Szczęściem morze płomieni dzieliło dwa te obozy i zapobiegało starciu.

Ryszard spostrzegł, że pospólstwo zamierza rzucić się na klasztor i dlatego też ustawił swój szwadron wpoprzek ulicy przed bramami klasztoru.

Ale i tamci nie próżnowali, pośpiesznie błotem i piaskiem gasili ogień, groźnie wyjąć; ponad zgrają powiewała czerwona, podarta na szmaty, na pół spalona chorągiew, na długim drągu zatknięta.

Ryszard patrzył spokojnie, jak się zbliżali coraz to więcej.

— Panie Pawle — przemówił, zwracając się do stojącego w szeregu huzara — ogień jest w lulce?

— Na rozkaz, panie rotmistrzu! — odpowiedział Paweł, podając krótką swą żołnierską fajeczkę.

Tymczasem od strony, gdzie stało wojsko, wolnym chodnikiem zbliżała się zbrojna postać, przybrana w mundur, jakiego Ryszard w życiu swem nie widział.

Czarne ubranie, przez piersi czarno-czerwonozłota szarfa, także obszycie kołnierza; miecz prosty z żelazną rękojeścią, kalabryjski kapelusz o szerokich skrzydłach z czarnym strusim piórem; ten, który strój ów nosi, ma brodkę à la Henri IV i rzadki wą-

sik; chód jego i postawa są żywe i śmiałe, lecz nie wojskowe.

Zmierza wprost do Ryszarda.

— Szczęść Boże, kolego! Niech żyje porządek niech żyje konstytucya!

Ryszard nie ma nic przeciw temu: „Niech sobie żyją!”

Młody rębacz wyciąga na powitanie prawicę i Ryszard mu swoją podaje.

— Jestem Fryc Goldner — przemówił młody człowiek, przedstawiając się bez wielkich zachodów— dowódca drugiego batalionu Auli.

— A więc jesteście braćmi po broni?

— Obaj żołnierzami kraju i tronu, nieprawdaż?

— Spodziewam się.

Nowy uścisk rąk.

— Cóż nowego nam przynosisz? — spytał Ryszard.

— Dowiedziałem się, że do oblędu przywiedzione tłumy ludu dopuszczają się tutaj czynów, które rzucają cień czarny na zwycięztwo wolności i przyszłem, aby zażegnać burzę.

Ryszard popatrzył na niego i wstrząsnął głową.

— Jakto? Ty sam? Do licha, ja od trzech dni na czele szwadronu staram się ją uspokoić, a ona wciąż rośnie.

Młodzieńczy bohater dumnie odrzucił w tył głowę, strojną w kalabryjski kapelusz z piórem.

— Tak, ja sam. Potęgą ducha. Jam widział, jak na jedno hasło, padłe z ust moich, ten lud jak jeden olbrzymi potwór powstał i rzucił się na bagnety, na działa; jam widział, jak ten sam lud na jedno moje słowo, które mu nakazywało śmiać się, radować, nieprzyjaciół swych objąć uściskiem lub milczeć, śmiał się, radował, całował wrogów lub cichnął.

— No, prawdziwie, ciekaw byłbym to zobaczyć,

I zobaczysz. Natchnione słowo większe sprawa tu cuda, niż cała dział baterya. To też proszę cię, każ się cofnąć dzielnym swym żołnierzom i pozwól mnie działać.

— Pozostawiam ci wolne pole działania, kolego, ale odejść mi ztąd nie wolno, bo później może trudnoby już było utraconą raz odzyskać pozycję.

— Dobrze więc, pozostań tu, kolego, ale jako bierny widz tylko. Wolnoż mi spytać o twe imię?

— Ryszard Baradlay.

— A więc raz jeszcze pozwól mi się powitać, jestem przyjacielem twego brata. Poznaliśmy się na barykadach.

— Z moim bratem Jenö, na barykadach?

— Tak; on był wszędzie; to dzielny, pełen zapału młodzieniec; on należy także do głównej kwatery w domu Plankenhorstów.

Ryszard aż się pochylił na toniu, by spojrzeć w twarz studenta.

— Główna kwatera w domu Plankenhorstów?

— Ach, kolego, tego nie wiesz jeszcze? Obie te panie są najzapaleńszemi bohaterkami świętej sprawy wolności. Najlepsze pomysły od nich zawsze wychodzą. One to wtajemniczyły nas w intrygi reakcyi, one znają dobrze i podstępny i słołości naszych wrogów. Obie te kobiety w znacznej części przyczyniły się do naszych zwycięstw.

Ryszard już zsiadł z konia; rzucił cugle panu Pawłowi i wsparty na ramieniu Fryca, szedł z nim aż do drzwi klasztoru.

— A więc pani i panna Plankenhorst pozostały w mieście? więc to one mają być teraz duszą rozruchów? Czy wy też znacie te panie?

Fryc uśmiechnął się.

— Nie troszcz się o nas, kolego. Ich przeszłość nie jest nam obcą. Dziś bezwarunkowo stoją po naszej stronie. Nie ma w świecie nic wrażliwszego na to odurzające powietrze wolności nad serce kobiety.

Nie mamy jednak wzajem do siebie znów tak nieograniczonego zaufania. I my, z obozu wolności, mamy naszą tajną policję. Każdy krok ich jest uważnie strzeżony; a gdyby tylko miały się widywać bodaj z jednym z tych ludzi, którzy u nich dawniej bywali, gdyby do któregokolwiek z nich choćby jeden wysłały liścik, my dowiedzielibyśmy się o tem natychmiast i natychmiast też byłoby już po nich. O, nasz obóz jest dobrze zorganizowany.

— No, czemużby nie; wierzę. I mój brat Jenö jest wśród was także?

— Jednym z najpierwszych.

— I nosi także taki kalabryjski kapelusz ze splotającym piórem i taki miecz u boku, a pistolety za pasem?

— Zupełnie tak samo. Alfonsyna Plankenhorst własnoręcznie szyła i wiązała mu szarfę. Zajmuje on wśród nas zaszczytny stopień podporucznika,

Ryszard wstrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Wkrótce sam go tu zobaczysz. Kilku z nas umówiło się, ażeby podążyć na to przedmieście celem wyjaśnienia ludowi, jak nieszlachetnymi są cele ruchów, a tym sposobem zatamowania wybuchającego krateru. I Jenö tu nadejdzie. Ja, widocznie wybrałem najkrótszą drogę, reszta też niebawem tu będzie.

— Nie, kolego — powiedział Ryszard, uderzając po ramieniu młodego aulistę — w to, coś mi mówił, dotąd wierzyłem na słowo, bo masz twarz uczciwą; ale, że mój brat Jenö tu przyjdzie, w to, widzi Bóg, wtedy chyba uwierzę, gdy go tu zobaczę, a i wtedy jeszcze przypuszczę, że mnie oczy mylą.

Tymczasem spóółstwo owładnęło już zupełnie ogniem dotąd zalaną ziemię, a gdy na tle gasnących błękitnawych płomyków i czerwono szarego dymu występować zaczęły pojedyncze postacie, wtedy dopiero młodzieńczy przywódca aulistów zmierzył wielkość zadania, któremu przedsięwziął sprostać.

Niestety, to nie zapalu pełne tłumy bojowników wolności; to tłuszczą nasłana przez jej nieprzyjaciół.

Jak tylko potok ognia został przygaszonym, rozlały się te hordy po całym przedklasztornym placu.

Był to stek obrzydliwego motłochu, przed opisem którego mimowolnie zatrzymuje się pióro.

Gdy wpadli przez dym i resztki płomieni, uląkł się ich nawet Fryc Goldner.

To nie ów kolos, któremu gdy rzekł: powstań! powstał, a gdy mu nakazał spokój, zamilkł.

W tłumie odłączyła się wysoka, olbrzymia postać tak samo odarta, półnaga, jak inne; olbrzym twarz miał okopconą dymem, czarną; w rękach piastuje sążnisty drąg żelazny, którym wywija czasem nad głową, jak lekką trzciniową laseczką.

Ten to olbrzym kroczy przodem, pozostawiając za sobą ogniste ślady, on jeden odważył się przejść przez potok płomieni.

Skoro jednak zobaczył przed sobą huzarów, o krok się cofnął i czekał zbliżenia się całego tłumy; wtedy wskazując na klasztor wzniesionym żelaznym swym drągiem, zaryczał ochryplym, zwierzęcym głosem:

— W ogień z mniszkami!

W tłumie rozległo się krwiożercze wycie.

Równocześnie jednak zabrzmiał dźwięk trąb kawaleryjskich, sygnał baczności; to przytłumiło nieco dziki zapal zgrai.

Na miłość Boską, kolego — rzekł młody aulista do Ryszarda — wstrzymaj rozkaz ataku. Unikajmy rozlewu krwi. Spróbuję do nich przemówić.

— A więc mów, w imię Boże — odpowiedział Ryszard — ja pozostanę obok ciebie.

I nie wydobył nawet pałasza, ani powrócił do swych jeźdźców, ale jak najspokojniej palił dalej cygaro.

— Owszem, chodź, stań obok mnie — rzekł Fryc. Ludowi tem się ujawni braterstwo mieszczańska z żołnierzem. Tu przy moim boku jesteś nietykalnym. Stoisz na uświęconem miejscu.

Doszli obaj do drzwi klasztornych, do których prowadziły cztery stopnie; wzniesiony próg ich posłużył Frycowi za mównicę.

— Bracia! — zaczął.

— A potem rzucił ludowi wielkie i piękne słowa o wolności; o konstytucyi nadanej, o obowiązkach obywatela kraju, o intrygach wstecznego stronnictwa, o ojczyźnie i cesarzu, o ledwie ubiegłych dniach sławy i tryumfu.

Wszakże mimo uświęconego miejsca życie ich nie było zbyt bezpiecznem; grad ziemniaków i cegieł przelatywał ponad ich głowami, niby rodzaj uwag, które szanowni słuchacze śpieszyli dołączyć niby komentarze do tekstu mowy. Kilka tych pocisków traściło kołpak Ryszarda.

Kilkakrotnie powszechny ryk przerwał przemowę aulisty tak, że się musiał na chwilę zatrzymać.

— Kolego, teraz mam już w sam raz tego deszczu kartofli — rzekł Ryszard — skończ, jeśli zdołasz, swą mówkę do tych braci, bo ja mam ochotę z kolei z nimi się rozmówić. Już ja to potrafię.

— Ależ bo to tak trudne położenie — wymówił Fryc, ocierając sobie pot z czoła — widzisz, lud jest podburzony przeciw mnichom, Ligorystów już rozpędził, a teraz zdaje mu się, że trzeba zburzyć wszystkie klasztory. Bronić zakonnic — to rzecz niepopularna... ale bądź co bądź to kobiety, a względem kobiet nawet rewolucya umie być rycerską.

— Widzę to — odparł Ryszard, spoglądając na klasztor, którego wszystkie okna już były wybite; na szczęście jednak broniły go wewnętrzne okiennice.

Lud rozzuchwalony zwrócił swe pociski w stronę wojska, wskutek czego konie niepokoić się zaczęły.

Gdy teraz Fryc nanowo podjął swą mowę, dwóch już było mówców, on i olbrzym z żelaznym dragiem, a szemrzący lud ani jednego, ani drugiego nie mógł zrozumieć.

W tejże samej chwili od strony, w której stało wojsko, zbliżała się jakaś nowa postać ze szczękiem wlezionej broni, butna postać; na jej widok rozweseliła się twarz Fryca, złana perlistym potem.

— Ach, przychodzi wreszcie!

Kto, co przychodzi? Dziwaczne jakieś zjawisko, był to również student wysoki, chudy, długonogi, u kapelusza jego powiewały trzy olbrzymie strusie pióra; na wąskiej, gładko ogolonej twarzy sterczał czerwony nos potężnych rozmiarów, na piersiach trójkolorowa wstęga szerokości dłoni widnieje już zdała; na niej przytwierdzona maleńka szpadka, aż pod samą pachę wzniesiona, widocznie, aby mu nie przeszkadzała w chodzie. Długie włosy spływają mu na ramiona. Dziwaczna ta postać sążnistymi krokami dąży wprost ku stojącym w drzwiach klasztornych, i jednym skokiem przesadzając wszystkie stopnie, staje obok nich.

— Szczęść Boże, koledzy! Otóż jestem, teraz już o nic się nie trwożcie. Hugon Mausmann, panie kolego! porucznik drugiego legionu. Trudne, jak widać, jest wasze położenie; łatwo mi to pojąć. Mój przyjaciel Fryc jest znakomitym mówcą, — ale tylko mówcą tragicznym. W sytuacjach tragicznych niema nadeń lepszego. Ale trzeba znać ludzi, do których się przemawia; tym potrzeba Hansa-Sachsa, a nie Szyle-ra; kto zdoła lud doprowadzić do śmiechu — po tego stronie wygrana. Skoro przemówię do tych ludzi ry-mami, zobaczysz zaraz, kolego, jak najprzód otwo-rzą szeroko gęby, jak się będą gapili, klaskali i wre-szcie śmiać się na całe gardło, a wtedy już możemy z nimi robić wszystko, co zechcemy.

— No, kolego, staraj się prędzej rozśmieszyć

swoją publiczność, bo co ja, miałbym wielką ochotę doprowadzić ją do płaczu—zauważył Ryszard.

Hugon Mausmann wstąpił na próg, wyciągnął ku ludowi długą swą rękę i z komiczną powagą dał mu do zrozumienia, iż pragnąłby być dopuszczonym do głosu.

Wyjął z kieszeni tabakierkę, uderzył w jej wieko palcami i zażył tabaki; oryginalny ten wstęp zadziwił przynajmniej o tyle falujący tłum, że ucichł na chwilę, pozwalając Mausmannowi rozpocząć przemowę rymami naciąganemi nieco, w których był niewyczerpanym. I syptał tak wciąż rymami: — „Braterstwo“ — „Bohaterstwo“ — „swoboda“ — „ducha doda“ — „Metternich“ — „wstydz się ich“ — „minister“ — „filister“, aż wreszcie doszedłszy do nowego zwrotu: „dzielni husarze“ — „idziemy w parze“, improwizator, ażeby i oku tłumów uzmysłwić to braterstwo, przycisnął oficera z emfazą do piersi.

— Kolego, oni i z tego nawet się nie śmieją — rzekł Ryszard, którego najwięcej dziwiło, że mówca nie zauważył nawet, jak przy braterskim uścisku cygorko oficera twarz mu parzyło.

Hugon ciągnął dalej swoją rymowaną mowę, ale już go słuchać nie chciano.

— Precz z obrońcami księży! W ogień z mnichami! — zagrzmiało ze wszech stron, poczem nastąpiła ulewa wszelkiego rodzaju pocisków, właściwych państwu.

Jedno z rzuconych jaj trafiło w sam koniec nosa mówcy, tak celnie, że mu oczy i usta zalało.

— No, bratku, dorób rym do tego! — zawołał jakiś dowcipniś z tłumu.

Teraz oczywiście śmiać się zaczęto, tylko że śmiech ten był dzikim śmiechem urągania nad zwyciężonym. Śmieli się z niego, jak tłum bezduszny śmiać się zwykł z akrobaty, który spadł z liny i z ziemi podnieść się już nie może.

Takie wycie zwycięztwa, to ostatnia groźba

i ostatnie słowo wyuzdanej wściekłości tłumów, które po niem gotowe są rozszarpać już tego, którego wyśmiały.

Ryszard rzucił niedopalone cygaro i zeszedł ze schodów.

Fryc zastąpił mu drogę, objął za szyję i nie chciał puścić.

— Kolego, bracie, nie czyn tego! Nie dawaj sygnału do rozlewu krwi. Mnie nie straszy krew przelana, ale nienawiść, co z niej wyrasta. Myśmy się nie powinni nienawidzić. Ostrze twego miecza nie powinno zmazać się krwią naszego ludu. Alboż ołtarze nasze nie wspólne? Czyż nie wyznajemy tych samych idei? Mamyż się wzajem zabijać na tych ołtarzach? Jeszcze jest przecież inny środek wyjścia.

— Jakiż to?

— Idź ty do zakonnic i pomów z przełożoną. Pobożne te kobiety nie zechcą przecież, aby dla ich dóbr doczesnych miała być krew setek ludzi przelana, aby dwa kraje, dwa narody wplątały się w wojnę, godną potępienia. My nie żądamy od nich męczeństwa; niechaj tylko ztąd uciekną. Boczna brama jest obsadzona twemi huzarami; tamtędy mogą się z łatwością schronić w środkowe części miasta. Skarbów nie mają przecież, a to, co im jest drogie, nie trudno im będzie zabrać z sobą. Idź - że więc pomów z zakonnicami, ja tymczasem zostanę tu z Mausmannem i będę się starał powstrzymać wściekłość ludu, bodaj własnem ciałem. Dopóki ty nie wrócisz, wystawieni będziemy na dwa ognie.

Ryszard ucisnął rękę studenta.

— Śmiało z was, dzielne chłopcy! Dobrze, usłucham rady. Pomówże ty tu z „braćmi“, a ja tymczasem rozmówię się z „siostrami.”

Ryszard uczuwał głębokie poważanie dla tej pełnej poświęcenia odwagi, z jaką dwaj ci młodzi ludzie stawiali się tamą dla rozhlukanych tłumów,

aby wyłącznie tylko potęgą słowa, ogniem swej wymowy zapobiedz starciu, które mogłoby straszne spowodować następstwa.

Postanowił, bądź co bądź, przyłożyć rękę do zanego ich dzieła.

Powrócił do drzwi klasztornych i zapukał.

Stary furtyan słuchał u drzwi, ciekawy i niepokojny, jak się cała ta sprawa zakończy, wpuścił go też natychmiast, skoro się nazwał.

Zamknawszy za nim bramę, wskazał schody i korytarze, któremi dojdzie do przelóżonej klasztoru.

Idąc po schodach, Ryszard układał w myśli, co ma powiedzieć przelóżonej, aby go zdołała pojąć, w jakim klasztor jest niebezpieczeństwie, czemu koniecznem jest oszczędzanie ludu i czemu jej, jako rozumniejszej, jaśniej rzeczy pojmującej, należy ustąpić przed gminem.

Żołnierz wstydział się cokolwiek wyznać kobietom, że nie mógł na ich obronę dobyć miecza, on, co go dobywał tak często przy lada sposobności. Wkrótce jednak uspokoił się tem, że świątobliwe zakonnice nie są właściwie kobietami, ale poniekąd jakimiś bezpłciowemi istotami.

W korytarzach nie napotkał nikogo; cała ludność klasztoru zebrała się w refektarzu.

Okna tej sali wychodziły na ulicę, a wszystkie okiennice szczelnie były zamknięte; jedyne jej oświetlenie stanowiły drzwi na oścież otwarte.

Na progu drzwi tych, których nie przestąpiła stopa mężczyzny, zatrzymał się Ryszard dziwnie przejmującym zdumionym widokiem.

Na samym środku sali leżała konająca zakonnica; od dość już dawna cierpiała na jakąś nerwową chorobę, a dzisiejsze pełne grozy sceny popchnęły ją do grobu. Leżała w strasznych konwulsjach — towarzyszki otaczały ją kołem, doglądały i pocieszały.

Na tle tego męczeńskiego grobowego obrazu, oblanego niepewnem półświatłem, wśród postaci, otaczających na klęczkach umierającą, spostrzegł nagle twarz jedną, dobrze sobie znajomą, twarz, na której widok wszystka krew gorącą falą nabiegła mu do serca.

Była to Edyta.

Do tego więc klasztoru oddała ją ciotka na ów rok przedślubnej zwłoki.

I dziewczę poznało ukochanego i z zachwytem z paszczy piekiel wyswobodzonej duszy spoczął wzrok jej na twarzy przystojnego młodzieńca.

Przełożona, wysoka, chuda, dumna postać po-deszła ku rotmistrzowi i spokojnym, pełnym godności głosem zwróciła się do niego z pytaniem:

— Czego pan chcesz tu?

Wszelkie frazesy, ułożone starannie przez drogę, pierzchły wobec tego pytania.

Zamiast mozolnie obmyślonej mowy, Ryszard odpowiedział przełożonej:

— Bądź spokojną, wielebna pani, klnę się na Boga, że rozpędzę tę tłuszcę.

Z dołu tymczasem rozpoczęto już bombardowanie kamieniami; szyby okien dźwięczały, jak podczas gradowej burzy.

Raz jeszcze spotkał się wzrok Ryszarda z trwożnem spojrzeniem Edyty. Gniew zakipiał w jego piersi; tam, na marmurach posadzki widział zakonnicę w konwulsjach konania, widział ukochaną w rozpaczce, wyciągającą ku niemu ręce; z ulicy dobiegł go wściekły ryk krwiożerczego potworu i wszystko w nim zawrzało oburzeniem.

Nie czekał już odpowiedzi tych, którym dawał zapewnienie; odwrócił się, zbiegł ze schodów, pchnął furtę klasztorną, odrzucił na prawo i na lewo stojących mu na drodze młodych aulistów, skoczył na koń i podjechał naprzeciw tłumów z wzniesioną szablą, swoją dzielną damasceńską szablą.

Raz jeszcze spojrzął ku oknom klasztoru i zdało mu się, że jedna z okiennic na w pół się otwarła i że ktoś wyjrzał na ulicę. Może to właśnie Edyta.

— No, jeśli to ona patrzy, to niech sądzi, czy ten, co ją kocha, jest mężczyzną.

To, co Ryszard do zbiegowiska ludu przemówił, składało się z paru słów tylko:

— Precz ztąd, hołoto!

Dziki, wyzywający śmiech zawył w odpowiedzi.

Ryszard błysnął wzniesionym mieczem nad głową; znakowi temu trąba zawtórowała sygnałem ataku, a rotmistrz naprzód wpadł tam, gdzie wściekłość ludu największym buchała płomieniem, prosto na podburzającego tłum mówcę.

Olbrzym podniósł w górę drag żelazny, który zaświszczał w powietrzu.

Ryszardowi zdało się, że w tejże samej chwili, z okna klasztoru, z wyciem tłumy zmieszal się przeźliwy, przejmujący okrzyk.

Drag żelazny spadał na konia.

Ryszard przecież wstrzymał go wyprężonem ramieniem.

Cześć damasceńskiej stali, ale i cześć ramieniu, które ją trzymało! Oba straszliwe żelaza, całując się, sypnęły iskrami; ale damasceńska klinga przetrwała próbę, nie wyszczerbiła się nawet.

Olbrzym nie miał już czasu ponownie wznieść dragę; w tem samem mgnieniu oka leżał już pod kopytami koni.

W pięć minut później cały plac był pusty.

Wściekła horda, jak tylko kawalerya na nią natarła, rozpierzchła się rzucając broń i chorągwie; wszystko uciekło i pokryło się, gdzie kto mógł; nie krzyczeli już teraz, nie hałasowali; ranni nawet leżeli na ziemi bez jęku, udając poległych.

Ciszę głęboką ulic przerywał tylko tętent

końskich kopyt — szepczącemu ludowi zamarł g'os w krtani.

Ryszard ścigał ze swym oddziałem uciekających aż do linii miejskich, dopóki tylko chociaż jednego napotkał przed sobą człowieka, dopóki wszystko, co żyło, nie popowracało do nor, z których taki pomiot na światło wypelza.

Za rączym jego koniem nie mógł podążyć szwadron. Galopował sam jeden, dumnym wzrokiem szukając przeciwnika; za nim wierny ordynans i trębacz, na alarm trąbiący; oddział pozostał daleko w tyle.

Kiedy przejeżdżał powtórnie około klasztoru, plac przed nim był jak wymarły; jedno z okien gmachu otworzyło się, a z po za jego kraty raz jeszcze mignęła mu twarz Edyty.

Ale zaledwie miał czas spojrzeć na nią, gdy nowa wrzawa zwróciła jego uwagę. Był to odgłos miarowych kroków, jak gdyby zbliżającego się wojska, z akompaniamentem smutnego jakiegoś śpiewu, na kaleczoną strasznie nutę Marsylianki.

Wkrótce ujrzał Ryszard oddział zbrojny w strzelby. Jednak nie byli to żołnierze, gdyż każdy przybrany był inaczej; wszyscy jednak mieli na prawem ramieniu przepaskę z białej wstążki, a więc nie mogli być podpalaczami.

— A wy co za jedni? — zapytał rotmistrz, podjeżdżając ku nim.

— Gwardziści narodowi—odpowiedziano z dumą.

— Czego chcecie?

To zapytanie zmieszało najzupełniej dowódcę, poczciwego szewca, który drapał się w głowę, nie wiedząc co odpowiedzieć.

Na szczęście, Goldner i Mausmann podążyli mu w pomoc, na czele kilku studentów, objaśniając, zawsze na nutę Marsylianki, że zadaniem gwardyi narodowej jest utrzymanie porządku, niedopuszczanie

do gwałtów i nadużyć, opór przeciw reakcyonistom i propagowanie braterstwa pomiędzy ludem.

Ryszard wysłuchał śpiewu do końca, poczem rzekł:

— Bardzo to dobrze, moi przyjaciele; lecz pragnąłbym teraz usłyszeć prozą i bez *recitativa*, co ja mam dalej czynić?

— Dopomagaj nam, połącz się z nami!

— I owszem, pragnąłbym tego; ale ja jestem żołnierzem armii regularnej, mam swoje rozkazy. Czy przynosicie dla mnie jakie rozporządzenie?

Dzielny dowódca więcej się jeszcze zakłopotał, aniżeli pierwszym razem, lecz studenci znów mu podszepnęli odpowiedź.

— Tak, mam rozkaz studentów.

— Ależ ja nie zależę od tych panów.

— Panie rotmistrzu! — przerwał zgorszony dowódca.

— Niema się co gniewać, muszę być posłusznym otrzymanemu rozkazowi; ale wyślijcie kogoś z pomiędzy siebie do ministryum wojny, przedstawicie niebezpieczeństwo położenia i przynieście rozkaz dla mnie. Inaczej pozostać tu musimy każdy ze swym oddziałem naprzeciwko siebie.

Dowódca gwardyi zgodził się na to i wyprawił dwóch najzawziętszych mówców: Mausmanna do głównodowodzącego wojskami, a Goldnera do ministryum wojny.

Ryszard mógł najspokojniej pozostawić na swym miejscu gwardyę narodową i tym sposobem uwolnić się od wszelkiej odpowiedzialności; lecz myśl, że jest obrońcą Edyty, napęłniała jego duszę niewypowiedzianą radością i pragnął nim pozostać jak tylko można najdłużej.

Po dwóch godzinach powrócili wysłańcy. Obydwaj wręczyli Ryszardowi zapieczętowane wielkich rozmiarów koperty. Rotmistrz przeczytał najpierw rozporządzenie głównodowodzącego. Nie był to naj-

przyjemniejszy liścik. Strofowano tam ostro Ryszarda za miękkość w postępowaniu. Dlaczego nie stłumił zaburzenia w samym zarodku? dlaczego dozwolił mu przybrać tak wielkie rozmiary? Należało wyrąbać całą tę hołotę bez miłosierdzia. Na przyszłość zalecano mu więcej energii.

Drugi list nie był również słodszy. Traktowano w nim Ryszarda jako młodego szaleńca i wartogłowa bez zastanowienia. Wyrzucano mu, że rozpoczął atak bez żadnej racji i przyczyny. Radzono przytem, aby na drugi raz zachował więcej umiarkowania i rozkazywano mu wyraźnie powstrzymać się nadal od wszelkich wystąpień z bronią w ręku.

Ryszard schował obydwie listy, poczem dobywszy palasza, ujął jedną ręką koniec brzeszczota, drugą rękojeść i, zginając go, zawołał:

— Moja dzielna szablo, złamałbym cię w tej chwili, gdybyś nie była moją jedyną, moją ostatnią przyjaciółką!

Następnie zbliżył się do dowódcy gwardyi:

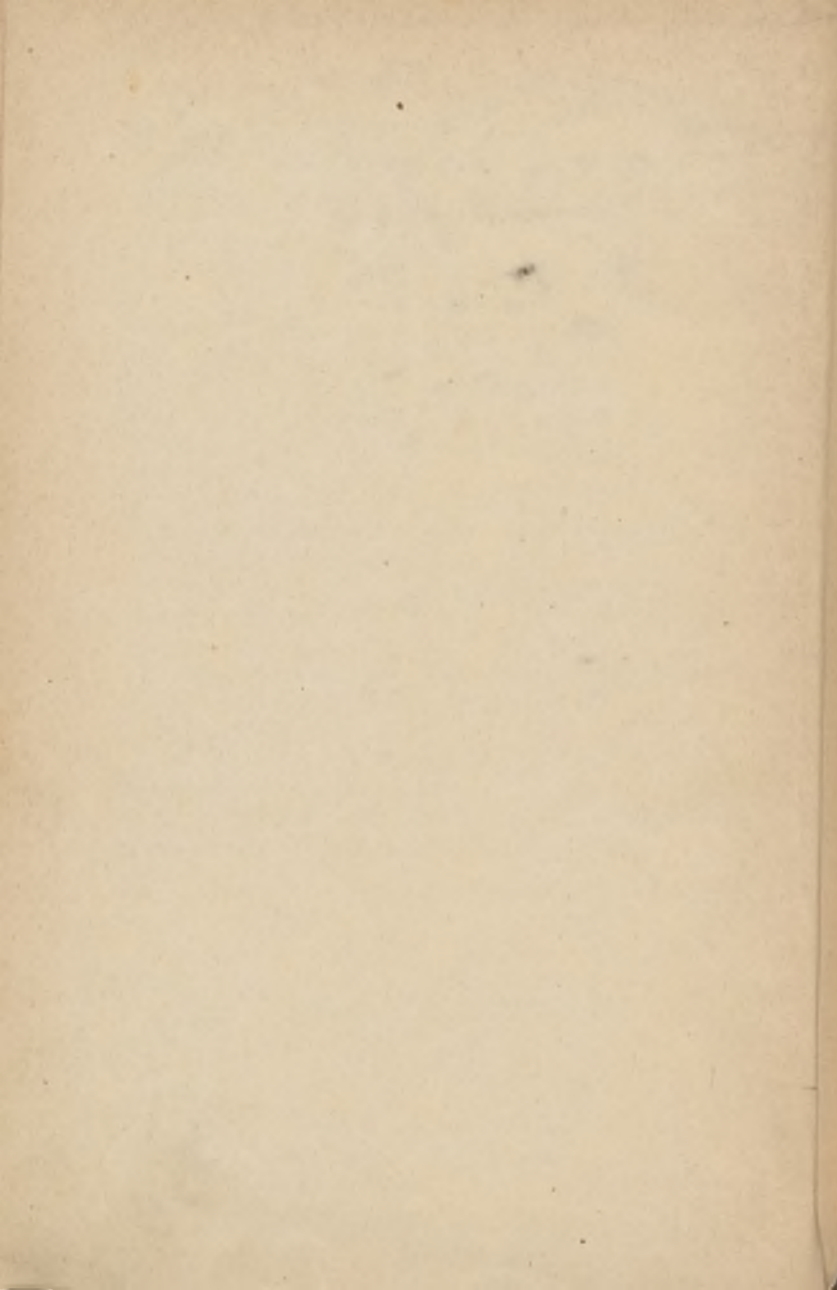
— Porządek—rzekł—przywrócony; do was teraz należy utrzymać go.

I skinąwszy na huzarów, aby jechali za nim, pomknął galopem naprzód.

— Szkoda—mruknął Paweł—za jednym zamachem można było i tych także uprzątnąć.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





60, -

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

097611

Biblioteka WSP Kielce



0163001